

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

ŁOWCY WILKÓW

Curwood James Oliver

I. ŚMIERTELNY BÓJ

Mroźna zima zaległa w kanadyjskiej głuszy. Pызaty, czerwony księżyc rzucał drżący blask na milczącą pustynię śnieżną. Żaden dźwięk nie mącił ponurej ciszy. Głosy dnia już zamarły; szepty i szmery nocy nie zbudziły się jeszcze. Zakrzepłe jezioro, obrzeżone półkolem sosnowego boru, wyglądało jak olbrzymi amfiteatr. Po drugiej stronie, tuż niemal nad szklistą taflą, stały gęste kępy modrzewi, a śnieg i szron osnuły ich gałęzie ciężkim pokrowcem. Śród pni panował nieprzenikniony mrok.

Olbrzymia biała sowa wynurzała się z tego mroku, zatoczyła wielkie kolisko i skryła się znowu w gęstwie drzew. W chwilę potem zabrzmiał jej ponury głos, nieśmiały jednak, jak gdyby mistyczna chwila ciszy nie minęła jeszcze. Śnieg, który padał cały dzień, ustał już i tylko powiew wiatru pieścił czasem oszronione konary. Panował niezwykły chłód; człowiek pozbawiony możliwości ruchu w ciągu godziny zamarłby na śmierć.

Ciszę przerwał raptem jakiś dźwięk, niski a drżący, niby głębokie westchnienie. Nie wydała go pierś ludzka. Myśliwy, gdyby się tu przypadkowo znalazł, ująłby wnet mocniej kolbę fuzji. Dźwięk szedł z modrzewiowej kępy. Milczenie, które wnet zapadło, zdało się głębsze jeszcze. Sowa, niby bezszelestny kłęb srebrnego puchu, poszybowała nad zamarłą gładź jeziora. Po chwili westchnienie powtórzyło się, znacznie jednak cichsza. Bywalec kanadyjskich puszczy skryłby się w mroku konarów i słuchałby, i patrzył, i czekał ciekawie; dźwięk bowiem dawał się już rozpoznać jako zdławiony bólem głos rannego zwierza.

Bardzo wolno, pełen nieufności zrodzonej w dniu dzisiejszym, olbrzymi łось wkroczył w obręb księżycowego blasku. Jego wspaniały łeb, zgięty pod ciężarem potężnych rogów, poprzez jezioro zwracał się badawczo ku północy. Nozdrza miał szeroko rozwarte, oczy lśniące, a na śniegu, którądy przeszedł, czerniała smuga krwi. Sosnowy bór wydał się mu bezpiecznym schronieniem. Poprzez głęboko zawianą śniegiem lodową taflę kroczył wolno i z ogromnym trudem; patrząc nań, każdy myśliwiec odgadłby z łatwością, że łось jest śmiertelnie ranny.

Gdy modrzewiowa kępa pozostała już o kilkadziesiąt metrów w tyle, łось przystanął, wysoko unióśł łeb, kierując rozwarte nozdrza ku niebu, i nastawił długie uszy. Łось przybiera zawsze tę postawę, ilekroć chce pochwycić daleki dźwięk. Ogromną ciszę nocną przerywało jednak tylko płynące z drugiej strony jeziora ponure hukanie sowy. Mimo to potężny zwierz stał wciąż bez ruchu, a u jego nóg, na śniegu, rosła kałuża świeżej krwi. Co za tajemnicza groza budziła się w głębinie leśnej. Najbystrzejszy ludzki słuch nic by nie uchwycił. Ale długie, niezmiernie czułe uszy łosia łowiły daleki pogłos. Zwierzę uniosło łeb wyżej jeszcze, nozdrza jego pochwyciły wiew ze wschodu, zachodu i południa, ale północ jedynie zdawała się go obchodzić.

Spoza wstęgi sosnowego boru dotarł wkrótce dźwięk tak wyraźny, że i ludzkie ucho mogłoby go już usłyszeć. Była to niby końcowa nuta żałosnej skargi. Z minuty na minutę dźwięk rósł, czasem brzmiąc donośnie, czasem zamierając w dali, ale zbliżając się bezustannie; był to łowiecki zew wilczego stada.

Czym dla zbrodniarza jest stryczek kata, czym rząd karabinowych luf dla pojmanego szpiega — tym dla rannego zwierza w pustyni śnieżnej jest głos wilczej pogoni.

Łось instynktownie wyczuł straszliwą groźbę. Głowa mu zwisała, przez co rogi znalazły się na poziomie grzbietu, i lekkim truchtem jął się oddalać ku południowi. Na otwartej przestrzeni widać go było z daleka; wiedział o tym. Sosnowy bór jednak był mu domem i sądził, że tam właśnie znajdzie

bezpieczne schronienie. Miał nadzieję, że osiągnie cel, nim wilki zdołają nadbiec. I raptem...

Staął. Staął tak gwałtownie, że kolana przednich nóg mu się ugięły i pyskiem przeorał śnieg. Wplątany w głosy wilcze dobiegł naraz huk wystrzału. Mila, a może i więcej, dzieliła strzelca od miejsca, gdzie stał ranny łoś, ale bez względu na odległość strzał ten przejął lękiem serce konającego króla północnych puszczy. Dnia tego słyszał już raz podobny dźwięk, a wraz z nim wdarła się w jego ciało tajemnicza niemoc i ostry ból.

Ostatnim wysiłkiem zdołał wstać, w rozwarte nozdrza wciągnął powiew z północy, wschodu i zachodu, wreszcie zawrócił z trudem i skrył się w ponurej i chłodnej gęstwinie modrzewiowej kępy.

Echo strzału przebrzmiało już i zapadła bezmierna cisza. Minęło pięć minut, potem dziesięć, aż długie, samotne wycie rozległo się ponad jeziorem. Zakończył je ostry, urwany zew, inne głosy pochwyciły ton pełną piersią i śpiew wilczej gromady brzmiał ponownie ponurą gamą.

Jednocześnie z gęstwy sosnowej wyszła ludzka postać, dała kilkanaście chwiejnych kroków i przystanąła, zwrócona nieco wstecz.

— Idziesz już, Wabi?

Z boru dobiegł zdyszany głos:

— Idę. Ale ty śpiesz się! Biegnij!

Pierwszy wędrowiec spojrzął przed siebie na jezioro. Był to chłopak liczący zapewne lat osiemnaście. W prawej dłoni trzymał gruby kij. Lewą rękę, złamaną czy też skaleczoną poważnie, niósł na temblaku z wełnianego szala. Na twarzy widniały ślady głębokich zadrapań i krwi, a bladość jej i znużenie mówiły wyraźnie, że chłopak bliski jest zupełnego wyczerpania. Czas jakiś biegł po śniegu, potem zwolnił i szedł jak pijany. Oddychał ciężko i niemal z jękiem. Kij wysliznął mu się z bezsilnej dłoni; świadom ogarniającej go niemocy, nie próbował nawet kija podnieść. Człapał mozolnie krok za krokiem, aż kolana się pod nim ugięły i ciężko padł na śnieg.

Spod nawistłych jodłowych konarów wybiegł teraz młody Indianin. Oddychał szybko, ale z podniecenia raczej niż z wyczerpania. Za sobą, o pół mili zaledwie, słyszał zbliżający się coraz gon wilczy i przez chwilę, zginając nisko gibką postać, mierzył słuchem odległość dzielącą go od krwiożerczego stada. Potem oczyma jął szukać białego przyjaciela. Bez trudu znalazł ciemną, nieruchomą plamę, jaką tworzyło na śniegu ciało chłopca. Na ten widok w źrenicach jego odmalował się żywy niepokój. Oparłszy o nogi fuzję, przyłożył do ust zwinięte w trąbkę dłonie i wydał głośny okrzyk, który w pogodną noc dał się słyszeć chyba o milę.

— Wahoo-oo-oo! Waho-o-o-o!

Ranny chłopak uniósł się nieco, z trudem wstał i w odpowiedzi wydał podobny okrzyk, tak jednak słaby, że zdawał się być prawie szeptem. Potem, potykając się, ruszył znów w poprzek jeziora. W chwilę później Wabi znalazł się u jego boku.

— Jakże ci idzie, Rod? — spytał troskliwie.

Rod poruszył wargami, ale zamiast odpowiedzi dał się słyszeć tylko niewyraźny szmer. I nim młody Indianin zdołał go podtrzymać, ranny zachwiał się i upadł po raz drugi.

— Zdaje się, Wabi — szepnął z trudem — że nie pójdę już dalej! Nie mam sił.

Czerwonoskóry odrzucił karabin, ukląkł w śniegu obok przyjaciela i uniósł mu głowę.

— Doprawdy, Rod, już blisko! — tłumaczył serdecznie. — Tylko mały kawałeczek i dobrniemy do drzew. Należało się właściwie wspiąć na którąś sosnę, ale nie wiedziałem, że z tobą tak źle. Trudno zresztą urządzić postój z trzema nabojami!

— Tylko trzema!

— No tak! Przypuszczalnie mógłbym nimi położyć trzy bestie. Ale wchodź mi na ramiona, prędko!

Zgiął się jak scyzoryk tuż przed leżącym w śniegu przyjacielem. Poza nimi rozbrzmiał naraz chór wilczej zgrai, o wiele bliższy i wyraźniejszy niż przedtem.

— Są już na otwartej przestrzeni, a za kilka minut będą tu! — krzyknął Wabi. — Zarzuc mi ramiona na szyję, Rod! Tak! Czy możesz utrzymać karabin?

Wyprostował smukłą postać i zataczając się nieco pod ciężarem rannego, ruszył dość szybko ku czerniejącym w dali modrzewiom. Każdy mięsień jego młodego ciała był napięty do ostatnich granic. O wiele lepiej niż półprzytomny Rodryg zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które groziło im lada chwila,

Trzy minuty... cztery.. pięć!

Straszliwe wspomnienie budziło się w mózgu Wabigoona. Z dziecinnych lat pozostał mu w pamięci widok człowieka rozszarpanego przez wilki. Jeśli ostatnie trzy kule chybią, jeśli nie zdoła w porę dotrzeć do zbawczej kępy modrzewi — los ich będzie przypieczętowany. Mógł co prawda porzucić rannego towarzysza, a sam ratować się ucieczką, ale możliwość ta wywołała jedynie na ustach Indianina wzgardliwy uśmiech. Nie po raz pierwszy przecie wspólnie narażali się na śmierć; dziś jeszcze Rodryg walczył mężnie w obronie przyjaciela. Jeśli więc umrą, to umrą razem!

Powziąwszy niezachwiane postanowienie, Wabi silniej zacisnął dłonie na rękach rannego. Wiedział dobrze, że śmierć spogląda na nich z bliska. Jeśli nawet dotrą do drzew, to przy tak silnym mrozie dłuższy pobyt wśród konarów również zakończy się zgonem, i to niemniej bolesnym. Dopóki jednak życie tliło w nim, nie tracił jeszcze nadziei i brnął w śniegu, nasłuchując wycia wilków i czując z rozpaczą, że jego siły zmniejszają się z każdą chwilą.

Nagle wycie ustało. Wabi nie mógł pojąć powodu tej ciszy. Minęło dwie minuty, potem pięć i żaden bury cień nie, zmaćcił bieli jeziora. Czyżby wilki straciły trop? Trudno było w to uwierzyć. Wabi przypuszczał raczej, że jedno z ranionych przez niego zwierząt osłabło, a reszta zgrai rzuciła się nań i ucztuje teraz nad ciałem towarzysza. Zaledwie uprzytomnił sobie tę możliwość, a już wycie wybuchło na nowo, tak bliskie, że się odwrócił.. Kilkanaście smukłych cieni gnało ku nim środkiem jeziora.

Modrzewie oddalone były zaledwie o sto metrów. Rod mógł chyba przebyć tę przestrzeń o własnych siłach.

— Biegnij! — krzyknął mu Wabi. — Śpiesz się! Zatrzymam je!

Zwolnił z uścisku ręce przyjaciela i wnet z dłoni rannego wypadł karabin i potoczył się w śnieg. Wabi, pełen przerażenia, ujrzał twarz Rodryga śmiertelnie bladą i jego półprzymknięte oczy. Ukląkł tuż przy nim jak urzeczony, raz po raz zwracając wzrok w stronę nadbiegającej już krwiożerczej zgrai. Karabin trzymał w pogotowiu. Wilki, niby rój os, wysypywały się z gęstwy boru. Tuzin najpotężniejszych zwierząt zbliżył się już na odległość strzału. Wabi wiedział, że jeśli chce powstrzymać pęd stada, powinien się zmierzyć właśnie z tą awangardą. Wyczekał jeszcze chwilę; czołowe bestie były teraz zaledwie o dwieście metrów. Młody Indianin porwał się naraz i z głośnym wrzaskiem ruszył na nie. Stało się, jak przypuszczał. Wilki, zaskoczone krzykiem i niespodzianą napaścią, przystanęły zbite w ciasny kłęb. Wabi szybkim ruchem uniósł karabin i strzelił. Długie, bolesne wycie poświadczyło celność strzału. Wabi strzelił po raz drugi, tym razem tak celnie, że jeden wilk dał w powietrze ogromnego susa i zwałił się na grzbiet, martwy.

Indianin zawrócił, pędem pobiegł do swego druha, pochylił się nad nim, zarzucił go sobie na grzbiet i niosąc w ręku karabin, ruszył ku czerniejącym opodał modrzewiom. Obejrzał się tylko raz jeden i ujrzał stado uczujące nad cielskami towarzyszy. Przystanął dopiero wśród pni drzew. Tam złożył na ziemi ciało Rodryga, a sam, wyczerpany do ostatka, padł obok, nie spuszczać jednak wzroku z uczującej zgrai.

W chwilę później bure plamy oddzieliły się od głównej bandy i zaczęły pomykać ku modrzewiom. Na ten widok Wabi zrozumiał, że uczta się skończyła; co prędzej więc wgramolił się na nisko zwieszony konar potężnego drzewa i z trudem wciągnął za sobą rannego. Teraz dopiero biedny chłopak oprzytomniał nieco. Siły wracały mu powoli i z trudem przy pomocy Indianina zdołał się wspiąć na jeden z wyższych konarów.

— Po raz drugi, Wabi — rzekł, kładąc mu pieszczotliwie na ramieniu zdrową rękę — po raz drugi ratujesz mi życie! Raz, kiedym tonął, a teraz od tych wilków... Winienem ci ogromną wdzięczność!

— A dziś rano kto komu życie ratował?!

Patrzyli na siebie wzajem z wielką miłością w oczach. Na chwilę zapomnieli o groźnym niebezpieczeństwie, ale wnet mimo woli wzrok ich pobiegł ku lśniącej tafli jeziora. Stado zbliżyło się znacznie. Wabi w swym życiu nie widział nigdy tak olbrzymiej hordy. Tworzyło ją najmniej pięćdziesiąt wilków. Niby zgłodniała sfora, której rzucono niedostateczną ilość jadła, zwierzęta ganiały to tu, to tam, szukając nowego łupu. Nagle jeden wilk przystanął, przysiadł na zadzie i uniósłszy wysoko trójkątny łeb, wydał gromki zew łowiecki.

— To są dwa połączone stada! — wykrzyknął Wabi. — zaraz sobie pomyślałem, że zbyt wiele ich jest. Patrz! Część dąży już naszym śladem, a reszta ogryza kości tych, których zastrzeliłem przed chwilą. Gdybyśmy tak mieli dostateczną ilość naboju i twój karabin, który nam porwali ci bandyci, zrobilibyśmy majątek! A to co?!

Wabi urwał nagle, a ręka jego zacisnęła się kurczowo wokół ramion przyjaciela. Obaj chłopcy zamilkli. Wilki, zbite w gęstą masę, deptały na miejscu, w połowie drogi mniej więcej pomiędzy terenem niedawnej uczty a napowietrznym schronieniem myśliwych. Zgłodniałe bestie wykazywały niezwykle podniecenie. Odnalazły właśnie kałużę krwi i purpurowy szlak znaczący drogę ucieczki rannego łosia.

— Co się stało, Wabi? — szepnął Rod.

Indianin milczał. W jego czarnych oczach lśnił zagadkowy płomień, usta miał rozchylone i w gorączkowym podnieceniu zdawał się ledwo oddychać. Rod powtórzył pytanie i niby w odpowiedzi stado zboczyło na południe, biegnąc milczkiem i kierując się wprawdzie nadal ku gęstwie modrzewi, ale nie ku schronisku młodych myśliwych, tylko o sto jardów w bok.

— Nowy trop! — wykrzyknął wreszcie Wabi. — Nowy i zupełnie świeży trop! Słyszysz, nie wydają najmniejszego dźwięku, to znaczy, że łup jest tuż!

Patrzyli drżąc. Ostatni wilk znikł wnet w mroku leśnym. Chwilę trwała niezmacona cisza, potem chóralne wycie doszło ku nim z gęstwy.

— Znalazły nową ofiarę i gonia ją! — krzyknął Wabi. — Musimy to wyzyskać. Prędzej!

Zaczął się spuszczać z gałęzi na gałąź coraz niżej i miał już skoczyć na ziemię, gdy stado ponownie zawróciło ku nim.

O kilkadziesiąt metrów zaledwie trzasnęło poszycie leśne i młody Indianin co prędzej wspiął się ponownie na drzewo.

— Prędzej w górę! Prędzej! — dyszał gorączkowo. — Idą tu, prosto na nas! Nie powinny nas zwęszyć ani dojrzeć... Wtedy...

Przerwał, bowiem ogromny, szary cień wypadł spośród pni drzew i przemknął jak burza o pięćdziesiąt metrów zaledwie od modrzewia, na którym schronili się obaj myśliwcy. Poznali bez trudu, że jest to olbrzymi łoś, choć żaden z nich nie podejrzewał nawet, iż mają przed sobą to właśnie zwierzę, do którego Wabi strzelał parę godzin przedtem. W ślad za nim gnała zajadła horda. Łby zwisały nisko, węsząc krwawy trop. Zdławione wycie wydzierają się z gardzieli. Wilki przeleciały

tak blisko, że otarły się niemal o drzewo, na którym siedzieli ludzie. Rod w marzeniach sennych nawet nie oglądał nigdy podobnego widowiska; Wabi, choć obyty z dramatami puszczy, patrzył jak urzeczony. Milcząc, bez tchu w piersiach, nie odrywali oczu od ponurej zjawy. Bystry wzrok młodego Indianina rozpoznawał pojedyncze cielska, tak wychudzone, że nie pozostało na nich nic prócz kości i mięśni. Straszliwy głód musiał je szarpać! Rodryg widział jedynie krwiożercze stado, złożone z potężnych zwierząt upojonych łatwym pościgiem.

Przemknęły jak wicher. Ale widok ten pozostał na całe życie w pamięci Rodryga Drew. Inne wspomnienie, straszliwsze jeszcze, prześladowało go równie długo. Półomdlałemu chłopcu wydało się, że nie upłynęła nawet minuta, a stado już dopadło rannego łosia. Biednego skazańca otoczono ze wszystkich stron. Rozległo się ponure kłapanie zgłodniałych paszcz i splątany z nim śmiertelny ryk konającego zwierza. Indiańska krew w żyłach Wabigoona popłynęła szybciej. Oczyma syna puszczy chłonał każdy fragment rozgrywającej się przed nim tragedii. Był to wspaniały bój! Ale Wabi wiedział, że w tym pojedynku łosć zginie niechybnie, żywcem poszarpany na sztuki, a gdy wilki go pożrą, przypomną sobie o dwunogiej zwierzynie. Póki czas, należało zmykać. Uniósł się nieco i dotknął ręki towarzysza.

— Teraz pora! — rzekł. — Schodź! Tą stroną drzewa tylko! Ześliznął się w dół bardzo wolno, ramieniem podtrzymując rannego. Gdy obaj stanęli u stóp drzewa, zgiął kark, chcąc, jak poprzednio, wziąć Roda na plecy.

— Mogę iść, Wabi — szepnął tamten. — Podaj mi tylko ramię, dobrze?

Młody Indianin objął go wpół i obaj zniknęli w modrzewiowej gęstwie. W piętnaście minut potem stali na mieliźnie wśród zamarzłej rzeki. Po drugiej stronie, o kilkadziesiąt metrów zaledwie, ujrzeni coś, co wywołało na ustach obu radosny uśmiech. Opoдал brzegu, na tle gęstych, jodłowych zarośli, płonął wesoły ogień. W odpowiedzi na powitalny okrzyk Wabigoona w blasku płomieni ukazała się śniada twarz, zaraz potem rozległo się wołanie.

— Mukoki! — wrzasnął Wabi.

— Mukoki! — roześmiał się Rod, szczęśliwy, że koniec włóczęgi już bliski.

Wciąż jeszcze uśmiechnięty, zachwiał się nagle i zatoczył tak silnie, że Wabi rzucił w śnieg karabin, by móc oburącz podtrzymać przyjaciela.

II. WABIGOON

Od dnia, w którym młody John Newsome opuścił Londyn płynąc do Ameryki, minęło niespełna trzydzieści lat. Los prześladował go niemiłosiernie; bardzo wczesnie stracił oboje rodziców, a pozostawiony przez nich skromny fundusz stopniał wkrótce bez śladu. John Newsome osiadł na razie w Montrealu, a będąc człowiekiem rozumnym, dzielnym i ambitnym, zyskał wkrótce zaufanie ludzkie, dzięki czemu otrzymał dobre stanowisko w Wiabinosh House, faktorii położonej wśród dzikiej głuszy opodal jeziora Nipigon.

W drugim roku swego panowania w Wabinosh House — agent kompanii jest bez mała królem podległych mu terenów — John Newsome poznał indiańskiego wodza imieniem Wabigoon oraz jego córkę, piękną Minnetaki. Młoda Indianka z dziecka stała się właśnie kobietą, a los obdarzył ją niepospolitą wprost urodą i wdziękiem. John Newsome od pierwszego zaraz wejrzenia pokochał śliczną księżniczkę. Stał się częstym gościem w wiosce Wabigoona, położonej o trzydzieści kilometrów w głąb boru. Minnetaki darzyła go wzajemnością, zwlekano jednak ze ślubem, bowiem na drodze do szczęścia stała nieprzewyciężona niemal przeszkoda. Oto potężny wódz sąsiedniego plemienia Woonga. kochał od dawna piękną księżniczkę. Minnetaki czuła do niego niepoohamowany wstręt, ale musiała kryć się z tym uczuciem ze względu na ojca, Woonga bowiem mógł się stać groźnym przeciwnikiem.

Z przybyciem młodego agenta między obu konkurentami wybuchła zajadła rywalizacja, na skutek której po dwukrotnym nieudanym zamachu na życie Newsome'a Woonga posłał staremu Wabigoonowi ostre ultimatum. Minnetaki odpowiedziała na nie w zastępstwie ojca. Odpowiedź ta rozpałała w sercu Woongi płomień zemsty i nienawiści. Pewnej ciemnej nocy na czele swych wojowników napadł na uspijony obóz Wabigoona z zamiarem porwania księżniczki. Atak udał się tylko częściowo. Padło kilkunastu obrońców, padł również przeszyty włócznią stary wódz, ale Minnetaki ocalała.

Zdyszany goniec przyniósł do Wabinosh House wieść o zdradzieckim napadzie i o śmierci Wabigoona. Newsome, na prędcę uzbroiwszy swoich ludzi, pośpieszył na ratunek ukochanej. Kontratak, przeprowadzony z brawurowym rozmachem, odrzucił Woongę i jego wojowników w głąb boru, zadając im przy tym dotkliwe straty. W trzy dni później w Hudson Bay odbył się ślub Minnetaki z Newsome'em.

Od tej pory datuje się jedna z najkrwawszych waśni, jaka kiedykolwiek zaistniała w tych stronach. Waśń ta, jak to zobaczymy wkrótce, przeniosła się nawet na drugie pokolenie.

Woonga i jego banda poczęli sobie tak ostro z pozostałymi przy życiu członkami plemienia Wabigoona, że w krótkim czasie wybili ich niemal do nogi. Ci, co ocalili z ogólnej rzezi, porzucili lasy rodzinne, chroniąc się w poblizze faktorii. Myśliwcy z Wabinosh House, udając się na łowy, częstokroć wpadali w zasadzki, gdzie mordowano ich bezlitośnie. Tuziemcy, prowadzący z faktorią handel wymienny, byli traktowani jako wrogowie przez wojowniczego Woongę. Lata nie przyniosły tu żadnych zmian. Waśń trwała niezmiennie. W zamian zresztą Woongowie — bo tak zwano członków plemienia Woongi — byli stale prześladowani i tępieni.

Tymczasem dwoje dzieci uszczęśliwiło związek Newsome'a i ślicznej Indianki. Starsze było chłopcem; na cześć dziada nadano mu imię Wabigoon, pieszczotliwie zwąc go Wabi. Młodszą o trzy lata dziewczynkę na prośbę ojca ochrzczono imieniem Minnetaki. Dziwnym zrzędzeniem losu w żyłach Wa biegu płynęła snąć wyłącznie indiańska krew, podczas gdy Minnetaki zatraciła z wiekiem

podobieństwo łączące ją z matką. Przeważało w niej piękno białej rasy. Fala kruczonych włosów i czarne jak węgiel źrenice tworzyły śliczny kontrast z jasną, ożywioną rumieńcami twarzą. Wabi pozornie był tylko Indianinem, począwszy od obutych w mokasyny nóg aż po czubek głowy — smagły, muskularny i całą duszą kochający swobodny byt wśród rodzinnych puszczy. Posiadał jednak anglosaski spryt i rozsądek w stopniu być może nawet wyższym niż ojciec.

W życiu Newsome'a jedną z największych przyjemności było kształcenie ukochanej żony; oboje zaś marzyli o tym, by dzieci ich nie ustępowały pod względem wykształcenia i ogłady dzieciom chowanym wśród cywilizacji. Toteż gdy Wabi skończył lat szesnaście, a Minnetaki trzynaście, jedynie po wyglądzie można w nich było odgadnąć domieszkę krwi indiańskiej. Jednakże oboje, zgodnie z wolą rodziców, zaznajomili się również z mową krajowców i z prymitywnym ich życiem.

W tym czasie właśnie plemię Woongi rozpoczęło najbezczelniejszą w świecie grabież. Gdy sprzykrzył mu się ostatecznie uczciwy byt, jęło zdobywać towary i zapasy wyłącznie kradzieżą i rozbojem, mordując przy tym traperów i kupców, ilekroć się nadarzyła okazja. Nienawiść do mieszkańców Wabinosh House stała się dziedziczna; synowie ssali ją z mlekiem matek. Istotną przyczyną zatargu poszła niemal w zapomnienie i jedynie wódz Woonga pamiętał o niej. Stał się wreszcie tak bezczelny, że władze wyznaczyły cenę na jego głowę i na głowy najpodlejszych jego towarzyszy. Na pewien czas udało się nawet wygnać uprzykrzoną bandę poza granice ludzkich osiedli, ale nikt nie mógł się pochwalić tym, że zabił lub też pojmał ich wodza.

Gdy Wabi skończył lat siedemnaście, postanowiono, że dla uzupełnienia nauk spędzi rok w jednym z większych miast Stanów Zjednoczonych. Młody Indianin — wszyscy niemal uważali Wabiego za Indianina czystej krwi, z czego był on niezmiernie dumny — wszelkimi siłami zwalczał ten nieszczęsny projekt. Uwielbiał puszcę całym swym półdzikim sercem. Burzyło się w nim wszystko na myśl o dużym mieście, pełnym tłoku, gwaru i zaduchu. Minnetaki zachwiała jego decyzją; prosiła gorąco, by jechał chociaż na jeden rok, a po powrocie opowiedział jej o wszystkich widzianych cudach i nauczył tego, co sam pozna. Wabi kochał nad życie swą śliczną, małą siostrzyczkę i głównie ze względu na nią postanowił wreszcie jechać.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy Wabi z zapałem studiował w Detroit. Ale z każdym dniem pogłębiała się jego tęsknota i samotność. Godziny wlokły się jak wieczność cała. Trzy razy na tydzień pisywał do Minnetaki i trzy razy tygodniowo dziewczynka z Wabinosh House odpisywała mu obszernie. Zresztą do zagubionej wśród dzikich puszczy faktorii pocztylion zaglądał tylko dwa razy na miesiąc.

Tego roku właśnie Wabi poznał Rodryga Drew. W owym czasie młody Indianin wyobrażał sobie, iż jest dzieckiem niedoli; Rod był nim naprawdę. Ojciec odumarł go w kolebce, a skromny pozostawiony przezeń fundusz wyczerpał się doszczętnie z biegiem lat. Zmuszony koniecznością Rod porzucił szkołę i jął się pracy zarobkowej. Obaj młodzi zaprzyjaźnili się prędko, a wzajemna sympatia zamieniła się wkrótce w serdeczne i silne przywiązanie. Po pewnym czasie Wabi zamieszkał w domu nowego przyjaciela. Pani Drew przedstawiała typ kobiety wykształconej i rozumnej, a zajęła się Wabim, tak szczerze, jakby był jej rodzonym dzieckiem. Czerwonoskóry chłopak nabrał wykształcenia i ogłady, a w listach jego nie brak było pełnych zachwyty wzmianek o nowych przyjaciółach. W krótkim czasie pani Drew otrzymała serdeczny list od matki swego pupila, a gdy odpowiedziała nań, zawiązała się między obu kobietami ożywiona korespondencja.

Dni płynęły teraz" niezmiernie szybko. W czasie długich zimowych wieczorów po ukończeniu dziennych zajęć obaj chłopcy zasiadali przed kominkiem i młody Indianin snuł nie kończąca się opowieść o pełnym uroków życiu wśród dzikich puszczy północy. W piersi Roda coraz gwałtowniej budziła się chęć poznania tych krain. Tysiące planów powstawało w ich mózgach, obmyślali tysiące

niezwykłych przygód, a poczciwa pani Drew uśmiechała się słysząc ich rozmowy i potakiwała im.

Skończyły się wreszcie nauki młodego Indianina i Wabi powrócił do ojczystego domu i do puszczy, którą tak bardzo kochał. Przy pożegnaniu obaj chłopcy mieli łzy w oczach, a pani Drew rozplakała się nawet, żegnając swego pupila. Dni, które nastąpiły teraz, przyniosły Rodrygowi dużo trosk i zgryzot, Brak przyjaciela dawał się boleśnie odczuć.

Minęła wiosna i lato. Wczesną jesienią, gdy wrzesień ubarwił purpurą i złotem liście północnych drzew, przybył do Detroit list od Wabigoona. I wnet w małym mieszkanku zapanowały: trwoga, radość i podniecenie. Prócz listu Wabiego, przyszły jeszcze trzy listy: od starego Newsome'a, od jego żony i córki. Wszyscy prosili jak najserdeczniej, by pani Drew wraz z synem zechciała spędzić zimę w Wabinosh House.

Nie martw się, że stracisz posadę — pisał Wabi. — W ciągu zimy zbieramy więcej pieniędzy, niżbyś mógł zarobić w Detroit w ciągu trzech lat. Będziemy polować na wilki. Roi się tu od nich, a rząd płaci piętnaście dolarów za każdy zdobyty skalp. Dwa lata temu ubiłem czterdzieści sztuk, choć zajmowałem się tym jedynie dorywczo. Mam oswojonego wilka, którego używam na przynętę. Nie trap się o fuzję czy inne przybory myśliwskie. Mam wszystko, co potrzeba.

Kilka dni trwały narady matki z synem, zanim posłano do Wabinosh House ostateczną odpowiedź. Rodryg namawiał, tłumaczył, opisywał w barwnych słowach cudowne chwile, jakie tam spędzą, wyjaśniał, ile zdrowia nabędą w ciągu tej zimy. Pani Drew była usposobiona pesymistycznie. Ich stan finansowy przedstawiał się opłakanie, więc nie chciała, by Rod porzucił pracę, która dając skromny, lecz pewny dochód zabezpieczała im byt. Miał zresztą przed sobą dobrą przyszłość, a tej zimy właśnie firma, w której pracował, podwyższała mu pensję do dziesięciu dolarów tygodniowo. Stało się wreszcie na tym, że pani Drew pozostanie w Detroit, a Rodryg sam pojedzie do Wabinosh House. Wysłano wkrótce odpowiednie pismo.

W trzy tygodnie później przyszła odpowiedź Wabigoona. Przyjaciele spotkają się dziesiątego października w Sprucewood nad rzeką Black Sturgeon. Łodzią dotrą do jeziora tejże nazwy, a stamtąd przy pomocy tragarzy przeprawią się ku jezioru Nipigon. W Wabinosh House muszą stanąć przed nadejściem wielkich mrozów.

Pozostawało bardzo mało czasu dla poczynienia niezbędnych przygotowań; na czwarty dzień po otrzymaniu listu Rod w towarzystwie matki oczekiwał przybycia pociągu, który miał go wieźć ku nowemu, pełnemu przygód życiu. Młody chłopak stanął w Sprucewood jedenastego października. Wabi czekał już nań w towarzystwie sługi, Indianina. Zaraz po południu ruszyli w górę rzeki.

III. MINNETAKI

Rod po raz pierwszy ujrzał dziewiczy krajobraz. Siedząc obok przyjaciela w łodzi z brzozy kory, co niosła ich po falach rzecznych, napawał oczy dziką urodą puszczy i mokradeł, wśród których sunęli cicho niby zjawy senne. Serce biło mu w piersi radosnym rytmem, a oczy badały każdą gęstwę, każdy załom gruntu, chciwe widoku zwierzyny, której jak zapewniał Wabi, była tu niezliczona ilość. W poprzek jego kolan, w każdej chwili gotowy do strzału, leżał karabin Wabigoona. W rzeźkim powietrzu trwał jeszcze przymrozek ranny. Czasami otaczał ich las drzew liściastych, pełen purpury i złota, to znów nad samą niemal toń schodził ciemny sosnowy bór. Tu i ówdzie stały samotne modrzewie. Ogromną ciszę przerywały tylko głosy dzikich mieszkańców tej krainy. Kuropatwy nawoływały się w gąszczu; gęsi porywały się z trzciny, szumiąc potężnymi skrzydłami. Przed południem pierwszego zaraz dnia Rod drgnął słysząc silny chrzęst w poszyciu leśnym, zaledwie o rzut kamieniem od łodzi. Widział, jak gną się i chwieją młode drzewka porastające brzegi rzeki, i usłyszał nad uchem szept Wabigoona:

— Łoś!

Na to słowo ręce mu drgnęły, a krew w żyłach popłynęła szybciej. Nie miał w sobie jeszcze stoicyzmu wytrawnych myśliwych, ogromnego spokoju zachowywanego przez mieszkańców dalekiej północy wobec podobnych zjawisk. Rod nie widział przecie nigdy w życiu grubego zwierza na wolności.

Miał go zresztą wkrótce ujrzeć. Chwila ta nadeszła po południu. Łódź opływała z wolna półwysep rzeczny. Za tym półwyspem zgromadziła się spora ilość naniesionych prądem suchych pni i kiedy słońce zniżało się ku zachodowi, ostatnie jego blaski barwiły ciepłą po złotą nieruchomy stos drzewa. W słońcu tym, jak zwykle przed nadejściem zimowych nocy, biorąc słoneczną kąpiel leżał ogromny zwierz, na którego widok z piersi Roda wyrwał się okrzyk pełen podniecenia i zachwytu. Poznał, że ma przed sobą niedźwiedzia.

Niedźwiedź, zaskoczony niespodzianie, był o kilkadziesiąt metrów zaledwie. Rod błyskawicznie przyłożył karabin do ramienia, wycelował szybko i dał ognia. Miś piął się już wzwyż stosu, dążąc ku twardej ziemi; po strzale przystanął naraz, pośliznął się, o mało nie padł, ale po chwili, niby nabrawszy sił, podjął na nowo ucieczkę.

— Raniony! — wrzeszczał Wabi. — Prędeż! Wal jeszcze!

Drugi strzał Roda nie wywarł na pozór przynajmniej żadnego skutku. Podniecony, zapominając, iż znajduje się w chwiejnej łodzi, skoczył na równe nogi i strzelił po raz trzeci do niedźwiedzia, który lada moment miał zniknąć poza skłębionym zwałem drzew. Wabi i jego indiański sługa przeważyli błyskawicznie łódź w drugą stronę, sięgając jednocześnie wiosłami jak najgłębiej, ale wysiłki ich nie zdołały ocalić lekkomyślnego chłopca. Pozbawiony równowagi na skutek szarpnięcia fuzji, Rod kiwnął się w tył i chlupnął w wodę. Wabi przegiąwszy się chwycił tonącego za ramię.

— Trzymaj fuzję i nie ruszaj się! — krzyknął. — Gdybym cię teraz ciągnął do łodzi, na pewno by się wyróciła.

Skinął na Indianina, a ten z wolna jął wiosłować ku brzegowi. Potem, nachylony, uśmiechnął się ku ociekającej wodą twarzy Roda.

— Do pioruna, ostatni strzał jest pociechą dla nowicjusza! Dostałeś swego misia, mój drogi!

Nie zważając na niewygodną pozycję, Rod wydał radosny okrzyk, a zaledwie stopą dotknął gruntu, wyrwał się z ręki Wabigoona i pobrnął w stronę drzewnego zwał. Na szczycie znalazł

niedźwiedzia, którego uśmierciły dwie kule: jedna w czaszce, a druga między żebrami. Stojąc nad swą pierwszą tak wspaniałą zdobyczą, Rodryg spojrział w dół, gdzie towarzysze podróży wyciągali na brzeg łódkę, i wrzasnął pełen zachwytu tak donośnie, że krzyk jego dał się słyszeć chyba o pół mili w krąg.

— Postój i ogień będą wyłącznie dla ciebie! — śmiał się Wabi biegnąc ku niemu. — Masz fenomenalne szczęście! Urządźmy zaraz wspaniałą ucztę i olbrzymie ognisko z tego uschłego drzewa. Zobaczysz, jak cudownie spędzimy noc. Ho, Muki! — krzyknął w kierunku starego Indianina. — Poćwiartuj tego jegomościa, a ja założę obóz!

— Czy można zatrzymać futro? — zapytał Rod. — To moja pierwsza zdobycz, no i...

— Ależ oczywiście, że można! Pomóż mi rozpalić ogień, rozgrzejesz się prędzej!

Rod był tak podniecony myślą, iż pierwszy raz w życiu przenocuje pod gołym niebem, że zapomniał nawet o swej nieprzewidzianej kąpeli. Przed wszystkim rozpalono ognisko i wkrótce olbrzymi, bezdymny płomień rozlazał blask i ciepło na trzydzieści stóp w krąg. Wabi przyniósł z łodzi wełniane koce, zdjął z siebie część odzienia i ubrał w to Rodryga. Wkrótce obaj siedzieli przy ogniu, a rzeczy Roda suszyły się rozpięte na żerdziach. Rod widział potem, jak się robi szałas w głuszy leśnej. Wesoło gwiżdżąc Wabi przyniósł z łodzi siekierę i jął ścinać całe naręcza sosnowych gałęzi. Rod, owinięty w koce i podobny do karnawałowej figury, pomagał mu ochoczo. Nie minęło pół godziny, a już szałas jął przybierać określone kształty. Wbito w ziemię dwa konary, a na ich rozwidleniach oparto mocny drąg. Od tego drąga ukośnie puszczono ku ziemi długie żerdzie, które pokryto gęstą warstwą sosnowych gałęzi. Nim szałas był gotów, stary Indianin ukończył również ćwiartowanie niedźwiedzia. Ułożono teraz miękkie posłanie z pachnącego igliwia i gdy ogień wesoło trzeszczał, a noc osnuła las tajemniczym cieniem, Rod myślał pełen zachwytu, iż żadna w świecie powieść nie dałaby mu tak realistycznych przeżyć.. A gdy w parę chwil później ponad żarzącymi węglami rumienił się wielki kawał niedźwiedziego mięsa, a woń kawy łączyła się z zapachem placków ułożonych na ciepłych głazach, pojął, że ziściły się wreszcie jego najdroższe sny.

Nocy tej w złotym blasku ognia Rod słuchał przejmujących grozą opowiadań Wabigoona i starego Indianina, a potem czuwał do świtu niemal, łowiąc uchem dalekie wycia wilcze, tajemniczy chłopot nurtów rzecznych i dziwne okrzyki nocnego ptactwa. W ciągu trzech następnych dni doznawał wciąż nowych przygód. Pewnego mroźnego ranka, gdy towarzysze podróży spali jeszcze, wykradł się z obozu niosąc karabin przyjaciela i strzelał potem do napotkanego jelenia, chybiając dwukrotnie. To znów uganiał wraz z Wabim za wspaniałym renem, który choć ranny, przepłynął jezioro Sturgeon i znikł im z oczu.

Było piękne, jesienne popołudnie, gdy Wabi sokolimi oczyma dojrzał budynki Wabinosh House, z dała widoczne na tle nie kończącej się, rzekłbyś, linii boru. Gdy zbliżyli się nieco, radośnie jął wskazywać przyjacielowi poszczególne gmachy, a więc budynek kompanii, grupę domków urzędniczych i wreszcie siedzibę agenta, gdzie zapewne oczekiwano już drogich gości.

Od brzegu oderwało się naraz samotne czółno i ledwo dostrzegalna postać jęła ku nim powiewać białą chustką. Wabi krzyknął radośnie i unosząc w powietrze karabin, dwukrotnie strzelił.

— To Minnetaki! — wołał. — Mówiła, że będzie nas wyglądać i wyjedzie na spotkanie!

Minnetaki! Rod uczył lekki nerwowy dreszczyk. W czasie zimowych wieczorów Wabi tysiącrotnie opisywał mu ją; pełen braterskiego uczucia, malował siostrę żywymi barwami, aż Rod poznał ją i ukochał, choć nie widział pięknej dziewczyny nigdy w życiu.

Oba czółna szybko biegły ku sobie po gładkiej powierzchni wody i stanęły wnet burta w burtę. Minnetaki, chichocząc, przechyliła się zrećźnie i ucałowała brata, podczas gdy oczy jej strzygły ciekawie w stronę chłopaka, o którym słyszała już tak wiele.

Minnetaki była dziewczyną piętnastoletnią. Po matce miała gibką postać i nieporównany wdzięk ruchów. Gęstwa lekko falujących włosów otaczała śliczną twarzyczkę, a w grubych warkoczach, niedbale rzuconych na plecy, grały czerwienią i złotem wplątane w nie jesienne liście. Stanąwszy w łodzi, spojrzała z uśmiechem w oczy Roda, a on, przypominając sobie nakazy cywilizacji, zdjął kapelusz w szarmanckim ukłonie. Nagły poryw wiatru wyrwał mu to nakrycie głowy. Śmiech buchnął wnet z żywiołową siłą; śmiał się nawet stary Indianin. Minnetaki zaś pchnęła szybko swe czołno w stronę pływającego opodal kapelusza.

— Nie powinien pan nosić tego, gdy jest jeszcze ciepło — rzekła podając mu wyłowiony wiosłem kapelusz. — Wabi chodzi co prawda i latem z okrytą głową, ale ja nie!

— To i ja także nie będę — pośpiesznie zapewnił Rod. A gdy Wabi parsknął śmiechem, zaczerwienili się oboje jak wiśnie.

Zaraz po przybyciu do faktorii Rodryg przekonał się, że Wabi poczynił już wszelkie przygotowania dotyczące wspólnej wyprawy. W przeznaczonych dla gościa izbie wisiały: pięciostrzałowy karabin Remingtona i duży rewolwer ciężkiego kalibru; w kącie stały rakiety śnieżne i leżało moc drobiazgów mogących się przydać w leśnej guszy. Wabi wyznaczył również na mapie teren ich poczynić. W pobliżu faktorii wilki, tępione przez człowieka, były już nieliczne i miały się na baczności, ale o sto mil na północ lub wschód, wśród dzikich pól i borów, żyły ich całe hordy, dziesiątkując stada łosi, jeleni i renów.

W tamtych stronach właśnie miała być główna kwatery łowców. Należało ruszać w drogę niezwłocznie, bowiem chata z pni drzew, w której myśliwi chcieli spędzić zimę, powinna była stać, jeszcze zanim spadną wielkie śniegi. Wymarsz nastąpić miał za tydzień. Towarzyszem obu chłopców został stary Indianin Mukoki, daleki krewniak zamordowanego wodza Wabigoona.

W ciągu najbliższych sześciu dni, podczas gdy Wabi zastępował nieobecnego ojca prowadząc interesy kompanii, śliczna Minnetaki uczyła Roda, jak należy żyć w guszy leśnej. Czy to w łodzi, czy z karabinem w ręku, czy też tropiąc półzatarły ślad, Minnetaki wzbudzała zawsze zachwyt chłopca. Rodryg nie krył swych uczuć wobec przyjaciela, a Wabi podzielał je w zupełności.

Spośród wszystkich mieszkańców faktorii Minnetaki wstawiała najwcześniej. Rod niewiele dawał się jej wyprzedzać. Gdy jednak nadszedł wreszcie dzień wyjazdu młodych myśliwców, Rod spóźnił się i ubierał dopiero, gdy Minnetaki od dawna już pogwizdywała na dworze. Gwizdała zaś ślicznie i chłopak zazdrościł jej szczerze wyjątkowych zdolności w tym kierunku. Nim wyszedł na podwórko, dziewczyna już znikła na skraju boru, a Wabi, dawno ubrany krzątał się wraz z Mukim, pakując toboły podrózne. Ranek był piękny, pogodny i mroźny, a w ciągu nocy jezioro pokryło się cienką warstwą lodu. Wabi parokrotnie zwracał się w kierunku gęstwy leśnej, wydając znany okrzyk, ale żadna odpowiedź nie nadeszła.

— Nie wiem, dlaczego Minnetaki nie wraca — rzekł niedbale, zaciągając rzemień przy naładowanym już plecaku. — Śniadanie będzie wkrótce gotowe! Zawołaj ją, Rod. Dobrze?

Rodryg nie miał nic przeciwko temu. Pędem ruszył ścieżynką, którą jak wiedział, zazwyczaj chodziła Minnetaki. Dotarł wkrótce do pokrytego żwirem wybrzeża, gdzie dziewczyna . pozostawiała zawsze swoje czołno. Sprawdził wnet, że była tu przed chwilą, bowiem lód wokół czołna był wykuszony nieco. Musiała próbować jego mocy. Żwir zachował wiernie odbicie jej stóp.

— Minnetaki! Minnetaki!

Rod rzucił głośno jej imię i zamilkł nasłuchując. Odpowiedź nie nadeszła. Wówczas wiedziony przecuciem, którego sam nie umiałby określić, pognął w głąb leśną, trzymając się wciąż w pobliżu jej ścieżki. Po chwili przystanął i krzyknął raz i drugi. Cisza...! Pomyślał, iż dziewczyna mogła już zawrócić ku domowi lub też porzuciwszy ścieżkę weszła w gąszcz. Ale dalej nieco na miękkim

gruncie dojrzał znów jej wyraźny ślad. Przystanął ponownie i słuchał, powstrzymując nawet oddech. Nie wiedział wcale, czemu tak postępuje. Wiedział tylko, że od faktorii dzieli go już półmilowa przestrzeń i że Minnetaki nie powinna się tu znajdować w porze śniadaniowej.

Z dali dobiegł naraz ku niemu jakiś krzyk. Drgnął. Krew zastygła w nim, serce zda się przestało bić, a w następnej chwili gnał już jak jeleń wąskim szlakiem leśnej ścieżki. Nieco dalej leżała polana, wyżarta w gęstwie przez niedawny pożar, a na niej Rod ujrzał coś, co przejęło go niewymowną zgrozą. Zobaczył Minnetaki, całą w płaszczu starganych włosów, z głową owiniętą jakąś szmatą; dwóch Indian wlokło ją śpiesznie ku bliskiej już ścianie boru.

Rod stał parę sekund jak skamieniały. Potem wróciła mu zdolność ruchu i myśli, a wszystkie mięśnie sprężyły się gotowe do walki. Od szeregu dni ćwiczył się w strzelaniu z rewolweru i broń tę miał obecnie u pasa. Strzelić! A jeśli rani Minnetaki? U stóp swych ujrzał gruby konar w kształcie maczugi; schylił się, podniósł go i ruszył pędem przez polanę. Miękki mech głuszył jego kroki. Był już o parę metrów od celu swej pogoni, gdy Minnetaki, walcząc rozpaczliwie, potknęła się i niemal padła. Jeden z Indian, unosząc ją z ziemi, odwrócił nieco głowę i ujrzał Roda, jak pędzi ku nim ze wzniesioną maczugą. Dziki okrzyk Roda, bojowy wrzask Indianina — i walka się rozpoczęła. Chłopak gruchnął maczugą w kark jednego z opryszków, druzgocąc mu ramię, ale drugi czerwonoskóry, błyskawicznie dopadłszy z tyłu, chwycił go w pól.

Minnetaki, swobodna na razie, szybkim ruchem zerwała za słonę z oczu i ust. Natychmiast objęła wzrokiem sytuację. Ranny Indianin u jej stóp próbował już powstać, a tuż obok Rod i drugi napastnik tarzali się po ziemi, zaciekle walcząc. Widziała, jak palce Indianina zaciskają się na gardle jej obrońcy, jak bieleje twarz Roda i rozszerzają się nadmiernie jego oczy — i z łkaniem chwytając porzuconą na ziemi maczugę, opuściła ją całą siłą na łeb czerwonoskórego. Maczuga uniosła się trzykrotnie i trzykrotnie opadła, a palce na gardle Roda rozluźniły się nieco. Minnetaki po raz czwarty gotowała się do ciosu, gdy nagle obezwładnił ją silny chwyt z tyłu, a krzyk zamarł w zdławionej krtani. Ale Rod wyzyskał odpowiednią chwilę. Szalonym wysiłkiem wydarł rewolwer zza pasa i przywarł lufą do ciała przeciwnika. Dał się słyszeć głuchy strzał i Indianin z jękiem agonii padł wznak na ziemię. Na ten widok drugi napastnik puścił dziewczynę i rzucił się w gęstwę leśną. Minnetaki zachwiała się i upadła, a Rod, zapominając o pogoni, przykląkł obok, odrzucił jej z czoła splecione włosy i zaczął uspokajać i pocieszać, wynajdując najczulsze słowa.

Wabi i Mukoki znaleźli ich tak w pięć minut później. Wprowadził ich na właściwy trop pierwszy bojowy okrzyk Roda, a potem kierowali się już odgłosem walki. Dwaj urzędnicy faktorii, przeczuwając jakieś zajście, biegli tuż za nimi.

Jak się okazało, Minnetaki została napadnięta tak niespodziewanie, że nim zdołała krzyknąć, już jej szmatą zatkano usta. Woongowie zmusili ją potem, by szła sama jedna po miękkiej ścieżynce, dając pozór absolutnej swobody. Sami przedzierali się poprzez gęstwę, nie pozostawiając żadnych śladów. Liczyli na to, że ktokolwiek ujrzy samotny trop dziewczyny, nie domyśli się nigdy, iż tędy wiadziono branke.

Próba porwania Minnetaki, bohaterstwo Roda i śmierć jednego z napastników, w którym poznano wojownika Woongi — spowodowały w Wabinosh House niemałą sensację. Młodzi myśliwi odłożyli swą wyprawę na czas nieograniczony. Było jasne, iż Woonga musi znajdować się w pobliżu, toteż Rod i Wabi na czele wiernych Indian i paru traperów całymi dniami przetrząsali okoliczne bory. Ale bandyci znikli równie tajemniczo i nagle, jak się pojawili. Wreszcie Wabi otrzymał od siostry solenne przyrzeczenie, że nigdy już nie będzie się przechadzać samotnie z dala od domu, po czym obaj chłopcy podjęli na nowo przerwane przygotowania do dalekiej wyprawy.

I tak czwartego listopada, w piękny, mroźny ranek, Rod, Wabi i Mukoki wyruszyli w daleki świat

na spotkanie przygód, co czekały już na nich wśród białych pustyń północy.

IV PIERWSZE TRUDY

Mróz hulał nie na żarty; jeziora i rzeki głęboko zamarzły, a cienki kobierzec śniegu okrył ziemię. Popędzani dwutygodniowym opóźnieniem młodzi myśliwcy i Mukoki przecięli forsownym marszem północny kraniec jeziora Nipigon i szóstego dnia po wyruszeniu znaleźli się koło rzeki Ombabika, gdzie zmuszeni byli zatrzymać się na postój ze względu na straszliwą burzę śnieżną. Rozbito więc prowizoryczny obóz i właśnie w trakcie tych czynności stary Indianin znalazł pierwsze ślady wilcze. Postanowiono wówczas, że warto tu pozostać parę dni i zbadać tereny łowieckie. Rankiem drugiego dnia Wabi strzelał do starego łosia i ranił go. Był to ten sam olbrzymi łoś, którego tragiczną śmierć opowiedzieliśmy w pierwszym rozdziale tej powieści. Tegoż ranka obaj młodzi wyruszyli na rekonesans, chcąc się przekonać, czy okolica obfituje w potrzebną im zwierzynę, inaczej mówiąc, czy wilki znajdują się tu w dostatecznej ilości.

Mukoki został w obozie sam. Z powodu opóźnienia marsz odbywał się dotychczas nadzwyczaj śpiesznie, bez żadnych dłuższych postojów i bez wypraw myśliwskich, toteż nasi wędrowcy byli od tygodnia zupełnie pozbawieni świeżego mięsa, zadowalając się z konieczności konserwami i wędliną. Mukoki, którego potężny apetyt pobudzał równie potężną gorączkę łowiecką, postanowił w czasie nieobecności obu młodych zaopatrzyć nieco pustą spiżarnię. Opanowany tą myślą opuścił pod wieczór obóz z zamiarem możliwie rychłego powrotu.

Na plecach niósł dwa potężne sidła wilcze. Wędrując wzdłuż rzecznej łożyska, natknął się naraz na zamarzłe i poszarpane szczątki jelenia. Jasne było, że zwierzę padło zaledwie kilkanaście godzin temu; z odcisków łap na śniegu Mukoki wyczytał, że morderstwa dokonały cztery wilki. Jako wytrawny myśliwiec, Indianin był niemal pewien, że czworonożni zbóje tej nocy jeszcze powrócą do przerwanej uczy. Zatrzymał się więc tu czas jakiś, ustawił odpowiednio sidła i przykrył je parucalową warstwą śniegu.

Mukoki ruszył dalej i natrafił wkrótce na zupełnie świeży trop jeleni. Przekonany, że jelenie nie zechce się długo włóczyć po głębokim śniegu, podążył bez zwłoki jego śladem. O pół mili dalej przystanął nagle, pełen zdumienia. Inny myśliwiec dążył już tym samym tropem.

Mukoki posuwał się teraz naprzód nadzwyczaj wolno. Po chwili dojrzał na śniegu odbicie jeszcze jednej pary obutych w mokasyny nóg, a wkrótce i trzeci łowca przyłączył się do dwóch poprzednich.

Stary Indianin nie ustawał mimo to w pogoni, pchany zresztą bardziej ciekawością niż chęcią przyścia z ewentualną pomocą członkom swojej rasy. Na skraju gęstwy jodeł potknął się niemal o leżącego na śniegu trupa ściganego zwierza. Obejrzał go uważnie i po chwili wiedział już, że jelenie padł od kuli zaledwie dwie godziny temu. Trzej łowcy wycięli serce, wątrobę i ozór oraz zabrali cały zad, pozostawiając resztę mięsa wraz ze skórą. To, że wzgardzili najbardziej wartościową częścią upolowanego zwierza, wydało się Mukokiemu bardzo dziwne. Z nowym zainteresowaniem jął badać odciski stóp. Zrozumiał wkrótce, że nieznani łowcy śpieszyli się bardzo i że po zabraniu mięsa ruszyli pędem chcąc zapewne nadrobić stracony czas.

Stary Indianin, wciąż jeszcze pełen ciekawości, wrócił do resztek jelenia, odciął łopatki i żebra, zawinał wszystko razem w skórę i zarzuciwszy ciężar na plecy, ruszył z powrotem do obozu. Gdy odnalazł go, było już ciemno. Wabi i Rod nie wrócili jeszcze. Rozpalił więc potężny ogień, zawiesił nad nim mięso i niecierpliwie czekał powrotu przyjaciół.

W pół godziny później usłyszał wołanie, a nadbiegłszy ujrzał, jak Wabi trzyma w ramionach

półomdłałego Roda.

Rannego chłopca natychmiast zanesiono do obozu i dopiero gdy leżał na wygodnym pościeli pod namiotem, w ciepłym blasku ognia, Wabi dał Mukokiemu pewne wyjaśnienia.

— Zdaje mi się, Muki, że ma złamane ramię. Czy jest ciepła woda?

— Postrzał? — zagadnął Indianin zamiast odpowiedzi. Ukląkł obok Roda i wyciągnął ku niemu niespokojne ręce.

— Nie. Uderzony maczugą.. Spotkaliśmy trzech Indian, myśliwych... Obozowali pod gołym niebem... Jedli. Zaprosili nas do wspólnej uczy... Kiedy posilaliśmy się, nic nie podejrzewając, skoczyli na nas... Rod zarobił to, a stracił swój karabin...!

Mukoki szybko obnażył lewy bok i ramię rannego; powyżej pasa widniał olbrzymi siniak, a ramię było czarne i spuchnięte. Mukoki był zawołanym chirurgiem; takich lekarzy spotyka się jedynie wśród dzikich krain, gdzie przyroda sama uczy ich, jak stawiać diagnozę i jakie stosować leki. Badanie przeprowadził szorstko i bezwzględnie, naciskając i gniotąc chore ramię, aż Rod jęczał z bólu. Wreszcie stary Indianin orzekł z błyskiem zadowolenia w oczach:

— Kość nie jest złamana, a najgorsze to! — palcem dotknął sińca. — Omal żebra nie pękły! Zaparło dech i stąd wielka słabość. Trzeba dobrze zjeść, wypić gorącej kawy i dać się natrzeć niedźwiedzim sadłem. Wszystko będzie dobrze!

Rod, który właśnie otworzył oczy, uśmiechnął się blado, a Wabi krzyknął z radości.

— Nie jest tak źle, jak myśleliśmy! Prawda, Rod? — zawołał. — Muki się nie myli! Jeśli mówi, że ramię jest całe, to możemy mu śmiało wierzyć! Zawinę cię zaraz w te koce, a wkrótce zjemy kolację tak pyszną, że zapomnisz o wszystkich bólach. Czuję mięso! Świeże mięso!

Mukoki zerwał się z radosnym chichotem i skoczył ku ognisku, nad którym piekły się już jelenie żebra. Nabierały właśnie pięknej, brunatnej barwy, a rozkoszna woń łechtąła nozdrza. Nim Wabi opatrzył skaleczenia Roda i owinął je czystym bandażem, ucza była zupełnie gotowa.

Gdy podano rannemu spory kawał mięsa, chleb i kubek dymiącej kawy, Rod uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem.

— Wiesz, Wabi, że wstydzę się trochę! — rzekł zarumieniony. — Sprawilem wam obu tyle kłopotu, a teraz widzę, że nie mam nawet złamanej ręki, a głodny jestem jak niedźwiedź. Głupio, prawda? Wolałbym bodaj, żeby moja łapa była naprawdę pęknięta!

Mukoki zatopił już zęby w tłustym kęsie pieczonego mięsiwa, ale przestał na chwilę jeść, by móc się pośmiać radośnie.

— Ugh! — wykrzyknął Wabi. — A to świetna nowina! — Echo jego okrzyku poszło daleko w las. Opamiętał się wnet i podejrzliwie rzucił wzrokiem w mroczną dal poza obrębem świetlnego kaliska.

— Czy sądzicie, że pójda naszym śladem? — spytał.

Nie odpowiedział mu nikt i nastąpiła długa cisza. Potem Wabi kończył opowiadać dzisiejsze przygody. Napad był tak gwałtowny, że Indianie unieśli broń i amunicję Roda, nim chłopcy zdążyli się opamiętać. Jeden umykał ze zdobyczą; dwaj pozostali obezwładniliby Wabiego, gdyby nie pomoc Roda. Rodryg uratował przyjaciela, ale sam doznał ciężkich obrażeń; zwałił go cios maczugi czy też kolby karabinu. Wabigoon jednak zdołał się podnieść i Walczył tak zaciekle, że napastnicy wreszcie zbiegli, zadowolając się osiągniętą już zdobyczą.

— To byli bez wątpienia ludzie Woongi! — kończył Wabi. — Dziwi mnie tylko, że nie zamordowali nas. Nie strzelali nawet. Nie rozumiem!

Urwał zamyślony, a Mukoki opowiedział wnet o swym spotkaniu i tajemniczym pośpiechu trzech indiańskich łowców.

— To ciekawe! — zauważył Wabi. — Nie mogą to być oczywiście ci, których myśmy spotkali, ale sądzę, że należą do tej samej bandy. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybyśmy się natknęli na jedną z kryjówek Woongi. Myślałem zawsze, że przebywa na zachodzie, opodal zatoki Thunder, i tam właśnie ojciec go szuka. Wleźliśmy w gniazdo szerszeni, Muki, i chyba zrobimy dobrze, wynosząc się stąd jak najprędzej!

— Stanowimy obecnie wspaniały cel — zauważył filozoficznie Rodryg, patrząc na drugą stronę rzeki, gdzie księżycowy blask pogłębiał jeszcze panującą ciemność.

Podczas gdy mówił, tuż obok dał się słyszeć lekki chrzęst, jak gdyby jakieś ciało pełznące rozsuwało gęstwę. Potem rozległo się głośnie sapnięcie i wreszcie ledwo dosłyszalny pisk.

— Słyszysz! — szepnął Wabi bezdźwięcznie niemal. Przechylił się poprzez gałęzie, rozsunął je i zajrzał w gąszcz.

— Halo, Wolf! Co się stało?

Opodal, uwiązane przed zbudowaną z jedliny budką, podejrzliwie węsząc, stało chude, podobne do psa zwierzę. Wystarczyła zresztą chwila obserwacji, by się przekonać, iż jest to po prostu dorosły wilk. Od małego szczenięcia Wabi hodował go wraz z psami, pomimo to jednak dziki instynkt brał w nim górę. Byle pękła obroża lub urwał się rzemień, a wilk natychmiast skoczyłby w las i przystał na zawsze do stada swych współbraci. Na razie jednak mocno uwiązany Wolf zwracał pysk ku niebu, uszy mu drgały, łowiąc nieuchwytnie dla ludzkiego słuchu szmery, a w jego gardle bulgotał niewyraźny warkot.

— Ktoś czai się opodal obozu! — gorączkowo rzucił Wabi. — Ho, Muki...!

Przerwało mu mowę długie, jęklive wycie Wolfa.

Mukoki zręcznie jak ryś skoczył na równe nogi i z bronią w pogotowiu okrążywszy szałas, znikł w mroku nocnym. Rod leżał dalej, Wabi natomiast chwycił drugi karabin i podążył za starym Indianinem.

— Leż tu w mroku, Rod! — rzucił przyjacielowi na odchodnym. — Pilnuj, by cię ogień nie oświecał. To pewnie po prostu jakieś zwierzę, ale chcemy mieć zupełną pewność.

W dziesięć minut później Wabi wrócił sam. — Fałszywy alarm! — rzucił śmiejąc się. — Tam w górze leży jelenie padło. Najwidoczniej rozszarpały je wilki, a teraz Wolf zwęszył swych współbraci powracających do przerwanej uczty. Muki zastawił sidła i być może rankiem dostaniemy pierwsze skalpy!

— Gdzie jest Mukoki?

— Na czatach. Będzie pilnował obozu do północy, a potem ja go zastąpię. Gdy Woonga jest w pobliżu, należy się strzec!

Rod poruszył się z trudem.

— A co będziemy robić jutro? — spytał.

— Ruszymy dalej, oczywiście jeśli będziesz mógł iść. Z naszych wspólnych obserwacji wynika, że ludzie Woongi przebywają obecnie w lasach po drugiej stronie jeziora. Pójdziemy w górę rzeki, a po dwu, trzech dniach rozbijemy obóz na stałe. Gdy tylko zaświta, ty i Muki, możecie iść.

— A ty?

— Och, ja pobiegnę naszym szlakiem wstecz i zbiorę skalpy wilcze, któreśmy dzisiaj zdobyli. Będiesz miał od razu miesięczną pensję, Rod! A teraz spać! Miłych marzeń i wczesnego przebudzenia.

Po całodziennym zmęczeniu i tylu mocnych wrażeniach chłopcy głęboko usnęli. I choć północ nadeszła i minęła, a szary świt rozjaśnił niebo, Mukoki nawet nie próbował ich budzić. Niezmordowanie aż do rana pełnił swoją straż. O pierwszym brzasku dnia podsycił ogień, aż jął

buzować wściekle. Potem wygrzebał z płomieni stos czerwonych węgli i zaczął przyrządzać śniadanie. Wabi, budząc się, ujrzał go właśnie przy tej robocie.

— Nie myślałem nigdy, Muki, że tak ze mnie zakpisz! — rzekł, a na jego smagłej twarzy malowało się silne zmieszanie. — Jesteś bardzo miły, ale wolałbym doprawdy, żebyś przestał mnie traktować jak małe dziecko!

Pieszczotliwie położył dłoń na ramieniu klęczącego Indianina, a stary myśliwiec o spalonej wichrami twarzy uśmiechnął się doń serdecznie. On to przecież, gdy dziecko nie umiało jeszcze chodzić, nosił maleńkiego Wabi w głębiny leśne; on bawił się z nim, troszczył o niego i uczył pojmować przyrodę; on wreszcie tęsknił za swym wychowankiem, gdy ten odjechał do szkół; W surowym sercu czerwonoskórego Wabi i jego siostra panowali niepodzielnie; był dla nich, zda się, drugim ojcem, zawsze gotów do opieki i obrony. Dotknięcie ręki Wabigoona stanowiło dlań dostateczną nagrodę za całonocne trudy, toteż wyraził swą radość krótkim chichotem. — Miałeś zły dzień, męczący — odparł. — Ja czuję się doskonale, lepiej, niż gdybym spał!

Powstał z klęczek i podał Wabiemu długi widelec, którym obracał mięso na rożnie.

— Zajmij się tym — rzekł — a ja pójdę zwiedzić sidła. Rod, zbudzony właśnie, usłyszał ostatnie zdanie i zawołał spod namiotu:

— Poczekaj chwilę, Mukoki! Pójdę z tobą! Jeśli złowiłeś wilka, chcę go widzieć!

— Oczywiście, że złowiłem — zachichotał stary Indianin. Rodryg wyszedł po chwili z namiotu, ubrany już i wyglądający znacznie rzeźwiej niż poprzedniego dnia. Stał przy ognisku, przeciągnął się, uniósł jedno ramię, potem drugie i oznajmił, że czuje się doskonale, a tylko ramię i bok dolegają mu jeszcze dość mocno.

Ruszyli wzdłuż rzeki, idąc bardzo wolno, by „Rod mógł odnaleźć sam siebie, jak mówił Wabi. Ranek był chmurny i wielkie płaty śniegu krążyły w powietrzu, zapowiadając nową śnieżycę. Mukoki zastawił swe sidła zaledwie o paręset metrów od obozu. Gdy minęli bliski zakręt rzeczny, stary Indianin przystanął naraz z pomrukiem głębokiego zadowolenia. Idąc po linii jego wzroku, Rod ujrzał ciemny, wydłużony kształt, leżący opodal na śniegu.

— Ot i jest! — zawołał Mukoki.

Gdy podeszli bliżej, zwierzę zda się ożyło; jęło rwać i szarpać żelaza niby w kurczach agonii. W chwilę potem dwaj myśliwi stali tuż obok więźnia.

— Wilczyca! — wyjaśnił Mukoki. Ujął krzepko przyniesiony z sobą topór i podszedł tuż do pojmanego zwierza. Rod widział, że jedno ze stalowych sideł trzyma wilczycę za przednią łapę, a drugie za tylną. Nie mogła więc uciekać ani się bronić. Leżała bez ruchu niemal, jedynie białe jej kły lśniły, szcękając cicho a groźnie, podczas gdy w szeroko rozwartych ślepiach malowały się ból i wściekłość. Wychudzone cielsko drżało i kurczyło się ze strachu przed człowiekiem. Widok ten byłby dla Roda niezmiernie przykry, gdyby nie wspomnienia ubiegłej nocy, kiedy to on i Wabi omal nie zostali rozszarpani przez stado wilcze.

Parę szybkich ciosów topora i wilk legł trupem. Indianin wyjął nóż i ze zręcznością właściwą jedynie członkom jego rasy zatoczył kolisko wokół szyi zwierza, tuż poniżej uszu. Szarpnął potem raz w górę, raz w dół, dwa razy na boki i zdjął skórę z wilczego łba.

Rod, przyglądający się tej czynności, rzucił naraz impulsywnie:

— Czy i ludzi także skalpujecie w ten sposób? Mukoki podniósł głowę, spojrział i roześmiał się dziwnie,

— Nigdy nie . skalpowałem białych! — odparł szybko. — Ale ojciec mój robił to będąc młodym. Miał bardzo, bardzo wiele skalpów. Wracali już do obozu, a Mukoki chichotał wciąż jeszcze.

Śniadanie zajęło im najwyżej dziesięć minut czasu. Śnieg rozpadał się na dobre i gdyby podjęli natychmiast dalszą podróż, należało przypuszczać, że ślady ich wkrótce się zatrą; było to najlepsze, co mogło im się przytrafić w krainie Woongi. Z drugiej strony Wabi chciał co prędzej ruszyć wczorajszym tropem, nim śnieg zdoła go zmać. Obawa zbłądzenia i zagubienia się wzajemnie nie mogła istnieć, postanowiono bowiem, że Rod i Mukoki pójdą wprost w górę rzeki, Wabi zaś dopędzi ich jeszcze przed nocą.

Uzbrojony w karabin, rewolwer, nóż i ostrą siekierę u pasa, młody Indianin bez zwłoki porzucił obóz. W kwadrans potem wynurzał się ostrożnie z lasu na brzeg jeziora, gdzie wczoraj stary łos wiódł nierówną walkę z wilczym stadem.

Od pierwszego rzutu oka poznał wynik walki. Na śniegu leżał potężny, ogołocony z mięsa szkielet i olbrzymie rogi.

Stojąc na arenie wczorajszego boju, Wabi dałby wiele, by Rod mógł również na nią spojrzeć. Ze wspaniałego łosia pozostał jedynie stos nagich kości. Ocalał jednak również piękny łeb i rogi — największy łeb i największe rogi, jakie młody Indianin widział kiedykolwiek w życiu. Przyszło mu na myśl, że jeśli zdoła je zachować i zawieźć do faktorii, bez trudu otrzyma za nie sto dolarów, a może i więcej. Stary łos stoczył bez wątpienia wspaniały bój — to nie podlegało kwestii. W odległości kilkudziesięciu stóp leżały kości jednego wilka, a tuż pod szkieletem łosia — kości drugiego. Łby ich pozostały nietknięte niemal, toteż Wabi zdjął z nich skalpy, po czym ruszył w dalszą drogę.

W połowie jeziora leżały dwa wilki, ofiary dwu ostatnich jego strzałów; w zaroślach u skraju boru znalazł się jeszcze jeden trup. To zwierzę było zapewne tylko ciężko ranne, a dobił je któryś z towarzyszy. O pół mili, w gęstwinie, napotkał znowu dwa szkielety; w czasie odwrotu strzelał tam pięciokrotnie, nie mierząc do poszczególnych sztuk, lecz do całego stada. Zabrał więc siedem skalpów, nim ruszył w powrotną drogę.

Przy szczątkach starego łosia przystanął raz jeszcze. Wiedział, że Indianie przechowują często myśliwskie trofea zamrażając je; łeb i rogi, które miał przed sobą, warte były zachodu. Ale jak je przechować kilka miesięcy, inaczej mówiąc — do ich powrotu. Nie można przecie zawiesić tego na drzewie, jak się zazwyczaj robi w obozowiskach. Może się trafić nieuczciwy przechodzień i skraść drogocenną zdobycz. Zresztą pierwsze promienie słońca spowodują rozkład...

Nagle olśniła go wspaniała myśl. Dlaczego nie ma urządzić tak zwanej „indiańskiej skrytki”? W jednej chwili zabrał się do dzieła. Praca nie była łatwa. Zaniósł najpierw olbrzymi łeb w modrzewiową gęstwę i tam, dobrze ukryty, zaczął badać swój skarb. Wilcze kły silnie uszkodziły kość, ale Wabi wi dział niejednokrotnie w Wabinosh House, jak mistrzowsko indiańscy rzemieślnicy naprawiali o wiele gorsze uszkodzenia.

W kolisku zwartych pni, gdzie zapewne z rzadka tylko docierał promień słońca, czerwonoskóry chłopak puścił w ruch swoją siekierę. Pracował zaciekle półtorej godziny i po upływie tego czasu wyciął w zamarłej ziemi otwór na trzy stopy głęboki i mający do pięciu stóp średnicy. Jamę wysłał śniegiem i ubił go mocno kolbą fuzji. Potem umieścił łeb, obłożył go nową warstwą śniegu, zasypał wszystko ziemią i udeptał, jak mógł najsilniej. Skończywszy posypał kryjówkę śniegiem dla niepoznaki, zrobił dwa tajemne nacięcia na pobliskich konarach i odetchnął zadowolony.

— Każdy z nas zarobi na tym przeszło trzydzieści dolarów! — filozofował radośnie, dążąc z powrotem ku rzece. — Ziemia odtaje tu najwcześniej w czerwcu. Łeb łosia i osiem skalpów wilczych po piętnaście dolarów sztuka to wcale nieźle jak na jeden dzień. Jak sądzisz, Rod, mój stary? . Wyprawa jego trwała trzy godziny. Nim, dotarł do miejsca nocnego postoju, ślady wiodące zeń były już na wpół zatarte, co świadczyło, że Rod i Mukoki nie zwlekali z opuszczeniem obozu.

Chyląc twarz przed białym tumanem zalepiającym mu oczy, Wabi śpiesznie ruszył w pogoń. Biegł

środkiem rzeki, ale śnieżycą była tak zwarta, że tracił nieraz z oczu brzegi Ombabiki, a trop przyjaciół, ledwo majaczył u jego nóg. Rozmyślał, że ucieczka z krainy Woongi układa się bardzo pomyślnie. O zmroku będą już daleko i nie pozostanie żaden ślad mogący zdradzić ich obecność lub kierunek ucieczki. W ciągu dwu godzin gnał niestrudzenie, a przed nim odciski nóg na śniegu widniały coraz wyraźniej, świadcząc niezbicie, że dogania swych przyjaciół.

Po trzech godzinach, w czasie których przebył około dziesięciu mil, Wabi postanowił odpocząć i posilić się nieco wziętymi z obozu zapasami. Dziwiła go wytrzymałość Roda. Sądząc z tropu, biały chłopak i Indianin znajdowali się jeszcze o parę mil na przedzie, chyba że i oni również przystanęli na obiad. Po namyśle uznał to za rzecz zupełnie możliwą.

Okolica wokoło była dziwnie cicha. Nawet żaden ptak się nie odzywał. Wabi siedział chwilę, równie nieruchomy jak pień drzewa, na którym spoczął. Patrzył i nasłuchiwał. Dni podobne do dzisiejszego miały dlań szczególny urok. Wydawało się, iż usnęły wszystkie żywe istoty. Nikt i nic nie śmie zawadzać przyrodzie, gdy ta hojną dłonią snuje białe płaszczyzny i rozpościera go wokół.

Gdy tak marzył, dobiegł doń naraz daleki dźwięk. Był to odgłos strzału. Tuż po pierwszym ozwał się drugi, trzeci, aż kolejno naliczył ich pięć.

Co to miało znaczyć? Wabi wydał zdławiony okrzyk i zerwał się na równe nogi. Serce waliło w nim jak młotem; każdy nerw drżał. Przysięgłby, że to karabin Mukiego, ale gdy się rozstawali, Muki przyrzekł, że nie będzie strzelał do zwierzyny.

Więc nowy napad?

W chwilę później Wabi gnał przed siebie z szybkością jelenia.

V TAJEMNICZE STRZAŁY

Biegąc w kierunku strzałów, Wabi zapomniał zupełnie o wszelkiej ostrożności. Krew wrzała w nim na myśl, że może przybyć zbyt późno, by uratować przyjaciół. Lęk jego zwiększała absolutna cisza, która teraz zapadła. Z początku pełen niepokoju, potem z rozpaczą niemal, starał się pochwycić nowe odgłosy walki: trzask rewolweru Mukiego lub okrzyki zwycięstwa Roda. Ale panujące milczenie mówiło mu, że walka, jeżeli była, skończyła się już. Przekonanie to z minuty na minutę rosło w sercu Wabigoona i podczas gdy drżącymi palcami macał kurek fuzji, z ust jego wyrывało się niemal łkanie.

Przed nim rzeka zwężała się coraz bardziej, aż zginęła niemal w gęstwinie olbrzymich cedrów. Bliskość ścian boru zwiększała panującą ciemność, zapadł już bowiem zmierzch, choć południe niedawno minęło. U wejścia w ten cedrowy wąwóz Wabi na chwilę przystanął. Słuchał. Nie słyszał nic poza biciem własnego serca, walącego mu w piersi jak młotem. Panowała przygnębiająca cisza. A im dłużej nasłuchiwał, tym silniej niewidzialne ramię zdawało się odciągać go wstecz. Nie był to lęk ani brak odwagi. Tylko...

Tylko zdaje się, że za tymi drzewami ktoś się czai... Ktoś wygląda spoza tego pnia...

Wabi instynktownie przykłęknął. Nie widział właściwie nic i nic nie słyszał; przypadł jednak do śniegu i rozpląszczył się tak, że tworzył jedynie mało widoczną plamę. Ze śmiertelną powagą w oczach zwrócił karabin ku pobliskiej gęstwinie. Coś zbliżało się bardzo wolno i bardzo ostrożnie. Był tego pewien, choć brakło jakichkolwiek oznak po temu. Oczy młodego Indianina lśniły podnieceniem. Mijała minuta za minutą, a wokół nie budził się żaden dźwięk.

Nagle w głębi cedrowej gęstwy zerwał się krzyk ptasi. Było to ostrzeżenie, które Wabi w ciągu paroletniej włóczęgi wśród puszczy nauczył się cenić. Być może, żerujący lis nastraszył ptaka albo zerwał się on na widok łosia lub jelenia. Ale być może również...

Dla młodego Indianina krzyk ten oznajmiał przede wszystkim bliskość ludzi. Zerwał się więc błyskawicznie i skoczył pod osłonę drzew. Przedzierał się teraz poprzez gęstwę, idąc cicho wzdłuż brzegu zamarzłej rzeki. Po chwili stanął ponownie i kucnął w śniegu, kryjąc się za zwalony pień. Przed sobą miał maleńką polanę i ktokolwiek by na tę polanę wkroczył, nie mógł się już przed nim skryć. Ogarnęło go wielkie podniecenie; słuch naprężył się do ostateczności. Tuż prawie zabrzmiał skrzek rudej wiewiórki. Raz doszedł go pstry trzask, jak gdyby ktoś przez nieuwagę trącił lufą karabinu suchy konar.

I naraz dojrzał, a raczej wydało mu się, że widzi cień to ukazujący się, to znikający w mroku. Otarł rękawicą śnieg nawisły na brwiach i rzęsach i patrzył uporczywie a badawczo. Cień znikł i pojawił się ponownie, większy teraz i wyraźniejszy. Nie mogło już być wątpliwości, że nadchodzi ten, czyje zbliżenie obwieścił krzyk ptasi. Wabi przyłożył karabin do ramienia. Życie i śmierć snuły się wokół jego obnażonych, wspartych na cynglu palców. Nie strzelał jednak; czekał... Cień zbliżał się i rozpadł wreszcie na dwa cienie. Wabi rozpoznał już bez trudu postacie ludzkie. Szły ostrożnie, półzgięte, jak gdyby wietrząc zasadzkę. Serce młodego Indianina drgnęło radośnie. Bez wątpienia Rod i Mukoki żyli jeszcze, po cóż by bowiem ludzie Woongi zachowywali taką ostrożność. Ale zaraz nowa myśl jak zimna dłoń chwyciła go za gardło. Rod i Mukoki wpadli w zasadzkę! A Woonga wysłał tych dwu wojowników na poszukiwanie trzeciego wroga!

Powoli, rozważa ostnie palce młodego Indianina nacisnęły cyngiel. Parę kroków jeszcze i wtem...

Cienie przystanęły zdając się naradzać. Były o dwadzieścia metrów zaledwie i przez chwilę

Wabi, opuściwszy karabin ku ziemi, wyteżał słuch. Łowił uchem niski, monotony szept ich mowy. Potem dobiegły doń dwa słowa wypowiedziane dość głośno:

— *Ali right!*

Ach! Gdyby nawet Woonga mówił po angielsku, to nie miałby przecie takiego akcentu! Wabi zawołał półgłosem:

— Muki! Ho, Muki! Rod!

W następnej już chwili trzej myśliwcy stali razem i milcząc ściskali się za ręce; śmiertelnie blada twarz Roda i wzburzone rysy obu Indian dowodziły głębokiego podniecenia.

— Tyś strzelał? — szepnął Mukoki.

— Nie! — zaprzeczył Wabi, a oczy jego rozszerzyły się pełne zdumienia. — Więc nie ty strzelałeś?

— Nie!

To jedno słowo niosło nową groźbę. Skąd padło te pięć strzałów? Myśliwi spoglądali sobie w oczy z niemym pytaniem w głębi źrenic. Bez słowa Mukoki wskazał dłonią rzekę poza cedrową gęstwą. Ale Wabi przecząco ruszył głową.

— Tam nie było śladów — szepnął. — Nikt tamtędy nie przechodził.

— Więc może są tam? — szepnął Rod spoglądając w głąb boru.

— Nie — lakonicznie zaprzeczył Mukoki.

Wszyscy trzej stali dłuższy czas milcząc. Z głębi boru, oddalone o pół mili zaledwie, dobiegło ich wycie wilka. Wabi spojrzał ciekawie w oczy starego Indianina.

— To ludzki zew — szepnął. — Wilk poczuł ludzką woń i wyje. Ale ja tamtędy nie szedłem.

— My także nie — odparł Rod.

To samotne wycie było jedynym dźwiękiem, jaki zmącił ciszę zmierzchu. Mukoki zawrócił w miejscu i ruszył w las, a dwaj młodzi poszli jego śladem. O ćwierć mili dalej rzeka zmieniała się w potok, płynąc poprzez wzgórza i złomy skał, a te rosły wciąż, przechodząc z czasem w górskie zbocza. Wkrótce stało się niepodobieństwem iść wzdłuż zamarzonego koryta. Szlak, którym uprzednio posuwali się Rod i Mukoki, wiódł w szczelinę, co dzieliła na pół ścianę głazów. W dziesięć minut później trzej łowcy wspięli się na stromą pochyłość i ujrzeli u stóp skalnego złomu ślady nie wygasłego ogniska. Tu właśnie rozbili obóz Rodryg i Mukoki czekając na Wabigoona, gdy zaniepokoiły ich tajemnicze strzały. I oni również uwierzyli, że są to odgłosy zasadzki zastawionej na przyjaciela.

Pod ścianą skalną stał wygodny szałas z jedliny, a tuż przy ognisku, porzucony w pośpiechu, leżał kawał wędzonego mięsa. Miejsce na obóz było doskonale wybrane i po męczącym marszu dwaj chłopcy zawczasu rozkoszowali się myślą o wypoczynku, nie dbając zbytnio o wrogów, zaczajonych być może w pobliżu. Rod i Wabi postanowili nawet, że i noc tu spędzą. Podsycali właśnie ogień naręczami suszu, gdy zwróciło ich uwagę dziwne zachowanie się Mukiego. Indianin stał wsparty na fuzji, milcząc i bez ruchu, a oczy jego niechętnie sierzdziły bijący w górę płomień. Wabi klęcząc spojrzał nań badawczo.

— Nie trzeba podsycać ognia — rzekł Mukoki potrząsając głową. — Nie możemy tu zostać. Trzeba iść dalej, za góry.

Stary Indianin wyprostował się i wyciągnął ramię ku północy.

— Rzeka idzie przez góry... — mówił dalej. — Warczy, szumi i pieni się wśród skał... Potem wylewa się w dolinę i cichnie... Pójdziemy z nią. Śnieg będzie sypała noc. Rankiem Woonga nie znajdzie śladów. Jeśli ruszymy dopiero o świcie, zostanie wielki trop. Woonga od razu zobaczy!

Wabi wstał, choć na jego twarzy malowało się wielkie rozczarowanie. Wędrował przecież od

wczesnego ranka, często nawet dla pośpiechu biegnąc; i z przyjemnością zgadzał się na pewne ryzyko, byle spokojnie pożywić się i wyspać. Rod czuł się gorzej jeszcze, choć odbył znacznie krótszą drogę. Długą chwilę obaj chłopcy patrzyli sobie w oczy, nie próbując nawet ukryć przykrości, jaką sprawiła im propozycja starego Indianina. Ale Wabi był zbyt rozumny, by poważnie protestować. Jeśli Mukoki twierdzi, że stanowczo należy ruszać dalej, to widocznie ma rację. Po co się spierać. Mukoki słynie przecie jako najlepszy myśliwiec swego szczepu i każde jego słowo jest prawem. Uśmiechając się więc zachęcająco w stronę Roda, który istotnie potrzebował pociechy i oparcia, Wabi jął umocowywać na ramionach zdjęty przed chwilą plecak.

— Góry niezbyt wielkie — pocieszał Mukoki. — Dwie, trzy mile i potem rozbijemy obóz. Pójdziemy wolno, a kolacja będzie wspaniała!

Z małych sanek, na których łowcy wlekli swój dobytek, zdjęto uprzednio tylko kilka paczek, toteż Mukoki w dwie minuty przygotował je do drogi. Ruszyli teraz szczytem dzikiej i malowniczej wyniosłości. Prowadził Wabi, zgięty pod niesionym na plecach ciężarem, wybierając dla sań możliwie dogodne przejście i ścinając siekierką zamykające szlak gałęzie. Mukoki szedł za nim wlokąc sanki, a za saniami, mocno uwiązany rzemieniem ze skóry łosiej, biegł Wolf. Rod, obarczony najłżejszym plecakiem, zamykał pochód. Zmierzch zapadał szybko. Rod, od którego Wabi był oddalony zaledwie o kilkanaście metrów, widział sylwetkę przyjaciela jak przez mgłę. Mukoki, zgięty w uprzęży, czerniał w mroku jak ruchomy cień. Jedynie wilk był o tyle blisko, że stanowił niejaki towarzystwo dla znużonego i przygnębionego chłopca.

Zazwyczaj zapach Roda niełatwo ostygł, ale tym razem biedak marzył potajemnie, by chociaż na jedną noc znaleźć się w faktorii i siadłszy wygodnie, słuchać, jak śliczna Minnetaki opowiada legendy z życia ptaków lub zwierząt. Jakżeby to było błogo...!

Radosna wizja znikła jednak, rozwiana w najmniej oczekiwany sposób. Oto Mukoki przystanął na chwilę, a Rod, nie świadomy tego, co się dzieje wokół, szedł dalej, aż wpadł na sanki, potknął się i przeleciał przez nie, podbijając nogi Mukiego. Gdy Wabi nadbiegł, znalazł Roda leżącego na brzuchu pod zaplątanym w uprzęży Mukim.

Wypadek ten miał zresztą dobre skutki. Wabi, obdarzony niepoślednim zmysłem humoru, śmiał się pomagając przyjacielowi wstać. Rod zaś otarł z oczu i ust biały pył, wytrząsnął śnieg zza kołnierza i zawtórował mu radośnie.

Im dalej szli, tym bardziej zwężała się ścieżka. Na prawo, głęboko w dole, huczał potok, nie ścięty jeszcze lodem; słuchając tego grzmotu Rod wiedział, że gdzieś blisko jest przepaść. Złomy skalne i olbrzymie głazy, wydarte z wnętrza góry jakimś kataklizmem, raz po raz zamykały im drogę. Każdy krok naprzód wymagał znacznego wysiłku. Potok aż się zachłysnął w szalonym ryku, a poprzez coraz głębszy mrok można już było dojrzeć wspięty ponad próżnią przepołowiony górski szczyt.

Po chwili Wabi zajął miejsce Mukiego.

— Muki bywał już tu dawniej! — krzyknął młody Indianin do ucha Roda. Szum wodospadu zagłuszył niemal zupełnie jego głos. — Tędy właśnie rzeka przechodzi na drugą stronę gór!

Rod, podniecony, zapomniał nawet o zmęczeniu. W najgorętszych marzeniach nie przeżywał nigdy takiego splotu przygód. Zbliżali się coraz bardziej do przepastnej głębi, w którą spadał nurt rzeczny, ale nic jeszcze nie można było dojrzeć. Wyteżał wzrok i słuch, pewien, że lada chwila usłyszy ostrzegawczy głos starego Indianina. Naraz, tak niespodziewanie, że aż dreszcz go przeszedł, ujrzał ciemną sylwetkę góry po tamtej stronie przepaści. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. W dole, na lewo, ziała mroczna głębia; na prawo wznosił się prostopadły niemal mur. Nie znał szerokości ścieżki, po której się posuwał. Idąc trącił nogą ukryty w śniegu kawał drzewa. Schylił się, ujął go i rzucił w przestrzeń. Na śniegu nie zaczęła żadna plama — drzewo

znikło. Zatem przepaść była tuż! Uczuł lekki chłód wzdłuż karku i pomyślał sobie, że chodząc ulicami miasta nie doznał nigdy podobnego uczucia.

Mrok zgęstniał. Rod nie widział teraz nic, ale czuł, że ścieżka wiedzie obecnie w górę. Słyszał, jak się Wabi morduje wlokąc po pochyłości ładowne sanie, i zaczął mu pomagać pchając z tyłu co sił. W ciągu pół godziny mniej więcej wznosili się coraz wyżej, a huk wody zamierał w oddali, aż ucichł zupełnie. Na prawo nie było już ściany górskiej. W pięć minut potem Mukoki dał hasło spoczynku.

— Tu szczyt — rzekł krótko. — Obozujemy.

Rod nie mógł powstrzymać okrzyku radości, a Wabi, zdejmując z siebie rzemienie uprząży, odetchnął z ulgą. Zawsze niestrudzony Mukoki wyszukał wnet miejsce na obozowisko. Postanowiono spędzić noc u stóp olbrzymiej skały i kiedy stary Indianin odrzucał śnieg, obaj młodzi udali się na skraj pobliskiej kępy sosnowej, gdzie siekierami ścięli całe naręcza pachnących żywicą gałęzi. W godzinę potem szalas był już gotów, a bujny płomień trząsał wesoło, rzucając wokół ciepły blask.

Teraz dopiero myśliwi uczyli dojmujący głód. Mukoki zajął się przyrządzeniem kolacji, a Rod i Wabi po omacku prawie zbierali potrzebny na noc zapas drzewa. Szczęśliwie natrafili w pobliżu na parę uschłych topoli, które jak wiadomo, dają obozowym ogniskom najlepszy w świecie pokarm, i nim mięso i kawa były gotowe, narąbali spory zapas tego paliwa.

Mukoki zastawił ucztę przed namiotem, gdzie żar ogniska, odbijając się od ściany skalnej, dawał miłe ciepło, a płomień łagodnie oświetlał wszystkie twarze. Odpoczynek i jedzenie wywarły natychmiastowy skutek; ledwo ukończono kolację, a już Rod poczuł nieprzewyciężoną senność. Próżno borykał się z nią. Usunął się więc do namiotu i zawinięty w koce padł na posłanie z igliwia. W jednej chwili jął tracić przytomność. Oczyma, co widziały już niby przez mgłę, dojrzał jeszcze, jak Muki nakłada na ogień stos topolowych konarów, a nagły błysk płomienia rozświetla chaos skalny, za którym tajemnicza i ciemna stoi ściana boru.

VI. TAJEMNICZE KOŚCIOTRUPY

Wyczerpany i zbolały, Rodryg Drew nie zaznał tej nocy prawdziwego odpoczynku. Wciąż go dręczyły męczące sny. Podczas gdy Wabi i Mukoki, prawdziwi weterani północy, spali snem sprawiedliwych, miejski chłopak przeżywał w sennych majaczeniach moc niezwykłych przygód: znajdował się wciąż w sytuacjach zda się bez wyjścia i budził się raz po raz z jękiem lub krzykiem grozy. Niejednokrotnie siadał na swym pościeli z jedliny i dopiero rozejrzawszy się w otoczeniu, uprzytamniał sobie, gdzie jest i co się z nim naprawdę dzieje.

Z półsnu, w który wreszcie zapadł, ocknął się raptem, cały zamieniony w słuch. Wydało mu się, że słyszy kroki. Po raz dziesiąty uniósł się na łokciu, przetarł oczy, spojrzął w otaczającą ciemność, rozróżnił nieruchome kształty śpiących towarzyszy i opadł znów na jodłowe pościeli. W parę chwil później wyprostował się gwałtownie. Przysięgłby, że tym razem naprawdę pod czyimś ostrożnym stąpieniem lekko chrzęści zamarzyły śnieg. Nasłuchiwał wstrzymując oddech w piersi. Ciszę przerywał teraz jedynie trzask dopalających się w ognisku główki. Rod ponownie zadrzemał. Ocknął się po pewnym czasie i siadł, ogarniając wokół siebie koce. Wydało mu się, że na długą chwilę serce przestało bić w jego piersi.

Co to było?!

Nie majaczył przecie. Był 'zupełnie przytomny i wszystkie jego zmysły działały prawidłowo. A jednak słyszał kroki...

Bardzo powoli i bardzo ostrożnie Rod wstał. Chrząst powtórzył się. Dochodził niby z gęstwy jodeł; zbliżał się, raptem ustał. Ostatnie błyski zamierających płomieni igrały wciąż jeszcze na skalnych płytach. Nagle za skalnym występem coś drgnęło.

Jakiś cień pełznąć zbliżał się do obozowiska.

Ten widok na pewien czas pozbawił Rodryga Drew możliwości ruchu. Błyskawicznie jednak ogarnął myślą sytuacją. Woongowie wytropili ich. Szykują się teraz do ataku na bezbronny obóz! Niespodziewanie dłoń Roda opadła na lufę karabinu Wabigoona. Dotyk chłodnej stali uspokoił go. Nie było czasu do stracenia. Przyciągnął ku sobie fuzję; tajemniczy cień na śniegu powiększał się coraz bardziej i stanął raptem w miejscu, przygięty, jakby gotując się do skoku.

Rozległ się trzask kurka, huk wystrzału, krzyk bólu i obóz zbudził się momentalnie.

— Atakują nas! — wrzeszczał Rod. — Wabi, Mukoki, prędzej!

Biały chłopak klęczał teraz, zwracając wciąż jeszcze ku skałom dymiącą lufę fuzji. W mroku nocy, poza obrębem świetlnego kręgu rzucanego przez ognisko, jakiś kształt miotał się i skręcał w kurczach agonii. W następnej chwili stary myśliwiec ukląkł obok Rodryga, unosząc do ramienia kolbę karabinu; ponad ich głowami wysunęło się ramię Wabigoona i lufa wielkiego rewolweru błysnęła w świetle płomieni. Trwali tak parę sekund, wyczekując niemal bez tchu.

— Odeszli... — zaczął szeptem Wabi.

— Położyłem jednego z nich! — dodał Rod głosem drżącym z podniecenia;

Mukoki cofnął się i wydarł niewielki otwór w ścianie szałas. Spojrzął. Nie zobaczył nic. Z karabinem w pogotowiu, pełznąć prawie, zaczął się oddalać. Obaj chłopcy słyszeli chrząst śniegu. Cał za całem, w głębokim mroku, stary myśliwiec sunął przed siebie. Dotarł już prawie do skalnego występu.

Dwaj młodzi zobaczyli raptem, jak się wyprostowuje jego chuda postać. Usłyszeli cichy, drwiący chichot. Potem Mukoki pochylił się na chwilę, ujął coś oburącz z ziemi i rzucił to w obręb światła.

— Olbrzymi Woonga! Wspaniały, tłusty ryś!

Rod z okrzykiem pół udanej, pół prawdziwej rozpaczyny upadł twarzą na posłanie, a Wabi roześmiał się tak głośno, aż echo poszło w krąg. Mukoki chichotał bez ustanku.

— Olbrzymi Woonga! — powtarzał — cała horda Woongów! Wspaniały, dobrze strzelony, tłusty ryś. Jak mi się zdaje, mało nawet podobny do Woongi!

Gdy wreszcie Rod uniósł się z posłania i podszedł do towarzyszy, był okropnie czerwony i zdaniem Wabigoona uśmiechał się „jak baran”.

— Bardzo mi przyjemnie, że tak was ubawiłem! — rzekł. — Ale co by to było, gdyby naprawdę nadeszli wojownicy Woongi? Daję słowo, że następnym razem ani palcem nie ruszę! Brońcie się sami!

Nie zważając na kpiny obu przyjaciół, Rod był niesłychanie dumny ze swego pierwszego rysia. Był to prawdziwy olbrzym. Wygłodzony zapewne, został zwabiony wonią resztek wieczery. Wolf, instynktownie przewidując swój los w razie spotkania ze strasznym drapieżką, umknął do szałas, nie zdradzając swej obecności najmniejszym dźwiękiem. Ryś jest od wieków zajadłym wrogiem wilczego plemienia.

Ze zrećnością właściwą członkom swej rasy Mukoki zdejmował skórę z ciepłego jeszcze ciała.

— Idźcie spać! — rzekł do towarzyszy. — Dorzucę drzewa do ognia i zdrzemnę się również.

Podniecenie wywołane ostatnią przygodą znakomicie podziało na Rodryga. Nie prześladowały go już teraz żadne koszmary i obudził się nazajutrz o pełnym dniu. Zdziwił się, widząc wokoło słoneczny blask. Wabi i Mukoki przyrządzali ranny posiłek, a radosne pogwizdywanie młodego Indianina upewniło Roda, że na razie przynajmniej nie grozi im żadne niebezpieczeństwo ze strony Woongi. Szybko otrząsnąwszy resztki snu, Rod zbliżył się do towarzyszy.

Zima zapanowała już niepodzielnie. Góra, drzewa i skały pokryte były obficie śniegiem pełnym migotliwych, słonecznych lśnień. Ale dopiero zwróciwszy się ku północy, Rod poznał w całej wspaniałości piękno tej dzikiej krainy. Obóz był rozbity na stoku górskim i przed oczyma chłopca leżała biała pustynia, sięgająca aż po Zatokę Hudsona. W milczącym zachwycie Rod spoglądał w dół, na dziewicze bory, na wzgórza i doliny tym wyraźniejsze, im bardziej wzrok przyzwyczajał się do odległości. Śledził bieg jakiejś rzeki, póki mu nie znikła w oddaleniu, i ogarniał oczyma tafle jezior, lśniące tu i ówdzie w obramowaniu czarnych jodeł. Jakież to było piękne! Serce drżało mu radością, twarz płonęła i pełen zachwyty zdawał się ledwo oddychać.

Mukoki zbliżył się i odezwał niskim, gardłowym głosem:

— Tam w dole pasie się dwadzieścia tysięcy łosi... dwadzieścia tysięcy karibu! Nie ma osady ni domu bliżej jak o dwadzieścia tysięcy mil!

Rod, drżąc ze wzruszenia, podniósł oczy i spojrzał w twarz starego Indianina. W oczach Mukiego lśnił niezwykły błysk. Wabi podszedł ku nim i położył dłoń na ramieniu Roda.

— Muki się tam urodził — rzekł. — Tak daleko, że wzrokiem nie sięgnie. Tu polował jako młody chłopak. Widzisz tę górę? Stąd wygląda jak obłok. Leży o trzydzieści mil! A to jezioro w dole... Zdaje się być położone na odległość strzału. A to całe pięć mil od nas! Gdyby jednak Wilk, łos czy karibu przecinał jego tafle, tobyś go zobaczył; Takie przejrzyste powietrze!

Wszyscy trzej stali długą chwilę milcząc, wreszcie Wabi i stary Indianin wrócili ku ognisku, by przyrządzić śniadanie, a Rod pozostał sam, pogrążony w zadumie. Wezwanie na posiłek wydało się rozmarzonemu chłopcu przykrym przebudzeniem. Nie zepsuło mu to jednak apetytu i z przyjemnością pochłonał swoją porcję.

Tymczasem dwaj Indianie postanowili, że tego dnia nie ruszą w dalszą drogę, ale pozostaną w obozie do następnego rana. Zwłoka w podróży była wskazana z wielu względów.

— Nie możemy teraz wędrować bez rakiet śnieżnych — tłumaczył Wabi przyjacielowi — a nim ciebie nauczymy posługiwać się nimi, upłynie cały dzień. Zresztą na razie wszystkie dzikie zwierzęta są w swych legowiskach. Łosie, jelenie, karibu, a szczególnie wilki i małe drapieżniki nie zaczną wędrowek wcześniej jak w południe lub wieczorem, więc trudno by było zorientować się teraz, jaka zwierzyna zamieszkuje tę połąć kraju. A to jest dla nas najważniejsze. Gdy ślady nam wskażą, że jest tu dużo zwierząt futerkowych, zaraz urządzimy zimowy obóz.

— Sądzicie zatem, że odeszliśmy od Woongów dość daleko? — spytał Rod.

Mukoki skinął głową.

— Nie wierzę, żeby Woongowie przeprawili się przez góry — rzekł. — Tam mają doskonały teren łowów. Tam zostaną.

W czasie posiłku Rod zasypywał towarzyszy pytaniami dotyczącymi rozestanej przed nimi białej pustyni i każda odpowiedź wprawiała go w zachwyt. Zaledwie skończyli jeść, biały chłopak rozpoczął naukę chodzenia w rakietach śnieżnych i całą godzinę potem Wabi i Mukoki oprowadzali go w krąg obozu, udzielając cennych rad, chwając gdy wykonał udatny krok, i zaśmiewając się do łez, gdy jak się to często zdarzało, Rod padał nosem w śnieg. Około południa Rodryg uznał w duchu, że nabył już niemal dostatecznej wprawy.

Chociaż dzień ten upływał dla Roda niezwykle przyjemnie, chłopiec, zauważył, że chwilami Wabiego trapi jakaś troska. Dwa razy zastał przyjaciela siedzącego wewnątrz namiotu i wreszcie zażądał wyjaśnień.

— Musisz mi powiedzieć, o co chodzi — rzekł. — Co się stało?

Wabi śmiejąc się skoczył na równe nogi.

— Czy miałeś kiedy koszarne sny? — spytał. — Tej nocy śniło mi się coś bardzo przykrego. Odtąd nie mogę się pozbyć obawy o los tych, co pozostali w Wabinosh House, a szczegól nie o los Minnetaki. Ot i wszystko! Ale słuchaj, zdaje się, że Muki gwizdże... Urwał, bo stary Indianin wybiegł raptem zza skały.

— Chodźcie zobaczyć coś ciekawego! — wołał półgłosem — chodźcie prędko!

Zawrócił i ruszył ku krawędzi góry, a obaj chłopcy szli tuż za nim.

— Karibu. — szeptał w podnieceniu stary myśliwiec. — Tańczące karibu!

Wskazał ręką w dół, na białą równinę. O trzy ćwierci mili — chociaż w oczach Roda była to przestrzeń zaledwie półmilowa — na małej łączce, leżącej pomiędzy stokiem góry a lasem, pół tuzina wielkich stworzeń wykonywało dziwne ruchy. Rod oglądał po raz pierwszy tych wspaniałych mieszkańców północy. W tej chwili zwierzęta były zajęte dziwną grą, zwaną w okolicach Zatoki Hudsona „tańcem karibu”.

— Co im się stało? — spytał Rod lekko drżącym głosem. — Co to jest?

— Bawią się! — zachichotał Mukoki, wciągając chłopca głębiej za skalną osłonę.

Wabi poślinił palec i uniosł go nad głowę, chcąc wyczuć kierunek wiatru; jest to najpewniejszy sposób, powszechnie stosowany przez tuziemców. Część palca wystawiona na działanie wiatru wyschła niemal zaraz, podczas gdy reszta skóry pozostała wilgotna.

— Wiatr dmie ku nam, Muki! — oznajmił młody Indianin. — Strzał będzie łatwy. Ty idź, a Rod i ja będziemy patrzeć.

Rod słyszał, jak Muki powraca do obozu po karabin, ani na chwilę jednak nie spuścił z oczu rozgrywającego się poniżej widowiska. Do sześciu poprzednich przyłączyły się dwa nowe zwierzęta. Widać było błyski słońca na wspaniałych rogach poruszanych nerwowo. Czasami parę stworzeń porywało się raptownie, pędząc gdzieś w dal niby w panicznej ucieczce. Przebiegłszy paręset metrów karibu stawały nagle, skręcały w miejscu, jak gdyby miały dalszą drogę odciętą, i po

wracały do stada w lekkich podskokach. Dwójkami, trójkami lub czwórkami raz po raz powtarzały te ewolucje. To znowu spośród stada wymykało się jedno zwierzę i zaczynało kręcić się w miejscu, skakać, podrygiwać, wreszcie wszystkimi czterema nogami odbijając się od ziemi, wylatywało w powietrze, opadało w dół, unosilo się ponownie, jak gdyby świadomie tańcząc dla rozrywki towarzyszy. W końcu, znudzone, widocznie, rozpoczynało dziką gonitwę, a całe stado gnało w ślad za nim.

— Są to najzabawniejsze, najszybsze i najsprytniejsze spośród wszystkich stworzeń północy — przemówił Wabi. — Jeśli wiatr wieje ku nim, zwęszą człowieka choćby spoza gór. A słyszą o pół mili... Patrz!

Poprzez ramię Roda wskazał ręką w dół. Mukoki dotarł właśnie do podnóża góry i szedł teraz prosto w kierunku stada. Rod wydał zdumiony okrzyk:

— Ależ one go spostrzegą!

— Wcale nie! — roześmiał się Wabi. — Pamiętaj, że patrzymy na wszystko z góry. Zdaje się nam, że mamy przed sobą nagą równinę, a tam przecie pełno drzew i krzewów. Ręczę, że Muki nie może sięgnąć wzrokiem dalej jak o sto metrów. Ale poprzednio ustalił kierunek i pójdzie teraz jak po świeżym tropie. Tylko że zobaczy karibu dopiero wtedy, gdy stanie na skraju polany.

Podniecenie Rodryga rosło. Stary myśliwiec z każdą chwilą zbliżał się do upatrzonej zwierzyny. Rod myślał, że nieczęsto dane jest białemu chłopcu oglądać podobne widowisko. Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście. Muki zatrzymał się i uniósł do góry palec, próbując wiatru. Potem zgiął chudą postać i ruszył znów naprzód, ale tak wolno, że zdawał się pełznąć na kolanach i dłoniach.

— Słyszysz je, ale nie widzi ich jeszcze! — dyszał Wabi. — Patrz, przykłada ucho do ziemi. Sunie znowu, prosto jak strzelił... Poczciwy, stary Muki!

Rod zacisnął pięści i w podnieceniu przestał prawie od dychać. Czyż Muki nigdy nie wystrzelił? Czyż nigdy?! Jest przecie oddalony od stada zaledwie o rzut kamieniem.

— Prawda, Wabi, że on jest tuż?

— Czteryście metrów, może pięćset — odparł młody Indianin. — Nie może jeszcze strzelać, nie widzi ich.

Rod ścisnął ramię towarzysza. Mukoki zatrzymał się. Przypadł do ziemi tak nisko, że tworzył jedynie małą plamicę na białym tle śniegu.

— Teraz!

Na chwilę zapadła głęboka cisza. Zwierzęta na polanie raptownie przerwały grę, niby sparaliżowane przecuciem nagłej groźby — i w tej chwili gruchnął strzał Mukiego.

— Żle — wrzasnął Wabi.

W podnieceniu skoczył na równe nogi. Karibu porwały się z miejsca i szalonym cwałem runęły przed siebie. Huknął drugi strzał; potem trzeci, czwarty. Jedno z umykających zwierząt padło, ale po chwili znowu się uniosło. Rozbrzmiał strzał piąty i ostatni. Ranny karibu zwałił się ponownie, próbował powstać i runął wreszcie w śnieg, martwy.

— Doskonale! — roześmiał się Wabi z ulgą. — Będziemy mieli na kolację świeże mięso, słyszysz, Rod!

Nabijając karabin Mukoki wysunął się z gąszczu. Szybko przebył polanę, usianą teraz plamami krwi, wy dobył nóż z pochwy i przykląkł u gardła powalonego zwierza.

— Zejdę w dół i pomogę mu trochę — rzekł Wabi. — Ty, Rod, jesteś zmęczony, a tam trudno się dostać. Może byś dopilnował ognia, a Muki i ja przyniesiemy mięso.

W ciągu następnej godziny Rod znosił drzewo, gromadząc zapas paliwa na całą noc, i wprawiał się w używanie rakiet śnieżnych. Zadziwiła go łatwość, z jaką mógł się w nich poruszać, i cieszył

się myśląc, że chociaż jest nowicjuszem, potrafi zrobić w nich do dwudziestu mil dziennie.

Ciemniało już, gdy nadeszli Wabi i Mukoki niosąc mięso karibu. Natychmiast przyrządzono kolację, myśliwi bowiem postanowili wyruszyć nazajutrz skoro świt, a obóz rozbić dopiero o zmroku. Należało więc możliwie długo wypoczywać tej nocy. Wszystkich trzech niezmiernie cieszyły nadchodzące wielkie łowy. Nawet Wolf, raz po raz przeciągając chude cielsko, węszył nerwowo, jak gdyby tęskniąc do dramatycznych przeżyć, w których odgrywał zazwyczaj tak ważną rolę.

— Jeśli masz dość sił, Rod — mówił Wabi zajadając pieczone — nie będziemy już tracić ani chwili. Zrobimy jutro dwadzieścia do trzydziestu mil drogi. Możliwe zresztą, że już przed południem znajdziemy odpowiedni teren łowów, ale możemy go również szukać dwa lub trzy dni. Tak czy inaczej, nie mamy czasu do stracenia! Niech żyją wielkie łowy!

Rodrygowi zdawało się, że dopiero co zasnął, gdy już czyjeś ręce jęły go gwałtownie tarmosić. Uniósłszy powieki zobaczył w blasku ognia roześmianą twarz Wabigoona.

— Już czas! — wołał Wabi. — Wstawaj, Rod! Śniadanie gotowe, pakunki zrobione, a ty, jeszcze śpisz!

Biały chłopak zerwał się w jednej chwili i prędko zaczął poprawiać ubranie i przyglądać włosy. Panowała wciąż głęboka ciemność, ale spojrzawszy na zegarek Rod przekonał się, że dochodzi czwarta. Mukoki zastawił śniadanie na płaskim głazie tuż przy ogniu i bez zwłoki zabrano się do posiłku.

Świtało właśnie, gdy mała karawana wyruszyła z obozu. Rod dopiero teraz odczuł dotkliwie utratę karabinu. Wchodzili właśnie w krainę wielkich łowów, a on nie miał broni. Tą głęboką troską podzielił się z Wabim. Młody Indianin znalazł wnet dobrą radę. Będą kolejno używać jego fuzji. Jednego dnia Rod dostanie fuzję, a Wabi zachowa rewolwer; nazajutrz będzie odwrotnie. To rozwiązanie zdjęło z serca Roda wielki ciężar. Gdy zaś mała karawana zaczęła zstępować ku dolinie, miejski chłopak dźwigał już karabin, Wabi bowiem wspaniałomyślnie dał mu pierwszeństwo.

Chłopcy wlekli sanie, a Mukoki torował drogę ubijając śnieg. Rodryg z zaciekawieniem śledził ruchy starego Indianina, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z tego, w jaki sposób „przeciera się szlak”. Mukoki był w tym mistrzem. Stawiał olbrzymie kroki i za każdym razem wyrzucał w powietrze fontanny śniegu, pozostawiając za sobą gładką, dobrze ubitą ścieżkę, tak że Rod i Wabi szli już po stałej równi.

O pół mili od podnóża góry Mukoki przystanął i czekał, aż się zbliżą obaj chłopcy.

— Łoś! — rzekł wskazując dziwaczne wgłębienie na śniegu. Rod ciekawie pochylił się nad tropem.

— Śnieg wciąż jeszcze drży i opada na wrębach — zauważył Wabi. — Widzisz tę białą grudkę, Rod... Patrz, jak się osypuje! To był stary, olbrzymi samiec i nie ma godziny, jak przeszedł tędy.

"W miarę jak myśliwi posuwali się naprzód, odnajdywali coraz częściej ślady różnych zwierząt. Raz i drugi przecięli trop lisa. Później nieco dostrzegli miejsce, gdzie ten łotrzyk zamordował białego królika. Śnieg był osnuty sierścią i powalany krwią, a część mięsa, pozostała nie zjedzona. Wabi, zapominając o tym, że mieli się śpieszyć, przystanął, by zbadać odciski łap.

— Gdybyż to można wiedzieć, do jakiej odmiany należał ten lis? — zwrócił się Wabi do Roda. — Ale jak tu zgadnąć...? Wiemy, że to lis, nic więcej. Ślady są zawsze jednakowe, bez względu na barwę futra. Szkoda!

— Dlaczego? — zdziwił się Rod. Muki zachichotał.

— Bo ten lis — wyjaśniał młody Indianin — może być przede wszystkim zwykłym, rudym stworzeniem. Jeżeli tak, wart jest dziesięć do dwudziestu dolarów. Ale może to być również czarny lis — wtedy jest wart czterdzieści do sześćdziesięciu. Może być mieszaniec, półsrebrny, półczarny

— wtedy można za niego dostać siedemdziesiąt dolarów do stu. I wreszcie...

— Prawdziwy srebrny! — przerwał cichocąc Mukoki.

— Tak, prawdziwy srebrny! — zakończył Wabi. — Mały okaz wart jest dwieście dolarów, większy — pięćset do tysiąca. Teraz rozumiesz, dlaczego chciałbym, żeby każda odmiana lisa miała inny trop. Gdyby to był. czarny, mieszaniec albo srebrny, poszlibyśmy za nim. Ale najpewniej to zwykły, czerwony!!

Rod z każdą godziną zdobywał nowe doświadczenie. Ujrzał teraz po raz pierwszy w życiu wielkie, podobne do psich, odciski wilczych łap. Zobaczył delikatne ślady kopyt czerwonego jelenia i podługowaty trop rysia. Oceniał ogrom łośia, widząc w śniegu wgłębienia jego racic, wielkie jak ludzka głowa. Nauczył się odróżniać trop dorosłego karibu od tropu młodego łośia.

W ciągu przedpołudnia myśliwi urządzali kilkakrotnie krótkie postoje. O dwunastej Wabi zdecydował, że przebyto już dwadzieścia mil. Rod, chociaż bardzo zmęczony, stwierdził, że może jeszcze iść połowę przebytej drogi. Ruszyli dalej. Krajobraz jał się teraz zmieniać. Rzeka, wzdłuż której szli, zwęziła się znacznie i stała się tak bystra, że miejscami żywy prąd przebijał spod lodowej powierzchni. Miejsce gładkiej równiny zajęły wzgórza porośnięte lasem, zwaliska głazów i skały. Im dalej, tym okolica stawała się bardziej malownicza i dziksza. Od wschodu wyrosło nowe pasmo gór. Raz po raz natrafiano na małe jeziora, a tu i tam lśniły zamrożone strugi.

Zachwyt Wabigoona i jego towarzyszy rósł z każdym krokiem. Najwidoczniej kraj obfitował w liczną zwierzynę. Niezliczone zakątki nadawały się wspaniale na zimowe leża, toteż myśliwi sunęli naprzód coraz wolniej i coraz rozważniej.

Mukoki prowadził ich teraz łagodnym zboczem, wiodącym na spore wzgórze. Przystanęli u szczytu, przyjemnie zdziwieni. Pod ich stopami leżała kotlina, zajmująca przestrzeń mniej więcej dwunastu akrów. Środek jej zajmowało małe jezioro, częściowo otwarte na wolną przestrzeń, częściowo otoczone lasem z cedrów, sosen, jodeł i brzoź. Można było tysiące razy przebiegać te strony wzdłuż i wszerz, a nie natrafić na ów zakątek, tak zazdrośnie ukryty wśród górskich zboczy. Mukoki milcząc zdjął z ramion ciężki toból i rzucił go w śnieg. Wabi odpiął rzemienie uprzęży i pozbył się plecaka. Rod za przykładem towarzyszy złożył na ziemi swój niewielki pakunek, a Wolf, wyprężając linkę, spoglądał ciekawie w głąb kotliny, jak gdyby czuł, że tu będzie teraz jego dom.

Wabi przerwał milczenie.

— Co o tym myślisz, Muki? — spytał.

Mukoki, nie kryjąc zadowolenia, zachichotał radośnie.

— Cudowne miejsce! Zasłonięte od wiatrów! Nikt nie dojrzy dymu! Jest woda. Drzewa w bród.

Myśliwi pozostawili na szczycie swoje toboły, sanki i uwiązane do nich Wolfa, a sami zbiegli w dół zbocza, ku jezioru. Zaledwie dotarli do jego brzegów, gdy Wabi raptem stanął i wskazując palcem las po przeciwnej stronie, wydał okrzyk pełen zdumienia.

— Patrzcie! A to co?

O sto metrów dalej, na pół ukryta w gęstwie drzew, widniała chata. Z miejsca, na którym stali, można już było stwierdzić z całą pewnością, że nikt jej nie zamieszkuje. Zewsząd okalały ją śnieżne zaspas. Komin wcale nie istniał. Nigdzie nie było najmniejszych oznak życia.

Łowcy bardzo wolno sunęli naprzód. Chata robiła wrażenie ogromnie starej. Bale, z których zbudowano jej ściany, zaczynały butwieć. Na dachu rosło parę krzewów. Drzwi, zbite z grubych desek, a zwrócone ku jezioru, stały zawarte; okno, umieszczone obok drzwi, było szczelnie zabarykadowane paroma sosnowymi tarcicami.

Mukoki pchnął drzwi, ale nie ustąpiły. Musiały być silnie zaparte od wewnątrz.

Zdumienie zajęło teraz miejsce ciekawości.

W jaki sposób drzwi i okna mogły być zabarykadowane od wewnątrz, jeśli w chacie nie było nikogo?

Wszyscy trzej stali długą chwilę milcząc i nasłuchując.

— Zabawne, co? — przemówił półgłosem Wabi.

Mukoki przykląkł obok drzwi. Nie pochwycił najmniejszego dźwięku. Po chwili zrzucił z nóg rakiety, ujął w dłonie toporek i postąpił ku oknu.

Kilkanaście dobrze wymierzonych cięć i, jedna z tarcic opadła.

Mukoki nasłuchiwał znowu bardzo podejrzliwie, z uchem tużprzy otworze. Ciężkie, stęchłe powietrze uderzyło go w twarz, ale nie ozwał się najmniejszy dźwięk. Jedną po drugiej odbił pozostałe tarcice i wsunął głowę i ramiona do wnętrza chaty. Stopniowo jego oczy przywykły do panującej tam ciemności, więc począł włązić dalej. Raptem zatrzymał się.

— Idźże, Muki! — przynagłał Wabi.

Stary Indianin milczał i trwał jakiś czas bez ruchu. Potem bardzo wolno, jak gdyby obawiając się, że przerwie czyjś czujny sen, opadł wstecz, na śnieg. Gdy zwrócił się do obu młodych, jego twarz miała dziwny wyraz.

— Muki! Co się stało?

Stary Indianin odetchnął głęboko, jakby mu brakło powietrza.

— W chacie... pełno... trupów! — odparł głucho.

VII. RODRYG ZNAJDUJE ZŁOTO

Rod i Wabi niedowierzająco patrzyli długą chwilę w zmienioną twarz Mukiego.

— Pełno trupowi! — powtórzył Muki. A gdy podniósł rękę, by otrzeć pajęczynę, obaj chłopcy zauważyli, jak ta ręka drży.

— Uh!

W następnej chwili Wabi skoczył ku oknu i wsunął się połową ciała do wnętrza chaty, tak jak to poprzednio zrobił Mukoki. Po pewnym czasie cofnął się i patrząc na Roda roześmiał się nieszczerze. Widocznie to, co ujrzał, wywarło na nim silne wrażenie; mniejsze jednak niż na Mukim, był już bowiem przygotowany.

— Spójrz no, Rod!

Rodryg, szybko oddychając, zbliżył się do otworu. Nie bał się, a jednak ogarniało go nieprzyjemne uczucie; coś dławiała go za gardło i stanowczo wolałby nie zaglądać do wnętrza chaty. Z wolna wsunął głowę w otwór. W izbie panowała niemal zupełna noc, ale mrok powoli się rozpraszał. Po chwili było już widać przeciwległą ścianę. Zarysowały się ciemne kontury stołu i przewróconego krzesła, a tuż obok leżał jakiś nieokreślony kształt.

Oczy Roda przyzwyczyły się do mroku. Wabi i Mukoki usłyszeli jego zdławiony okrzyk. Rękę chłopaka chwyciły kurczowo futrynę okna. Patrzył jak urzeczony na leżący tuż obok kształt.

Plecami oparty o ścianę chaty, spoczywał ludzki szkielet. Światło dnia zapalało dziwaczne lśnienia w pustych oczodołach; usta uśmiechały się szyderczo.

Rod, blady i drżący, opadł wstecz.

— Widziałem tylko jednego! — wybełkotał, myśląc o przesadnym określeniu Mukiego.

Wabi, który już odzyskał panowanie nad sobą, roześmiał się i przyjaźnie poklepał go po plecach.

— Bo źle patrzałeś, Rod! — zawołał. — Ten widok zbyt mocno podziałał ci na nerwy. Ale wcale ci tego nie mam za złe! Jestem pewien, że gdy Muki spojrział tam po raz pierwszy uczył przykry dreszcz! A teraz wleżą i otworzę drzwi!

Młody Indianin bez chwili wahania wśliznął się do wnętrza. Rod, uspokojony już zupełnie, wszedł za nim, a tymczasem Muki znów próbował wyważyć drzwi. Wystarczyło zresztą parę ciosów siekiery Wabigoona, by zaporą ustąpiła, i to tak raptownie, że stary Indianin, nie zdoławszy się powstrzymać padł jak długi na ziemię.

Wnętrze chaty zalała fala światła. Oczy Roda pobiegły odruchowo ku zwłokom spoczywającym pod ścianą. Były ułożone tak, jak gdyby przed wieloma laty ktoś usnął tu ostatnim snem. Tuż obok, na podłodze, leżał drugi szkielet, a pod wywróconym krzesłem spoczywała kupka kości należących zapewne do jakiegoś zwierzęcia. Rod i Wabi przysunęli się do opartego o ścianę kościotrupa i pochyleni badali go wzrokiem, gdy okrzyk Mukiego zwrócił ich uwagę w inną stronę. Stary Indianin klęczał nad drugim szkieletem. Gdy obaj chłopcy podeszli bliżej, podniósł na nich oczy pełne ogromnego zdumienia, wskazując jednocześnie palcem jakiś przedmiot widniejący wśród kości.

— Nóż... walczyli, tamten zabił!

Wbity po rękojeść w to, co kiedyś było piersią żywej istoty, czerniał długi nóż. Ostrze miał przeżarte rdzą, zaśniedziałą rękojeść, ale żebra, pomiędzy które wnikał, utrzymywały go wciąż w tej samej pozycji.

Na kolanach, Rod nieprzytomnym wzrokiem patrzył na straszny obraz. Wybełkotał:

— Kto mógł to zrobić...?

Mukoki zachichotał i wskazał dłonią kościotrupa siedzącego pod ścianą.

— On!

Pod wpływem tej samej myśli wszyscy trzej zbliżyli się do drugiego szkieletu. Dłoń kościotrupa leżała na czymś, co przed laty było zapewne wiadrem, teraz jednak rozpadło się na szczątki, tak że pozostały jedynie obręcze. Palce zmarłego zaciskały się wokół małego zwitka brzozonej kory. Drugą dłoń szkielet tulił do własnego boku. Mukoki przyglądał mu się chwilę badawczym wzrokiem, aż odnalazł to, czego szukał: niewielką szczerbę na jednym żebrze.

— Od tego zginął — stwierdził stary Indianin. — Dostał nożem między żebra! Miał ciężką śmierć, długą i bolesną.. Obrzydliwy cios!

— Ugh! — wstrząsnął się Rodryg. — Tej chaty nie przewietrzano chyba od stu lat! Daję słowo, wyjdźmy stąd lepiej!

W przejściu Mukoki pochylił się i podniósł czaszkę leżącą wśród innych kości pod krzesłem.

— Pies! — stwierdził krótko. — Drzwi i okno zamknięte, ludzie się pozabijali, a on zdechł z głodu!

Podczas gdy wszyscy trzej pięli się na wzgórze, gdzie Wolf pilnował rzeczy i sań, myśl Roda była wciąż pochłonięta straszliwą tragedią, której ślady pozostały w samotnej chacie.. Dla Wabigoona i Mukiego znalezienie tych dwu szkieletów było jedynie epizodem w życiu pełnym przygód — epizodem ciekawym, ale szybko przemijającym. Dla Roda było to wydarzenie pierwszorzędnej wagi. Odtwarzał w myślach dramat rozegrany w chacie; widział dwu ludzi rozwścieczonych kłótnią, widział ich walkę i słyszał prawie fatalne ciosy, jakie sobie wzajem zadawali — ciosy, które jednego z walczących natychmiast wyprawiły na tamten świat, a drugiemu zgotowały długie godziny straszliwej agonii. A pies? Czy grał w tym jaką rolę? Tak czy inaczej, pozostał potem całe dni sam jeden, głodny, spragniony, aż i na niego przyszedł kres. W mózgu Roda okropny obraz nabierał barw życia. Ale o co tym ludziom poszło? Co wywołało ów nocny pojedynek? Rod był pewny, że walka nastąpiła w nocy, drzwi i okna bowiem były zamknięte. Dałby wiele, aby wyświetlić tę tajemnicę.

Oprzytomniał dopiero u szczytu wzgórza. Wabi, zakładając rzemienie uprząży, cieszył się głośno:

— Wspaniała chata! Zużylibyśmy najmniej dwa tygodnie, żeby zbudować równie dobrą. Mamy prawdziwe szczęście!

— Zamieszkamy w niej?! — spytał Rod.

— Czy zamieszkamy? Ja myślę! Jest trzykrotnie większa od chałupy, którą chcieliśmy zamajstrować. Nie rozumiem, po co ci dwaj wystawili taki pałac! Co o tym sądzisz, Muki?

Mukoki wzruszył ramionami. Najwidoczniej poza bijącym w oczy faktem wzajemnego mordu reszta sprawy pozostawała dlań zupełnie zagadkowa.

Sanki i podróżne toboły ustawiono wnet u drzwi chaty.

— A teraz zaczniemy robić porządki! — oznajmił radośnie Wabi. — Muki pomoże mi wynosić kości. Rod może szperać po kątach.

Propozycja kolegi dogadzała najzupełniej chęciom Roda. Trawiła go żądza rozwiązania zagadki. Czyż nie można znaleźć jakiejś nici przewodniej, która by doprowadziła do wyjaśnienia tajemnicy?

W mózgu jego panowała wciąż jedna myśl.. G co im poszło? O co im poszło?

Zaglądając tu i ówdzie, uświadomił sobie nawet, że głośno powtarza to zdanie. Podniósł wywrócone krzesło, zbite prymitywnie z sosnowych gałęzi, przejrzał stos nieokreślonych łachmanów, rozpadających się w pył pod dotknięciem, i wydał radosny okrzyk znalazłszy w kącie chaty dwie fuzje! Kolby ich spróchniały; lufy i kurki były przeżarte rdzą. Ostrożnie, z pietyzmem niemal, Rod ujął w dłonie te relikwie zamierzchłych czasów. Fuzje były tak długie, że gdy oparł

kolby o ziemię, końce łuf sięgały niemal jego głowy.

— Rusznice z Zatoki Hudsona. Używano podobnej broni, zanim się urodził mój ojciec! — stwierdził Wabi.

Rod prowadził dalsze poszukiwania z bijącym sercem. Na jednej ścianie znalazł zawieszony części ludzkiej odzieży: kapelusz, co mu się w ręku rozpadł, i kurtkę. Na stole stała rdzawa patelnia, a bok niej mały garnuszek i imbryk oraz leżały szczątki noży, widelców i łyżek. Dalej nieco znajdował się dziwaczny przedmiot, który Rod zaraz ujął w palce. Przedmiot ten wbrew oczekiwaniu nie rozleciał się. Był to mały, ciężki woreczek z jeleniej skóry, zawiązany rzemykiem. Drżącymi palcami chłopak rozwiązał rzemyk i oto wypadła na stół garść czarnozielonych, niewielkich bryłek.

Rod głośnym okrzykiem przywołał towarzyszy.

Wabi i Mukoki pochowali właśnie jeden szkielet i wracali do chaty. Młody Indianin skoczył do boku przyjaciela. Zważył na dłoni jedną z bryłek.

— To jest ołów albo...

— Złoto!! — wyszeptał Rod.

Słyszał, jak mu serce skacze w piersi, kiedy Wabi cofnął się do drzwi, wyjmując z kieszeni scyzoryk. Cienkie ostrze ostrożnie nacięło bryłkę, powleczone patyną lat, i nim Rod mógł dojrzeć właściwą barwę metalu, zabrzmiał radosny okrzyk Wabigoona:

— To złoto!

— To powód ich walki! — wrzasnął Rod.

Więc nareszcie rozwiązał zagadkę! Ta świadomość cieszyła go bardziej niż złoto. Wabi i Mukoki byli ogromnie podnieceni. Dokładnie wyprózniono skórzany woreczek; oswobodzono stół z zalegających go drobiazgów; przeszukano każdy kąt chaty, każdą szparę. Badania prowadzono w głębokim skupieniu; zaledwie czasem padło jakieś słowo. Każdy marzył o nowym odkryciu. Złoto, dziewicze złoto, budzi zawsze iskrę chciwości tłącą w każdej ludzkiej duszy. Rod szukał wraz z przyjaciółmi. Każda szmata, każdy sprzęt, każda kupka kurzu została dokładnie zbadana. Po upływie godziny trzej myśliwi przerwali pracę, nieco rozczarowani.

— Chyba nic tu więcej nie ma! — zdecydował Wabi. — Teraz, moim zdaniem, trzeba zrobić tak: Dziś wyrzucimy w śnieg te wszystkie graty, a jutro zerwiemy podłogę. Kto wie, co pod nią znajdziemy? Zresztą tak czy inaczej, musimy ją zmienić. A teraz nadchodzi już zmierzch i jeżeli chcemy tu nocować, trzeba się wziąć do pracy!

Bez zwłoki usunięto z chaty śmiecie i różne szczątki, a nim noc zapadła, rozesłano na podłogę gęstą warstwę sosnowych gałązek, nakryto ją derami i złożono w kącie zapasy. Na śniegu, tuż obok otwartych drzwi, rozpalono wielki ogień, który dostatecznie ogrzewał i oświetlał wnętrze chaty. A gdy jeszcze na stole umieszczono parę świec, izba stała się zupełnie przytulna. Kolacja, którą podał Mukoki, była prawdziwą ucztą. Składały się na nią: pieczeń z karibiu, zimna fasola, ugotowana na poprzednim popasie, placki z kukurydzanej mąki i kawa. Zgłodniali myśliwcy jedli tak chciwie, jakby od tygodnia nie mieli nic w ustach.

Jakkolwiek ubiegły dzień był dla wszystkich dość męczący, to jednak podniecił umysły do tego stopnia, że myśliwi nie mogli się zdecydować na spoczynek bezpośrednio po kolacji, jak to czynili zazwyczaj. Stanęli zresztą u krańca swej podróży; najcięższe dni już minęły. Nazajutrz, skoro świt, nie trzeba było ruszać w drogę. Otwierało się przed nimi nowe życie, pełne uroków. Ustalili już miejsce zimowego pobytu i wobec tego czuli, że wieczory należą do nich. Siedzieli więc wszyscy trzej do późna w noc, rozmawiając i dorzucając paliwa do ognia. Bez końca powracali do tragicznych wypadków, jakie zaszły w samotnej chacie. Bez końca wazyli w dłoniach pół funta cennego kruszcui fragment po fragmencie odtwarzali dzieje minionych dni, gdy kraina wokół nich

była jeszcze księgą zakrytą przed oczyma białych. Teraz wszystko zdawało się zupełnie jasne. Mieszkańcy chaty byli poszukiwaczami złota. Znaleźli skarb. Posprzeczali się zapewne dzieląc zdobycz, a w zapale kłótni chwycili za noże.

Ale gdzie znaleźli złoto?

To było najważniejsze zagadnienie i myśliwi głowili się nad nim do północy. W chacie nie natrafiono na żadne przyrządy używane zazwyczaj przy wydobywaniu cennego kruszcu; nasuwało się więc przypuszczenie, że mieszkańcy jej byli z zawodu traperami, a złoto znaleźli przypadkowo.

Tej nocy trzech wędrowcy odpoczywali niewiele i świt zastał ich już przy pracy. Zaraz po śniadaniu jęli zrywać zmurszałą podłogę. Unosili jedne po drugich deski sosnowe i wlekli je do ognia, tak że wkrótce została im pod stopami naga ziemia. Zaczęli ją teraz przekopywać cał za całem, łopatą stanowiącą część ich ekwipunku. Podważono bale fundamentu; wydarto mech uszczelniający podstawę ścian. Do południa zbadano dokładnie najmniejszy zakątek chaty.

Nie znaleziono jednak ani śladu złota.

Nastąpiło częściowe uspokojenie. Wabi i Rod pozbyli się nerwowego podniecenia. Nie absorbowala ich już myśl o złocie; marzyli znowu o swobodnym, myśliwskim życiu. Mukoki zabrał się do ścinania cedrów mających stanowić nową podłogę. Chłopcy odzierali pnie z kory, a potem zbierali świeży mech do uszczelniania ścian. Tego wieczoru przyrządzono kolację na żelaznym piecyku przywiezionym z Wabinoś House, a ustawionym na miejscu rozwalonego kamiennego pieca. Przy blasku świec uszczelniano mchem ściany chaty. Wabi nucił raz po raz zwrotkę dzikiej, indiańskiej pieśni, Rod gwizdał, aż mu wyschło w gardle, a Mukoki chichotał i gwarzył bez przerwy. Winszowali też sobie wzajem bajecznego powodzenia. Osiem wilczych skalpów, wspaniały ryś i blisko dwieście dolarów w złocie — wszystko w ciągu pierwszego tygodnia! Byli pełni zachwytu i głośno wyrażali swoją radość.

Tegoż dnia wieczorem Mukoki wytopił wielki garnek sadła z karibu, a gdy Rod spytał go, co z tym zamierza robić, stary Indianin zamiast odpowiedzi zanurzył we wrzącym tłuszczu kilka stalowych sideł.

— Sidła będą miały piękny zapach! — wyjaśnił. — Ta woń zwabi lisy, wilki, rysie i wydry...

— Bez tego — dodał Wabi — zaledwie jedno zwierzę na dziesięć zbliży się do sideł. Reszta będzie je omijać z daleka.

Przede wszystkim wilki... Na metalu pozostaje zwykle zapach ludzkich rąk, ale woń tłuszczu go unicestwia.

Gdy wieczorem myśliwi owinięci w koce ułożyli się do snu, mieszkanie było już niemal zupełnie urządzone. Brakowało jedynie trzech tapczanów, które miały stanąć pod ścianami chaty. Uradzono jednak, że sporządzi się je w czasie godzin przymusowego odpoczynku. Następnego ranka zaś, wzięwszy ze sobą sidła, myśliwi mieli ruszyć na pierwszą łowiecką wyprawę, poszukując przede wszystkim wilczych śladów.

VIII. DZIEJE WOLFA

Tej nocy Rod budził się dwukrotnie, słysząc, jak Mukoki otwiera drzwi chaty. Za drugim razem uniósł się na łokciu i milcząc śledził ruchy starego Indianina. Noc była pogodna, księżycowa, toteż fala światła zalewała izbę. Rod słyszał, jak Mukoki chichocze i mruczy coś pod nosem, jak gdyby rozmawiając sam ze sobą; wreszcie ciekawość przemogła i owinąwszy się w derkę chłopak wstał, by odnaleźć starego Indianina u otwartych drzwi.

Muki spoglądał w przestrzeń; Rod poszedł za jego przykładem. Księżyc w pełni stał tuż nad chatą. Niebo było wolne od chmur, a powietrze tak przejrzyste, że na drugim brzegu jeziora najmniejsze krzewy rysowały się zupełnie wyraźnie. Ale panował również przenikliwy mróz i dotkliwie szczypał twarz Roda. Rod zauważył to; zauważył również wspaniałe piękno zimowej nocy, jednak nie mógł dostrzec nic ponadto.

— O co chodzi, Muki? — spytał.

Stary Indianin spoglądał nań chwilę milcząc, a w twarzy jego było znać głęboki zachwyty.

— Wilcza noc... — wyszeptał wreszcie. Obejrzał się na śpiącego Wabigoona.

— Wilcza noc! — powtórzył i przemknął jak cień do boku śpiącego chłopca. Rod, pełen zdumienia, obserwował go. Widział, jak pochylił się na Wabim i potrząsnął go za ramię, szepcząc.

— Wilcza noc! Wilcza noc!

Wabi ocknął się i owinięty w dery siadł, a Mukoki zawrócił do drzwi. Poprzednio już ubrał się całkowicie, a teraz z karabinem w dłoni wybiegł na dwór. Młody Indianin stanął wkrótce u boku Roda i razem śledzili oczyma szczupłą postać Mukiego, mknącą szybko poprzez jezioro na zalesiony brzeg.

Gdy Muki znikł wśród drzew, Rod spojrział na przyjaciela. Oczy Wabigoona były szeroko otwarte i pełne grozy. Milcząc podszedł do stołu, zapalił świecę i zaczął się ubierać. Gdy był już ubrany, twarz jego wyrażała jeszcze głębokie wzruszenie.

Skoczył do drzwi i wydał głośny gwizd. Z szałas, stojącego obok chaty, odpowiedział chrapliwy skowyt Wolfa. Wabi powtórzył sygnał i powtarzał go czas dłuższy, bez rezultatu jednak. Szybciej jeszcze niż poprzednio Muki, młody Indianin pomknął przez jezioro na zalesione wzgórze. Mukoki znikł bez śladu w białej, mroźnej pustyni.

Gdy Wabi wrócił do chaty, w piecyku buszował ogień. Wabi siadł tuż obok, wyciągając ku płomieniom ręce zsiniałe od zimna. Wzdrygnął się.

— Ugh! Co za okropna noc!

Uśmiechnął się do Roda, co prawda trochę nieszczere, ale w oczach miał już dawny, junacki błysk. Nagle spytał:

— Czy Minnetaki opowiadała ci kiedy o Mukim?

— Nic ponad to, coś ty mi mówił.

— Tak? Otóż widzisz, Muki dostaje czasem napadów, niezupełnie może obłąkania, ale pewnego zaćmienia umysłu. Nie mogłem nigdy sprawdzić, czy w takich chwilach jest całkowicie niepoczytalny, czy tylko częściowo traci rozum. Raz myślę tak, raz inaczej. Ale Indianie z Wabinosh House twierdzą, że powodem szaleństwa Mukiego są wilki.

— Wilki?! — wykrzyknął Rod.

— Tak wilki! Dawno temu, gdy jeszcze nas obu nie było na świecie, Muki miał żonę i dziecko. Moja matka i inni, którzy ich znali, mówią, że szczególnie kochał swego synka. Nie polował całymi

dniami, jak zwykle Indianie, tylko wciąż siedział w namiocie, bawił się z dzieckiem i uczył je różnych rzeczy. Nieraz nawet idąc na łowy brał małego ze sobą, niosąc go na karku. Był jednym z najbiedniejszych Indian w całej . okolicy, a jednak chyba najszczęśliwszym. Kiedyś przyszedł do faktorii niosąc pęk futer i mamami mówiła, że większość rzeczy, które wziął w zamian, była przeznaczona dla dziecka. Zapadała noc; miał ją spędzić w faktorii i wyruszyć nazajutrz rano, tak by o zmroku stanąć w swym namiocie. Ale coś mu przeszkodziło i wybrał się w drogę dopiero w dwadzieścia cztery godziny później. Tymczasem tego wieczora, w którym miał nadejść, żona jego wzięła malca i ruszyła na spotkanie męża. No i...

Żaloszny skowyt oswojonego wilka przerwał opowiadanie Wabigoona.

— No i poszli, ale oczywiście nie spotkali go. A potem, zgodnie z tym, co mówią, żona Mukiego musiała się pośliznąć, upaść i może zwichnęła nogę. Dość że nazajutrz, wracając do siebie, Muki znalazł żonę i dziecko na pół zjedzonych przez wilki. Od tej pory zmienił się do niepoznania. Stał się najślawniejszym łowcą wilków w całej okolicy. Wkrótce po tej tragedii przybył do faktorii i osiedlił się u nas na stałe. Od czasu do czasu, nocą, gdy panuje silny mróz i księżyc jasno świeci, Muki zdaje się tracić rozum. Mówi, że to „wilcza noc”. Nic go wtenczas nie zatrzyma; nikt nie zmusi go do rozmowy. Nie zgodzi się za nic, by mu ktokolwiek towarzyszył. Przebiega wtedy całe mile. Ale wraca... A gdy wróci, jest zupełnie normalny i jeśli go spytać, gdzie był, da pierwszą lepszą wymijającą odpowiedź.

Rod ciekawie słuchał. W miarę jak Wabi roztaczał przed nim tragiczne dzieje Mukiego, stary Indianin stawał się jak gdyby innym człowiekiem. W sercu Roda budziło się dlań uczucie żywej przyjaźni i w słabym blasku świec oczy jego lśniły wilgocią, której wcale nie starał się ukryć.

— Co Muki nazywa wilczą nocą — spytał. — Gdy chodzi o wilcze łowy, Muki jest prawdziwym czarodziejem! — odpowiedział Wabi. — Prawie od dwudziestu lat myśli wciąż o wilkach i zaznajamia się z ich życiem. Wie więcej o tych drapieżnikach niż wszyscy inni myśliwi z tych stron razem wzięci. Każde sidła, które zastawi spełnią swe zadanie. Patrząc na wilczy trop, powie ci dziesiątki szczegółów o zwierzu, który go zostawił. Dzięki swej nadzwyczajnej przenikliwości zgaduje nieomylnie, kiedy nadchodzi wilcza noc. Coś, co jest w powietrzu, w niebie, w blasku księżyca, w krajobrazie, mówi mu, że samotne wilki zbierają się teraz w gromady i stada, a rankiem, gdy błysnie słońce, zwierzęta będą się wygrzewać na południowych stokach wzgórz. Przekonasz się, że mam rację. Jutrzejszej nocy, jeżeli Muki do tej pory wróci, będziemy mieli wspaniałe wilcze łowy i zobaczysz wtedy, jak doskonale Wolf spełnia swe zadanie!

Nastąpiła chwila ciszy. W kominie huczał ogień, piec rozpałił się do czerwoności, a chłopcy siedzieli milcząc i nasłuchując. Rod spojrział na zegarek. Była za dziesięć dwunasta, ale obaj przyjaciele nie mieli najmniejszej chęci udania się na spoczynek.

— Ciekawy okaz ten Wolf! — zaczął półgłosem Wabi. — Można by powiedzieć, że to podły renegat, co zwabia na śmierć swych współbraci. Ale tak nie jest. A raczej tak jest nie bez racji. Wolf, tak samo jak Muki, mści się. Czyś kiedy zauważył, że z jednego ucha pozostały mu tylko strzępy? Jeżeli mu uniesiesz łeb, zobaczysz na gardle okropną bliznę, a pod brzuchem, zaraz za przednią łapą, ma wydarty szmat mięsa, wielki jak moja dłoń. Ja i Muki schwytaliśmy niegdyś Wolfa w rysie sidła. Miał ledwie pół roku, tak twierdzi Mukoki. A jednak kiedy był unieruchomiony żelazem, niezdolny do obrony lub do ucieczki, opadła go Wilcza zgraja i chciała zjeść na śniadanie. Nadeszliśmy w samą porę, by odegnać tych kanibalów. Pielęgowaliśmy Wolfa, zaszyliśmy jego rany, oswoiliśmy go i jutro zobaczysz, jak Mukoki nauczył go mścić się na własnym plemienu.

Dopiero w dwie godziny potem Rod i Wabi zgasili świece i położyli się, spać. Ale Rod czuwał jeszcze dobrą godzinę. Myślał o tym, gdzie jest i co robi Mukoki oraz w jaki sposób półprzytomny

Indianin odnajduje drogę w śnieżnej pustyni.

Gdy usnął wreszcie, śnił o młodej Indiance i jej synu. Po chwili jednak dziecko znikło, a miejsce młodej kobiety zajęła Minnetaki, wilcze stado zaś zamieniło się w hordeę Woongów. Z przykrych majaczeń zbudziło go parę poszturchiwań. Otworzył oczy, zobaczył Wabigoona, jak siedzi owinięty w koce i pokazuje coś palcem. Rod obejrzał się i oddech mu zaparło.

Mukoki obierał kartofle.

— Halo, Muki! — zawołał Rod.

Stary Indianin podniósł głowę i uśmiechnął się. Na jego twarzy nie znać było wcale przejść minionej nocy. Kiwnął głową na dzień dobry i dalej przyrządzał śniadanie, jak gdyby nigdy nic.

— Wstawajcie, chłopcy! — radził. — Doskonały dzień na polowanie. Cudowne słońce. Znajdziemy wilki na wzgórzach, moc wilków!

Obaj młodzi zerwali się z posłania i zaczęli się ubierać.

— O której wróciłeś? — spytał Wabi.

— Teraz — odparł Mukoki, wskazując gorący piecyk i obrane kartofle. — W samą porę, by rozpalić ogień.

Podczas gdy stary Indianin pochylał się nad paleniskiem, Wabi spojrzał znacząco na Roda.

— A co robiłeś tej nocy? — spytał jeszcze.

— Wielki księżyc, można było co upolować! — odpowiedział Mukoki. — Na wzgórzu widziałem rysia. Na tropie czerwonego jelenia widziałem wilcze ślady. Ale nie strzelałem!

Było to wszystko, czego zdołano się od Mukiego dowiedzieć, ale przy śniadaniu, gdy Mukoki wstał, by zamknąć drzwiczki pieca, Wabi szepnął Rodowi na ucho:

— Widzisz, że miałem rację! Wybierz drogę na wzgórze! Muki wracał już i Wabi głośno dodał:

— Ruszamy z samego rana, prawda, Muki? Coś mi się zdaje, że sidła należy ustawić w dwa rzędy. Jeden rząd za wzgórzem, wzdłuż tego strumienia, co płynie na wschód, pomiędzy górami; drugi rząd nad strugą idącą przez doliny na południe. Co o tym myślisz?

— Dobrze — zgodził się stary Indianin. — Wy dwaj idźcie na wschód, a ja na południe.

— Nie, ja pójdę razem z tobą, a Wabi niech idzie sam — przerwał szybko Rod. — Chcę być z tobą, Muki!

Mukoki, któremu pochlebiło zaufanie chłopca, roześmiał się pełen zadowolenia i zaczął szczegółowo wyjaśniać swoje zamiary. Ustalono wreszcie, że wszyscy wrócą do chaty zaraz po południu, nocą bowiem najprawdopodobniej odbędą się pierwsze wilcze łowy.

Rod zauważył, że tego rana oswojony wilk nie dostał żadnego posiłku, i bez trudu odgadł powód takiego postępowania.

Przystąpiono do podziału sideł. Były ich trzy rodzaje: pięćdziesiąt małych na kuny, wydry i inne drobne zwierzęta; piętnaście większych na lisy i piętnaście dużych na wilki i rysie. Wabi wziął dwadzieścia małych sideł, cztery lisie i tyleż wilczych. Rod i Muki zabrali czterdzieści sztuk mieszanych. Resztki mięsa karibu pocięto na kawałki i myśliwi podzielili je między sobą jako przynętę.

Gdy łowcy opuszczali chatę, słońce wyjrzało właśnie spoza wzgórz. Zgodnie z przewidywaniem Mukiego, pogoda była śliczna. Indianie twierdzą, że w takie dni Stwórca pozbawia całą ziemię promieni słonecznych, by cały ich blask padał na śnieżne pola północy. Ze szczytu wzgórze, co osłaniało chatę, Rod w milczącym podziwie objął wzrokiem lśniące jeziora i lasy. Przystanęli tu zresztą wszyscy trzej, ale tylko na chwilę i rozdzielili się wnet, idąc w dwie przeciwne strony.

U stóp wzgórze Rod i Muki odnaleźli łożysko strumienia. Uszli zaledwie kilkadziesiąt kroków, a już Indianin przystanął i wskazał palcem zwalony pień drzewa, co łączył oba brzegi.. Śnieg,

okrywający ów pień, był upstrzony odciskami drobnych łapek. Mukoki jakiś czas wodził wzrokiem po śladach i nagle rzucił w śnieg swój pakunek.

— Skunks! — wyjaśnił.

Przeszedł na drugą stronę łożyska, uważając, by nie trącić stopą o pień. Na tamtym brzegu ślady ginęły w gmatwaniu zwalonych drzew.

— Tu mieszka cała rodzina skunksów — tłumaczył Muki. — Trzy, cztery, a może nawet pięć sztuk. Tam trzeba zbudować pułapkę!

Rod nigdy jeszcze nie widział pułapki zastawionej w ten sposób. Tuż opodal końca pnia, poprzez który wiódł szlak skunksa, Mukoki szybko zbudował osłonę z patyków, przypominającą kształtem małą chatkę. W głębi położył kawałek mięsa, a u wejścia przez całą jego szerokość ustawił sidła, które pokrył warstwą śniegu i liści. W ciągu dwudziestu minut Mukoki zbudował dwie podobne chatki i ustawił dwa żelaza.

— Po co budujesz takie zasłony? — pytał Rod, gdy już podjęli dalszą wędrówkę.

— Zimą pada wielki śnieg — wyjaśnił Indianin. — Buduję chatki dla osłony sidaeł od śniegu. Inaczej zatoną w śniegu aż do wiosny. Gdy kuna zwęszy mięso, wejdzie do szałasów przez drzwi, a tam leżą sidła. Dla wszystkich małych zwierzątek buduje się podobne domki. Ryś co innego. Ten, gdy zobaczy chatkę zatoczy krąg jeden, drugi, a potem pójdzie precz. Chytre zwierzę ten ryś. Wilk i lis również.

— Czy skunks jest dużo wart?

— Pięć dolarów, nie mniej. A jeżeli ładny, to siedem albo osiem.

Na przestrzeni następnej mili ustawiono jeszcze sześć podobnych chatek. Strumień biegł teraz dołem skalnego zbocza. W oczach Mukiego pojawił się nowy błysk. Nie był już wyłącznie zajęty odnajdywaniem drobnych śladów. Oczy jego obejmowały uparcie słoneczną stronę zbocza, a posuwał się naprzód wolno i ostrożnie. Odzywał się szeptem i Rod naśladował go. Obaj przystawali często, wpatrując się w otwarte płaszczyzny i szukając na nich śladów życia. W miejscach znaczonych odciskami łap dwukrotnie zastawiali lisie sidła. W dzikim wąwozie, zawalonym złomami skał i pniami padłych drzew, zobaczyli trop rysia i umieścili dwa duże sidła u obu wejść. Ale nawet w chwilach wytężonej pracy umysł Mukiego wydawał się częściowo zajęty czym innym. Myśliwi szli teraz równolegle do siebie, oddaleni jeden od drugiego o kilkadziesiąt metrów; Rod nie wysuwał się nigdy naprzód ani na krok. Nagle biały chłopak usłyszał ciche wołanie i zobaczył, jak Muki radośnie przyzywa go do siebie.

— Wilki! — szepnął Indianin, gdy Rod zbliżył się do niego. Na śniegu widniało sporo wgłębień podobnych do odcisków psich łap.

— Trzy wilki! — wesoło rozprawiał Mukoki. Przechodziły tędy wczesnym rankiem. Leżą gdzieś na słonecznym skłonie wzgórza!

Podążyli wilczym śladem. Wkrótce Rod znalazł nie dojezione szczątki królika, otoczone wieńcem lisich tropów. Muki i tu również zastawił sidła. Nieco dalej śnieg zachował ślady przejścia wydry i dla niej pozostawiono jeszcze jedno żelazo. Raz po raz przecinały strumień tropy karibu i jeleni, ale Indianin nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Czwarty i piąty wilk przyłączył się do pierwszej trójki, a w pół godziny później trop trzech nowych wilków przeciął pod kątem poprzedni szlak i znikł w pobliskiej gęstwinie. Twarz Mukiego promieniała radością.

— Moc wilków w pobliżu! — wołał. — Moc! I tu, i tam, i wszędzie! Świetne miejsce na nocne łowy!

Potok opuścił wkrótce podnóże wzgórz i rozpoczął kręty bieg przez niewielkie mokradła. Widniały tu wszędzie ślady dzikiego życia, i to w takiej ilości, że serce Roda załomotało w

podnieceni. Miejscami śnieg był twardo ubity kopytami jeleni. Tropy wiodły we wszystkie strony. Odarte z kory drzewa świadczyły, że roi się tu od zwierzyny. Muki sunął naprzód z męczącą powolnością. Odchyłał bezszelestnie każdą gałąź, a gdy raz Rod trącił końcem rakiety pień zawiany śniegiem, stary Indianin podniósł do góry ręce w niemej rozpacz. Ostrożna wędrowka wśród mokradła trwała dobre dwadzieścia minut.

Nagle Mukoki stanął, ostrzegawczo wyciągając przed siebie ramię. Odwrócił głowę wstecz i Rod wiedział już, że stary myśliwiec dojrzał zwierzynę. Cał za całem zniżając się ku ziemi, Mukoki kucnął na swych rakietach, wzywając Roda, by ten się jak najostrożniej zbliżył. Gdy chłopak znalazł się obok, Indianin podał mu swój karabin i ledwo poruszając wargami, wyszeptał:

— Strzelaj!

Rod ujął fuzję drżącą ręką i ponad skuloną postacią Mukiego spojrzął w głąb mokradła. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Oddalony zaledwie o sto metrów, stał wspaniały rogacz, zajadając młode pędy krzaków leszczyny; obok samca leżały dwie łanie. Rod ogromnym wysiłkiem woli opanował podniecone nerwy. Rogacz był zwrócony bokiem, ze wzniesioną szyją i łbem, przedstawiając doskonały cel. Chłopak wycelował tuż za przednią łopatkę i dał ognia. Jeleń skoczył w górę i padł martwy.

Zaledwie Rod zdołał ocenić wartość swego strzału, a już Muki gnał pędem do powalonego zwierza, w biegu odwiązując plecak. Nim Rod go doścignął, Indianin już klęczał obok rogacza i wyciągał z plecaka dużą manierkę. Nie dając na razie żadnych wyjaśnień, wbił nóż w szyję drgającego jeszcze jelenia i napełnił manierkę świeżą krwią. Gdy skończył, uśmiechnął się pełen zadowolenia.

— Krew dla wilków! One lubią krew! Gdy ją zwęszą, będziemy mieli tej nocy wspaniałe łowy. Bez krwi nie ma dobrego tropu i nie ma łowów.

Mukoki dał teraz spokój zbyt czułym ostrożnościom i zachowywał się tak, jak gdyby zadanie jego zostało już wykonane. Wyciął serce, wątrobę i jeden jeleni udziec, potem wydobył z plecaka mocny rzemień, opasał jednym końcem szyję rogacza, przerzucił drugi koniec przez pobliski konar i przy pomocy towarzysza wywindował zwierzynę tak wysoko, że nie można jej było dosięgnąć z ziemi.

— Gdyby nam co przeszkodziło zjawić się tu dzisiejszej nocy, to go przynajmniej wilki nie dostaną — wyjaśniał.

Ruszyli dalej na przełaj przez moczary. Te skończyły się wkrótce i strumień począł się wznosić po łagodnym zboczu, pokrytym zwałami głązów i drzewami rosnącymi tu i ówdzie.

Tuż nad brzegiem zamarzłej wody czerniał odłam skały, który natychmiast zwrócił na siebie uwagę Mukiego. Skała miała tak strome krawędzie, że tylko jeden jej bok był dostępny, a i to nawet trudno się nań było wdrzeć bez pomocy pobliskich konarów. Szczyt stanowił wygładzoną płaszczyznę i Muki, widząc to, roześmiał się z zadowoleniem.

— Doskonałe miejsce! — wykrzyknął. — W mokradłach, w lesie, na wzgórzach, wszędzie moc wilków. Zwołamy je do nas! A stąd będziemy strzelać!

Wskazał ręką kępę jodeł oddaloną o kilkadziesiąt metrów.

Zegarek Roda wskazywał południe i obaj myśliwi siedli, by spożyć zapasy przyniesione ze sobą. Ale już po upływie paru minut ruszono w powrotną drogę. Gdy minęli mokradła, Mukoki zawrócił pod prostym kątem do linii sideł, aż znaleźli się u szczytu wzgórz, które miały ich wywieść w poblizze chaty. Rod obejmował teraz wzrokiem surowy i dziki krajobraz. Z jednej strony wzgórze w łagodnych stokach zniżały się ku równinie, ale w przeciwnym kierunku opadały w stromych krawędziach, tworząc o pięćset stóp poniżej mroczny parów, którego dnem wił się potok. Mukoki przystawał parokrotnie i pochylał się nad ciemną głębią, badając ją ciekawie. Raz spełznął nawet

trochę w dół, wygramolił się potem na ścieżkę trzymając się karłowatej sosny i objaśnił, o co chodzi.

— Wiosną będzie tu moc niedźwiedzi!

Ale Rod nie myślał o niedźwiedziach. Pochłaniało go marzenie o złocie. Być może właśnie ten parów zawiera tajemnicę ludzi pomordowanych w chacie przed stu laty. Ponura cisza panująca wśród skalnych ścian, pustka wiejąca zewsząd, kurczowe skręty potoku — wszystko to zdawało się; mieć jakiś związek z tragiczną zagadką.

Ta myśl nie opuszczała mózgu Roda, przeciwnie, stawała się coraz bardziej natrętna, aż wreszcie, już w pobliżu chaty, biały chłopak ujął Mukiego za ramię i wskazując poza siebie rzekł:

— Mukoki! Złoto zostało znalezione tam!

IX. WOLF MŚCI SIĘ

Od tej chwili w sercu Roda zbudziło się wyraźne a nie gasnące pragnienie. Poświęciłby z chęcią wszelkie łowy, w jakich miał wziąć udział tej zimy, byle móc się zająć wyłącznie polowaniem na złoto. Odtworzył już teraz, jak mu się zdawało, najzupełniej dokładnie dzieje starej chaty, dwóch szkieletów i woreczka z jeleniej skóry. W chacie żyło przed laty dwóch ludzi. Znaleźli kopalnię złota — miejsce, w którym gołymi rękami zbierali złote bryłki. Skarb leżał gdzieś w pobliżu. Roda nie dziwił już fakt, że w chacie nie wykryto większej ilości cennego kruszcu. Rozwiązał zagadkę. Ludzie rozpoczęli walkę natychmiast po znalezieniu skarbu. Co mogło być bardziej logiczne? Pokłócili się o podział bogactw. Być może tylko jeden z nich odkrył złoto i z tego powodu chciał mieć większe zyski. Tak czy inaczej, zawartość skórzanego woreczka przedstawiała tylko owoc kilkudniowej pracy. Rod był tego pewien.

Gdy powiedział Mukiemu, że złoto leży w tych górach, stary Indianin, pełen powątpiewania, wzruszył ramionami, toteż Rod zachowywał już teraz wyłącznie dla siebie swoje przypuszczenia i myśli. Milcząc wracali ku domowi. Rod był zbyt pochłonięty nowym marzeniem i zbyt uważnie starał się zapamiętać okolice, wśród których szli, by zadawać jakiegokolwiek pytania. Mukoki zaś, małowówny jak większość tuziemców, odzywał się zazwyczaj tylko wówczas, gdy kto do niego zagadał. Jakkolwiek oczy Roda zawzięcie szperały to tu, to tam, nie mógł on odnaleźć żadnego możliwego zejścia w głąb parowu. Gniewało go to, postanowił już bowiem, że przy pierwszej okazji zwiedzi ponury wąwóz. Nie wątpił, że i Wabi przyłączy się do tej wyprawy. Zresztą równie dobrze może iść sam. Wierzył, że znajdzie wreszcie jakiś dostęp.

Gdy wrócili do chaty, Wabi już w niej był. Zastawił osiemnaście sideł i ustrzelił dwie kuropatwy. Ptaki, już oskubane, miały stanowić dzisiejszą wieczerzę. W czasie przygotowań do posiłku Rod opowiadał o nowoodkrytym parowie i o swoich przypuszczeniach, Wabi jednak wykazał tylko przejściową ciekawość. Chwilami zdawał się być pochłonięty jakąś niewesołą myślą. Podczas gdy Rod i Mukoki zajmowali się nakrywaniem stołu lub dorzucaniem paliwa do pieca, Wabi chodził po chacie, to znów przystawał z rękoma w kieszeniach, głęboko zadumany. Wreszcie otrząsnął się z zamyślenia, wyjął z kieszeni mosiężną gilzę od naboju i podał ją Mukiemu.

— Spójrz! — rzekł. — Nie chcę was niepotrzebnie straszyć, ale znalazłem to dzisiaj.

Mukoki porwał gilzę tak chciwie, jak gdyby to była nowa bryła złota. Widniał na niej wyraźnie wybity numer. Przeczytał głośno:

— 35 Rem. — Co to jest?

— Gilza z karabinu Roda!

Rod i Mukoki oszołomieni patrzyli w twarz młodego Indianina.

— Trzydziesty piąty kaliber Remingtona — mówił Wabi. — Automatyczny karabin. W tych stronach znajdują się jedynie trzy sztuki podobnej broni. Jeden karabin mój, drugi Mukiego, a trzeci należał do Roda, zanim go skradli Woongowie!

Wędzonka na patelni zaczęła skwierczeć i Mukoki szybko podał ją na stół. Wszyscy trzej bez słowa siedli do posiłku:

— To znaczy, że Woongowie tropią nas — zauważył Rod.

— Zastanawia Woonem się nad tym całe popołudnie — odparł Wabi. — Bez wątpienia są lub byli niedawno po tej stronie gór. Ale nie sądzę, by znali miejsce naszego pobytu. Znalazłem tę gilzę o pięć mil od chaty. Trop ludzki, na którym leżała, miał co najmniej dwa dni. Trzej Indianie w

rakietach śnieżnych szli tamtędy na północ. Podążyłem ich śladem i przekonałem się, że przyszli również z północy. Byli pewnie na myśliwskiej wyprawie i zatoczywszy łuk wracali znów do swego obozu. Wątpię, żeby się zapędzili aż do nas. Ale na wszelki wypadek trzeba się strzec.

Słyszając końcowe zdania Wabigoona, Muki uspokoił się nieco. I on również sądził, że Woongowie w swych myśliwskich wyprawach nie zapuszczają się zbyt daleko. Jednakże sąsiedztwo to nie należało do bezpiecznych i myśliwi zawczasu obmyślali plan działania. Zamiast czekać ewentualnej napaści i bronić się potem, w niewygodnej być może pozycji, będą się wciąż mieli na baczności i jeżeli zauważą w pobliżu chaty nowe ślady, pierwsi rozpoczną kroki wojenne.

Słońce właśnie zapadało za dalekie, południowo-zachodnie wzgórze, gdy myśliwi opuścili obóz. Wolf nie dostał już nic do jedzenia przez całą dobę i w miarę jak głód zaczynał go szarpać, w ślepiach jego płonął coraz dzikszy ogień, a ruchy stawały się bardziej nerwowe. Mukoki, pełen zadowolenia, zwrócił uwagę obu przyjaciół na te pomyślne objawy.

Nim trzej myśliwi dotarli do mokradeł, wśród których Rod zastrzelił jelenia, wokoło snuł się już wczesny zmierzch. Rod niósł teraz broń swoich towarzyszy, a dwaj Indianie powlekli jelenia aż do wielkiej skały o płaskim szczycie. Biały chłopak dopiero teraz zaczął pojmować plan starego Indianina. Zwalono parę młodych sosen i z pomocą drągów oraz mocnych rzemieni wciągnięto jelenia na szczyt skały. Gdy legł tam bezpiecznie, uwiązano do jego karku rzemień i w powietrzu przerzucono go do kępy cedrów. Pomiędzy konarami dwu największych drzew ułożono na oczekaniu dwie platformy, na których trzej łowcy mogli się wygodnie pomieścić. Nim zapadła noc, pułapka była gotowa; brakowało jedynie pewnego szcze gółu, którego wykonaniu Rod przyglądał się z niesłabnącym zainteresowaniem.

Spod ubrania, gdzie ciepło ciała nie pozwalało jej skrzepnąć, Mukoki wyjął flaszkę z krwią. Obryzgał posoką skałę i jej podnoże. Resztę krwi kropla po kropli rozsunął po śniegu, znacząc w paru kierunkach niby wąskie ścieżki.

Do wschodu księżycy pozostawało jeszcze około trzech godzin, więc myśliwi zgromadzili się teraz obok Wolfa. Oswojonego wilka uwiązano mniej więcej w połowie skalnego stoku. Pod osłoną wielkiego głazu rozpalono mały ogieniek i myśliwi piekli sobie nad nim wędzone mięso, skracając długie oczekiwanie gawędą na temat dzisiejszych przygód.

Dopiero o dziewiątej księżyc wychynał ponad szczytami drzew. Wędrował nad leśną głuszą jak krwawa, czerwona kula, nie przyćmiony żadną chmurką ani mgłą. Gdy zaś jał się wznosić wyżej, ruchem prawie dostrzegalnym dla ludzkich oczu, czerwień jego gasła, aż lśnił już tylko jak srebrzystozłota latarnia. Blask jego osnuł całą ziemię. Teraz Mukoki wstał, krótko ujął rzemień Wolfa i przemówiwszy szeptem do obu przyjaciół, kazał im iść za sobą; potem zaczął zstępować w dół.

Zatoczyli łuk wkoło skały i znaleźli się tuż obok niewielkiej sosny, położonej mniej więcej o dwadzieścia metrów od zabitego jelenia. Mukoki zatrzymał się i mocno uwiązał Wolfa do pnia drzewa. Zaledwie nieco odstał, a już wilk zaczął okazywać silne zaniepokojenie. Kręcił się tu i ówdzie, o ile mu na to pozwalała długość rzemienia, wciągał głośno powietrze łapiąc wiatr i skomlać obnażał kły. Raptem dostrzegł na śniegu krople krwi.

— Chodź! — szepnął Wabi ciągnąc Roda za rękaw. — Chodź, tylko cicho!

Prześliznęli się z powrotem w głąb jodłowej gęstwy i milcząc obserwowali Wolfa. Zwierzę stało sztywno nad kroplami krwi. Łeb znajdował się na równi z drżącym karkiem, uszy były lekko uniesione, a nozdrza chwyciły niepokojącą woń, co płynęła ku niemu z rozjaśnionej księżycem przestrzeni. Od zywał się w nim instynkt przodków. Opar krwi tumanił mu łeb. To nie była krew widywana w obozowiskach, krew rozlana rękoma ludzi. To była krew wilczych łowów!

Na chwilę pojmany zwierz wspomniał swych ciemieżców. Obejrzał się badawczo. Ludzie odeszli. Nie widział ich i nie słyszał. Czuł jedynie ich woń, ale tak dalece do niej przywykł, że była mu niemal obojętna. Fascynowała go krew i zapach ubitej zwierzyny, co z każdą chwilą stawał się bardziej wyraźny.

Ostrożnie przypadł do ziemi. Znalazł nowe ślady krwi i myśliwi usłyszeli przeciągły, niski skowyt. Czerwona smuga wiodła ku powalonej zwierzynie, więc wilk zaczął szarpać więzący go rzemień, chwytając go zębami, jak rozgniewany pies chwyta łańcuch, i zapominając zupełnie o podobnych chwilach przeżywanych poprzednio. Podniecenie jego rosło. Krążył wokół drzewa, chwytając zębami zbrukany śnieg i raz po raz przystawał z rozdziawioną paszczą, spoglądając w kierunku zabitego jelenia. Zwierzyna była tuż. Instynkt mu to mówił. I budziła się w nim tęsknota, żrąca, niewysłowienie potężna tęsknota mordy.

Szarpnął się raz jeszcze w dzikim pragnieniu uzyskania swobody. Ale rzemień trzymał mocno; opadł więc w śnieg drżąc, dysząc i skomląc żałości.

Potem przysiadł na zadzie, a rzemień wyprężył się za nim jak struna.

Chwilę łeb Wolfa zwracał się ku niebu, pełnemu księżycowego światła. Potem rozległo się przeciągłe, jęśliwe wycie, niby początkowa nuta przedśmiertnej pieśni psa huski — wycie, które im dłużej trwało, tym większej nabierało mocy, aż zabrzmiał triumfalnie wśród gór i napełnił doliny łowiecki zew wilka idącego świeżym tropem, co woła ku sobie zgłodniałych, burych towarzyszy, tak jak głos trąbki zwołuje do boju żołnierzy.

Ten dźwięk, mrozący krew w żyłach, wybiegł trzykrotnie z gardzieli uwięzowanego wilka, a nim zamarł w oddali, już myśliwi wdrapali się na platformy umieszczone wśród cedrowych konarów.

Nastąpiła teraz złowieszcza, wyczekująca cisza. Rod słyszał, jak mu serce bije w piersi. Zapomniał o straszliwym zimnie. Nerwy dygotały w nim. Wytrzeszczał oczy i ogarniał wzrokiem bezkresną równinę, białą i tajemniczo piękną, zalaną księżycowym światłem. Wabi o wiele lepiej zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Wycie Wolfa poniosło wielką nowinę w najdalsze zakątki śnieżnej pustyni. Kędyś w dole nad jeziorem, co spało zimowym snem, drżąca łania porwała się z legowiska; za górami olbrzymi łoś uniósł wspaniałe rogi i wojowniczo błysnął oczyma; o pół mili lis przerwał na chwilę tropienie królika; a tu i ówdzie zgłodniały, wychudzony brat Wolfa wstrzymał cichy bieg i zwrócił łeb w kierunku płynącego powietrzem hasła.

Cisza urwała się raptem. Daleko, może o milę, rozbrzmiała odpowiedź, a na ten głos uwięziony wilk ponownie uniósł łeb ku górze i zawył tak, jak się wyje tylko wówczas, gdy krew jest na szlaku albo gdy zbliża się godzina mordy.

Myśliwi milczeli, żaden nie wywołał najmniejszego szmeru. Mukoki cofnął się nieco i legł na brzuchu, każdej chwili gotów do strzału. Wabi przykląkł na jedno kolano i na wpół uniósł karabin. Rod oparł swój ciężki rewolwer o rozwidlenie konarów, by na próżno nie męczyć sobie dłoni.

Po chwili daleko na równinie rozległo się samotne wycie; z zachodu bezzwłocznie nadeszła ponura odpowiedź. Na równinie śpiewał już duet, a z północy i ze wschodu płynęły nowe głosy. Rod i Wabi usłyszeli radosny chichot Mukiego.

Czując bliskość współbraci Wolf podwoił wysiłek. Woń świeżej krwi powalonej zwierzyny doprowadzała go do szaleństwa. Ale teraz nie tracił sił na próżną szarpaninę. Wiedział, że wilki dążą śladem jego głosu. Zew prowodyrów brzmiał coraz wyraźniej, a wycie Wolfa rozlegało się niemal bez przerwy.

Naraz spośród moczarów nadbiegł krótki, podniecony skowyt i Wabi chwycił Roda za rękaw.

— Znalazł miejsce, na którym zabiłeś jelenia! — szepnął. — Teraz pójdzie wszystko raz dwa!

Zaledwie skończył mówić, gdy całe mokradła zadrgały serią ostrych skowytów, które zbliżały się

wciąż, w miarę jak zgłodniały zwierz pokonywał przestrzeń, biegnąc wyraźnym tropem pozostawionym przez obu Indian, gdy ci wlekli ku skale zabitego jelenia. Wkrótce wilk trafił na krople krwi, które Mukoki rozsnuł po śniegu, i w chwilę potem myśliwi ujrzeli smukły, bury cień, pomykający w stronę Wolfa.

Na krótko zapadła cisza. Potem oba wilki wydały łowiecki zew. Wreszcie swobodny wilk zbliżył się do podnóża skały, wspiął się przednimi łapami na jej zbocze i zawył odmiennie, wieszcząc stado, że zwierzyna już poległa.

Zgłodniała gromada zbliżała się szybko. Jeden nadleciał zza gór i chyłkiem, nie zauważony przez myśliwych, przyłączył się do poprzedniego. Z mokradeł nadbiegły jednocześnie trzy i wokół skały rosta z każdą chwilą pijana oparem krwi, wyjąca horda, miotająca się w dzikich podskokach, spragniona żeru, co widniał prawie tuż, a którego niepodobna było dosięgnąć. O dwadzieścia metrów od gromady spłaszczony na śniegu leżał Wolf; na razie, widząc coraz to Większą liczbę swych współbraci, uwięziony wilk rzucał się i rwał chcąc odzyskać swobodę, ale z czasem przycichł, aż wreszcie zupełnie spokojnie obserwował całą scenę, jak gdyby wiedząc, że lada chwila skończą się łowy, a rozpocznie ponury dramat.

Mukoki syknął ostrzegawczo, a Wabi wziął broń do oka. U stóp skały tańczyło przeszło dziesięć burych kształtów. Stary Indianin pociągnął z wolna za rzemień uwiązany do karku jelenia; wybadał siłę oporu i pociągnął mocniej, aż uczuł, jak martwe ciało osuwa się miarowo po skalnej pochyłości. Chwila jeszcze — i jelen runął w dół pomiędzy wyczekujące stado.

Jak muchy lecą na kawałek cukru, tak zgłodniałe bestie opadły ciało jelenia, walcząc o miejsce, gniotąc się i cisnąc, a w tej chwili Mukoki dał hasło rozpoczęcia ognia.

W ciągu pięciu sekund skraj jodłowej kępy jaśniał szeregiem śmiertelnych błysków, a grzmiący huk karabinów oraz trzask wielkiego Colta głużył jęk i wycie stada. Padło piętnaście strzałów, po czym kanonada ustała i nocna cisza zaległa na nowo. Tylko u stóp skały raz po raz odzywał się skowyt konających w śniegu wilków.

Na platformach, wśród konarów drzew, dał się słyszeć metaliczny trzask nabijanej broni.

Wabi przemówił pierwszy:

— Zdaje mi się, że poszło dobrze, prawda, Muld?

Muki, zamiast odpowiedzieć, zsunął się zręcznie w dół pnia. Dwaj chłopcy poszli za jego przykładem i wszyscy trzej podbiegli do skały. Pięć wilków leżało bez ruchu. Szósty pełznął wzdłuż zbocza i Mukoki dobił go siekierą. Siódmy wreszcie, pozostawiając za sobą krwawy ślad, uciekł nieco dalej, ale gdy Wabi i Rod go odnaleźli, wilk tarzał się już w konwulsjach agonii.

— Siedem! — krzyknął młody Indianin. — To jedne z najlepszych łowów, jakie mieliśmy kiedykolwiek! Sto pięć dolarów w ciągu jednej nocy, nieźle, co?

Wrócili ku skale, wlokąc za sobą wilka. Mukoki stał nieruchomo jak posąg, z twarzą zwróconą ku północy. Wyciągnął rękę w kierunku równiny i wymówił tylko jedno słowo:

— Patrzcie!

Daleko ponad śnieżną pustynią lśnił ponury blask. Rósł i potężniał, aż uderzył wysoko w niebo jako ognisty słup.

— To płonąca sosna! — rzekł Wabi.

— Tak, to płonąca sosna! — potwierdził Mukoki. A potem dodał: — To jest sygnał Woongów.

X. RODRYG ZWIEDZA PARÓW

Rodrygowi zdawało się, że płonąca sosna stoi bardzo niedaleko: o milę, najwyżej o półtorej mili. W milczącej zadumie obu Indian odczytywał ponure wróżby. W źrenicach Mukiego lśnił gniewny błysk, mało różniący się od tego, jaki się pojawia w ślepiach rozwścieczonego zwierzęcia. Na twarzy Wabigoona kwitł rumieniec i Rod widział, jak młody Indianin zwraca w stronę starego myśliwego pytające oczy.

Tak jak instynkt jego rasy budził w oswojonym wilku chęć łowów i mordy — tak krew dzikich przodków ocknęła się w sercu Mukiego i Wabigoona. Rod patrzył na nich przejęty do głębi. Jeszcze będąc w chacie wszyscy trzej wypowiedzieli Woongom wojnę. Teraz obaj Indianie otrząsnęli się z przesądów zakazujących im uczucia zemsty nad wrogiem. Odpowiednia chwila nadeszła. Sosna płonęła jeszcze kilka minut, aż ogień ją blednąc i zamierał. Ale Mukoki, milczący i złowieszczy, nie spuszczał z niej oczu. Wreszcie Wabi przerwał milczenie:

— Jak to daleko, Muki?

— Trzy mile — odparł stary bez chwili wahania.

— Możemy tam dojść za czterdzieści minut?

— Tak.

Wabi zwrócił się do Roda.

— Czy trafisz sam do obozu? — spytał.

— Jeżeli pójdziecie w kierunku tego ognia — odpowiedział biały chłopak — to i ja idę z wami.

Mukoki roześmiał się chrapliwie.

— Nie pójdziemy tam. — potrząsnął przecząco głową. — Za pięć minut stracimy ogień z oczu. Nie znajdziemy Woongów, ale oni rankiem odnajdą nasze ślady. Lepiej czekać. Poszukać ich, gdy będzie jasno, i zabić!

Rod odetchnął z ulgą. Nie obawiał się walki; pragnął nawet spotkania z tą bandą włóczęgów teraz, gdy postanowili strzelać do nich pierwsi, nie czekając zaczepki. Przemawiał w nim jednak chłodny rozsądek białej rasy. Był pewien, że jak dotąd Woongowie nic nie wiedzą o ich obecności w tych stronach. Wierzył, że koczują dalej na północy, poza strefą ich łowieckich terenów. I mimo że marzył o odzyskaniu swej fuzji, miał nadzieję, że na razie obejdzie się bez rozlewu krwi. Wojna z Woongami psuła mu projekt poszukiwania złota.

Wierzył, że we właściwym czasie odnajdzie skarb, i był pewien, że, wszelkie kroki wojenne oznaczają dla nich pogrom, a w najlepszym razie ucieczkę z tej okolicy. Zresztą nawet Wabi, chociaż ogarnięty żądzą walki, przyznawał, że jeśli tylko połowa Woongów znajduje się w tych stronach, sytuacja będzie rozpaczliwa, tym bardziej że myśliwi mają zaledwie dwie fuzje.

Toteż Rod ucieszył się szczerze, widząc, że Wabi i Mukoki rezygnują z planu natychmiastowego ścigania Woongów i zabierają się do zdzierania skalpów z zabitych wilków. Wolf tymczasem ucztował nad resztkami jelenia.

Tej nocy w starej chacie spano bardzo mało. Myśliwi znaleźli się pod dachem dopiero o drugiej i prawie do czwartej, siedząc wokół rozgrzanego pieca, gwarzyli o mającym nadejść dniu. Podniecenie obecne stanowiło jaskrawy kontrast z poczuciem bezpieczeństwa, którego doznawali nocując tu po raz pierwszy. Inne też mieli plany. Wszyscy trzej bowiem rozumieli, co im grozi. Znajdowali się w wymarzonej krainie łowieckiej, ale kraina ta leżała w bezpośrednim sąsiedztwie terenów Woongi. Każdej chwili mogli być zmuszeni do walki na śmierć i życie lub do ucieczki, a może do jednego i drugiego.

Zebranie wokół ognia było więc, prawdę mówiąc, naradą wojenną. Postanowiono natychmiast doprowadzić starą chatę do stanu obronnego, przygotowując otwory do strzelania we wszystkich jej ścianach i umocowując u drzwi mocne zasuwę; obok okna miały stać w pogotowiu grube bale, którymi w razie napadu można by je było szczelnie zatarasować. Dopóki nie znikną wszelkie obawy, jeden z myśliwców, uzbrojony w dwa rewolwery, będzie stale strzegł obozu. O świcie Mukoki miał ruszyć wzdłuż linii sideł Wabigoona, by ją zbadać i ustawić nowe pułapki; nieco później Wabi wybierał się jego tropem, by zebrać upolowaną zwierzynę i na nowo zastawić sidła. Rod miał pełnić pierwszą straż w obozie.

Mukoki zerwał się z krótkiego snu jeszcze przed brzaskiem, ale zbudził znużonych towarzyszy dopiero, gdy śniadanie było gotowe. Zaledwie skończono posiłek, stary Indianin ujął karabin i oznajmił, że nim wyruszy na całodzienną wędrówkę, chce zwiedzić pułapki zastawione na skunksy tuż za wzgórzem. Rod bez namysłu przyłączył się do tej wyprawy, a Wabi zabrał się do mycia naczyń.

Wkrótce mogli już dojrzeć strumień, nad którym snuła się linia sideł. Oczy obu myśliwych przywarły instynktownie do maleńkich chatek, natomiast nie zwracali wcale uwagi na resztę otoczenia. W rezultacie zaskoczył ich zniecienacka ostry chrzest śniegu i gwałtowne chrapanie.

Tuż obok spośród drobnych bukowych zarośli porwał się olbrzymi łoś i z szybkością cwałującego konia gnał teraz w górę zbocza, chcąc za pewne znaleźć schronienie w leśnej gęstwie za jeziorem.

— Poczekaj, aż będzie u szczytu! — wołał Mukoki biorąc broń do oka. — Poczekaj!

Strzał był tak nęący, że Rod miał wielką ochotę nie posłuchać przestrogi starego Indianina. Wiedział jednak, że Mukoki nigdy nie mówi na wiatr, toteż pohamował swe zniecierpliwienie. Zaledwie jednak zwierzę dosięgło szczytu i olbrzymi, rogaty łeb zarysował się na tle nieba, Mukoki dał znak i Rod trzykrotnie pocisnął cyngiel. Odległość była niewielka — dwieście metrów — więc Mukoki strzelił tylko raz.

W następnej chwili łoś znikł i Rod już chciał biec za nim, gdy stary Indianin ujął go za ramię.

— Pójdziemy naokoło — chichotał. — Łoś poleci w dół i padnie tuż prawie koło chaty. Wygodnie! Nie trzeba go będzie daleko wlec.

I tak spokojnie, jak gdyby nic nie zaszło, stary Indianin zawrócił znów ku linii sideł. Rod stał w miejscu jak przygwożdżony, z szeroko otwartymi ustami.

— Idziemy zwiedzać pułapki! — zachęcał Mukoki. — Wracając znajdziemy martwego łośia.

Ale Rodryg Drew, który w swym rodzinnym mieście polował jedynie na szczury, nie mógł się pogodzić z taką filozofią i nim stary Indianin zdołał go powstrzymać, chłopak pędził już w górę zbocza. Na szczycie zobaczył w śniegu wielką jamę zbryzganą krwią, a znaczącą miejsce, gdzie ranny zwierz padł zaraz po strzałach; u stóp wzgórza zaś, zgodnie ze słowami Mukiego, wspaniały łoś leżał martwy.

Wabigoon zwabiony strzałami pędził już przez jezioro i obaj chłopcy dopadli powalonego olbrzyma niemal jednocześnie. Rod sprawdził wnet, że trzy strzały wywarły pożądany skutek; kula z karabinu Mukiego trafiła tuż za przednią łopatką, a dwie inne przebiły płuca. Rod cieszył się bardzo, widząc, że spośród trzech jego strzałów dwa były celne, toteż, ożywiony, opowiadał właśnie przyjacielowi o ucieczce łośia, gdy nadszedł uśmiechnięty Mukoki, pokazując już z dala wspaniałego skunksa.

Trudno było o pomyślniejszy ranek, toteż myśliwi wpadli w cudowny humor, zapominając niemal o strachach ubiegłej nocy.

Wabi pozostał w chacie do obiadu, ćwiartując łośia i pomagając Rodrygowi w przygotowaniach

do obrony; ledwie jednak minęło południe, a już ruszył w ślad za Mukim.

Rod, pozostawszy sam ze swymi myślami, oddał się wnet marzeniom o tajemniczym parowie. Gdy idąc ścieżką spoglądał w jego głąb, zauważył, że leży tam jeszcze bardzo niewiele śniegu, i pragnął rozpocząć poszukiwania jak najwcześniej, nim grudniowe zawieje potworzą prawdziwe zaspę. Pod wieczór wydobyl ze skrytki w ścianie skórzany woreczek i jeszcze raz jedną po drugiej obejrzał złote bryłki. Zauważył, że są one nadzwyczaj gładkie i nie mają wcale ostrych kantów. Będąc w szkole, Rod studiował z zapalem geologię i mineralogię, toteż wiedział z całą pewnością, że jedynie bieżąca woda może złoto w ten sposób wypolerować. Wywnioskował więc, że bryłki zostały znalezione w łózysku potoku albo nad jego brzegiem. A był pewien, że chodzi tu o potok płynący dnem parowu.

Jednakże plany Roda dotyczące natychmiastowych poszukiwań zostały wkrótce rozwiane. Mukoki i Wabi wrócili tego dnia dość późno, przy czym Wabi niósł skunksa i czerwonego lisa, a Mukoki — wydrę. Stary Indianin miał nowiny o Woongach. Odszukał resztki spalonej sosny, gdzie wokoło zwęglonego pnia widniały trojaki odciski rakiet śnieżnych. Właściciel jednej pary rakiet przybył z północy; dwaj inni ludzie nadeszli z południa. To pozwalało sądzić, że sygnał miał właśnie przywołać tamtych dwu. Na krańcu linii sideł, oddalony od obozu mniej więcej o cztery mile, biegł jeszcze jeden ludzki trop, dążąc ku północy.

Na skutek tych spostrzeżeń plany ułożone poprzedniej nocy uległy pewnym zmianom. Postanowiono zwiedzać co dnia tylko jedną linię sideł, przy czym na tę wyprawę mieli iść zawsze dwaj myśliwi, uzbrojeni w karabiny. Trzeci myśliwiec musiał w tym czasie pilnować chaty. To uniemożliwiało, na razie przynajmniej, wszelkie plany Roda.

Minął potem szereg dni, w czasie których nie odnaleziono żadnego nowego tropu; myśliwi uspokoili się trochę. Wabi i Mukoki nie znali dotąd krainy tak obfitującej w zwierzynę; każdy obchód sideł zwiększał cenny zapas futer. Było jasne, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, to wczesną wiosną wrócą do Wabinosh House wioząc cały majątek. W ciągu trzech tygodni zdobyli sporo skunksów, kilka wydr, dwa czerwone lisy, rysia, dwa piękne mieszańce i trzy wilki. Rod myślał nieraz o tym, jak wielką radość sprawi jego powodzenie w małym domu oddalonym stąd o setki mil, gdzie matka czeka go i modli się za niego co dzień.

Nie poniechał zamiaru zbadania tajemniczego parowu. Mukoki i Wabigoon traktowali jego plany dość nieprzychylnie, twierdząc, że nawet jeśli złoto się tam znajduje, to pod pokrowcem śniegu niemożliwe będzie je wykryć. Rod czekał więc okazji, nic już nie mówiąc obu Indianom i mając zamiar sam ruszyć na zwiady.

Pewnego dnia w końcu grudnia, gdy słońce lśniło jaskrawym blaskiem, nadeszła odpowiednia chwila. Wabi miał pozostać w obozie, a Mukoki, pewien już, że Woongów nie ma w pobliżu, szedł sam zwiedzać linię sideł. Wziąwszy sporo żywności, karabin Wabigoona, podwójną ilość naboju, nóż, siekiere i gruby koc — Rodryg ruszył w kierunku parowu. Wabi, stojąc w drzwiach chaty, zęgnął go wesołym śmiechem.

— Życzę ci szczęścia, Rod! Mam nadzieję, że znajdziesz złoto! — wołał i machał mu dłonią na pożegnanie. — Jeśli nie wrócę dziś wieczorem, nie bójcie się o mnie! — odkrzyknął Rodryg. — Jeśli znajdę co ciekawego, przenocuję w parowie i rankiem będę szukał dalej!

Biały chłopak skierował się wnet na drugą stronę wzgórz, wiedząc z doświadczenia, że bliższe stoki są zbyt strome, by można tędy zejść na dno parowu. Wzgórza te, oddalone od obozu mniej więcej o milę, w kierunku południowym nie były jeszcze zbadane przez myśliwych. Rod jednak postanowił trzymać się wciąż koryta wąwozu, przez co wykluczał możliwość zabłądzenia. Poznał wkrótce, pełen rozczarowania, że południowe zbocza parowu są równie niedostępne jak północne, i

w ciągu dwu godzin próżno szukał możliwości zejścia w dół. Okolice stawała się teraz coraz bardziej lesista, a liczne ślady świadczyły o obecności grubej zwierzyny. Ale Rod mało się tym zajmował. Znalazł wreszcie miejsce, gdzie las opadał w dół stoków, i ku swej niepomiernej radości spostrzegł, że jeśli zdejmie rakiety śnieżne i dopomoże sobie rękami, to będzie mógł tutaj zejść.

W kwadrans później, zdyszany, ale pełen dumy, stał na dnie parowu. Po prawej stronie miał teraz wstęgę iglastego boru; na lewo zwałiska nagich, czarnych skał zamykały horyzont. U stóp wił się potok, grający tak ważną rolę w jego marzeniach o złocie; miejscami bystry prąd jeszcze nie zamarł, miejscami znów lśnił szklistą, lodową powłoką. Przed nim leżał ponury, mroczny parów, w głąb którego spoglądał niejednokrotnie ze szczytu północnych wzgórz. Kiedy sunął krok za krokiem ku milczącej głuszy, mając wzrok i słuch napięty do ostatnich granic, opanowała go myśl, że wdziera się oto w granice zaklętego państwa, którego być może jeszcze dziś pilnują duchy tamtych dwu, co znaleźli śmierć z powodu ukrytego w parowie skarbu.

Skalne ściany zwięzały się i coraz wyżej pięły nad jego głowę. Żaden promień słońca nie lśnił w głuchym mroku. Żaden liść nie szeleścił w cichym powietrzu. Pośród skał potok pienił się i szumiał, ale ani krzyk ptasi, ani skrzek wiewiórki nie przerywały monotonii jego dźwięków. Zdawało się, że świat wokół wymarł. Jedynie wiatr gwizdał raz po raz nad szczytami wzgórz. Lecz w głąb parowu nie wdzierał się najmniejszy powiew. Rod miał zaledwie tyle śniegu pod stopami, że nie było słyhać jego kroków, ale nie mógł używać rakiet i w dalszym ciągu niósł je na plecach.

Naraz spośród głębokiego cienia, zalegającego podnóże górskiej ściany, dobiegł ostry, nieludzki krzyk i osadził go na miejscu z bronią uniesioną do ramienia. Po chwili jednak przekonał się, że zbudził tylko wielką sowę, toteż minął ją bez strzału. Raz po raz przystawał nad potokiem i unosił garść kamyków i żwiru, a ilekroć pojmał jakiś błysk, serce drżało mu nadzieją. Chociaż złota nie znajdował, nie tracił fantazji. Złoto musi się tu gdzieś ukrywać! Był tego równie pewien, jak tego, że żyje i że szuka go. Wszystko potwierdzało to mniemanie: wyniosłe zbocza spękanych skał, co wyglądały tak, jak gdyby lada chwila miały runąć, złoża żwiru po obu stronach potoku, a nawet cisza i tajemniczość panujące w powietrzu i zdające się mówić o jakiejś wielkiej zagadce.

Było to owo nie nazwane coś unoszące się wokół, niewidzialne i tajemnicze. Zmuszało to młodego wędrowca do posuwania się krok za krokiem, milcząco, ostrożnie, jak gdyby najlżejszy chrzęst śniegu mógł zbudzić groźne niebezpieczeństwo. Dlatego też zupełnie niespodzianie natknął się prawie na żyjące stworzenie, nie spłoszywszy go uprzednio. O niecałe pięćdziesiąt metrów, wśród skał, zobaczył sunące z wolna zwierzątko. Był to lis. Nim zwierzył obecność człowieka, Rod już wycelował i strzelił.

Wkoło zerwały się grzmiące echa. Dudniły środkiem parowu, cichnąc w oddaleniu, a Rod stał i słuchał, wstrząsany chwilami nerwowym dreszczem. Dopiero gdy nastąpiła zupełna cisza, chłopak zbliżył się do swej zdobyczy. Lis nie miał rudej; barwy. Nie był także czarny. Nie był...

Serce w piersi Roda targnęło gwałtownie. Skrwawione zwierzę u jego stóp było jednym z najpiękniejszych stworzeń, jakie kiedykolwiek w życiu oglądał, a futro jego, o czarnym poszyciu, miało górą srebrzystoszary połysk.

W samotnym parowie zabrzmiał nagle radosny ludzki okrzyk:

— Srebrny lis!

Rod stał całe pięć minut, przyglądając się swojej zdobyczy. Potem wziął lisa do ręki i potrząsnął nim, a przypominając sobie opowiadania Mukiego i Wabigoona, poznał, że jedwabiste futro tego zwierzątka posiada większą wartość niż wszystkie inne zdobyte poprzednio trofea.

Nie próbował obdrzeć lisa ze skóry, ale wsunął go w całości do plecaka i ruszył dalej na swe milczące zwiady.

Minął już miejsca oglądane niegdyś ze szczytu wzgórz. Parów stawał się coraz bardziej ponury i dziki. Czasami zdawało się prawie, że skalne ściany zejda się ponad głową wędrowca. Pod okapem głązów gromadziły się cienie nocy. Oczarowany groźnym pięknem otoczenia, Rod zapomniał o tym, że czas płynie. Niestrudzenie pokonywał przestrzeń. Nie czuł głodu. Przystanął tylko raz i ugasił pragnienie wodą z potoku. A gdy wreszcie spojrział na zegarek, zdumiał się widząc, że jest już trzecia.

Było zbyt późno na powrót do obozu. Rod wiedział, że w ciągu najbliższej godziny mroczny z natury parów stanie się zupełnie ciemny. Zatrzymał się więc w pierwszym dogodnym miejscu, zrzucił plecak i zaczął budować szałas z cedrowych gałęzi. Dopiero gdy skończył tę robotę i zgromadził dostateczną ilość paliwa na całą noc, zabrał się do przyrządzania posiłku. Przyniósł ze sobą z chaty garnczek i patelnię, toteż po chwili rozsunął się w powietrzu apetyczny zapach kawy i smażonej polędwicy łosia.

Nim Rod zaczął jeść kolację, w parowie zapadła już głęboka noc.

XI. SEN RODRYGA

W okół młodego chłopca panowała teraz niesamowita pustka. Jedząc, starał się przebić wzrokiem tajemniczy mrok zalegający parów. Pośród głazów ozwał się lekki szmer, spowodowany zapewne przez jakieś nocne zwierzę, i Rod uczył na plecach przykry dreszczyk. Nie bał się; jednakże ponura cisza i poczucie samotności w tym wąwozie, gdzie od przeszło pół wieku nie stąpiła noga ludzka, źle mu działały na nerwy. Co za groźne zagadki mogą się kryć wśród tych kamiennych ścian? Co za dziwne rzeczy mogą się zdarzyć tutaj, kędy wszystko jest tak niezwykle, całkowicie różne od reszty świata. Rodryg roześmiał się, próbując w ten sposób odegnać niemądre przywidzenia, ale dźwięk jego głosu ozwał się jakąś fałszywą nutą. Echo odbite od skał powtórzyło drżący, lękliwy chichot. Rod pomyślał, że tak mogłyby się śmiać upiory, i mimo woli przysunął się bliżej do ognia. Podsycił go skwapliwie drzewem i chrustem, a siedząc w ciepłym wnętrzu szałas, czuł wciąż niejasny lęk; nie był zmęczony ani senny, tylko tak bardzo samotny. Przy tym, pomimo największych wysiłków, nie mógł wygnać z pamięci wizji dwu szkieletów odnalezionych w starej chacie. Przed wieloma laty, zanim nawet przyszła na świat jego matka, ci dwaj ludzie chodzili po tym parowie. Pili wodę z tego samego potoku co on, wdzierali się na te same zbocza i być może obozowali kiedyś w tym samym miejscu. Oni również wsłuchiwali się niegdyś w ponurą ciszę, patrzyli, jak lśniące błyski ognia pełgają po głazach, i... znaleźli złoto!

Gdyby Rod rozporządzał parą siedmiomilowych butów, bez wątpienia w jednej chwili znalazłby się u boku towarzyszy. Wyteżył słuch. Z oddali, z przebytej tylko co drogi, nadleciał samotny, pełen niewysłowionego żalu okrzyk.

— Ello... ello... ello..!

Brzmiało to jak zdławiony ludzki jęk, ale Rod wiedział, że to hukanie zbudzonej ze snu sowy. Echo powtarzało je raz po raz i coraz ciszej, aż wreszcie zdało się, że to duchy nawołują się szeptem w nocnym mroku.

— Ello! ello... ello...

Chłopak zadygotał i położył fuzję w poprzek kolan. Bliskość palnej broni dodawała mu otuchy. Poglądził ją i miał prawie ochotę przemówić do niej. Jedynie ci, co zapuszczali się daleko w pustkę i głuszę dziewiczych krain, wiedzą, czym jest dobry karabin dla samotnego wędrowca. To przyjaciel w nocy i we dnie, wierny wykonawca wszelkich pragnień, oddalający widmo głodu i niosący śmierć wrogom. Rod w ten właśnie sposób spoglądał na swoją fuzję. Dłonią odzianą w rękawicę polerował teraz jej lufę i gdy wreszcie usnął — pomimo silnego postanowienia, że będzie czuwał całą noc — podświadomie jeszcze mocniej tulił ją w ramionach.

Osaczyły go wnet ciężkie i męczące sny, w których przeżywał to wszystko, o czym poprzednio myślał. Spoczywał pół siedząc, pół leżąc na swym pościeliu z igliwia. Głowa opadła mu na piersi, nogi miał wyciągnięte w stronę ognia. Raz po raz wyrwały mu się z ust nieartykułowane dźwięki. Rzucił się naprzód, jak gdyby już zbudzony, ale za każdym razem opadał znowu wstecz i śnił dalej, wciąż tuląc do siebie fuzję.

Koszmar przybierał z wolna określoną formę. Rod widział siebie idącego poprzez śniegi. Szedł samotnie. Znajdował starą chatę. Okno jej było szeroko otwarte, ale drzwi zamknięte tak, jak w swoim czasie były zamknięte w rzeczywistości. Rod zbliżał się ostrożnie. Gdy znalazł się w pobliżu okna, usłyszał dziwne odgłosy, niby klekot trącanych o siebie kości.

Idąc krok za krokiem, dotarł tuż i zajrzał do wnętrza. To, co zobaczył, przejęło go do szpiku

kości. Dwa ludzkie szkielety walczyły ze sobą, zwarte w śmiertelnym uścisku. Walka odbywała się milcząco, jedynie grzechot kości brzmiał bezustannie. Rod widział błysk noży, trzymany w palcach pozbawionych mięśni, i rozumiał już, że szkielety walczą o coś, co leży na stole. To jeden, to drugi wyciągał ramię po ten przedmiot, żaden jednak nie zdołał nim zawładnąć.

Klekot kości rozlegał się coraz głośniejsze, walka stawała się coraz zacieklejsza, a noże unosiły się i opadały raz po raz. Wreszcie jeden szkielet zatoczył się i runął wznak na podłogę.

Zwycięzca, chwając się, sięgnął w stronę stołu i ujął w palce tajemniczy przedmiot. Gdy Wspierał się o ścianę, Rod dojrzał, że trzyma on w ręku zwitek brzozy kory.

W dogasającym ognisku ostro trzasnęła smolna gałąź i Rodryg siadł na swym pościelonym, zupełnie już przytomny, drżąc i wytrzeszczając oczy. Co za okropny sen! Nogi miał tak zdrętwiałe, że nie mógł wstać, więc przysunął się do ognia na klęczkach i wciąż trzymając karabin jedną ręką, drugą dorzucił paliwa do zamierających płomieni.

— Co za okropny sen!

Dygotał i obiegał oczyma nieprzenikniony mur ciemności, co stał wkoło niego. Wreszcie siadł i patrzył na coraz większe płomienie bijące z ogniska. Ciepło i światło sprawiało mu wielką ulgę; teraz już z mniejszą trwogą wspominał o perypetiach snu. Ale był spocony jak mysz. Zdjął futrzany kaptur i stwierdził, że ma zupełnie mokre włosy.

Nagle znieruchomiał. Uprzytomnił sobie jeden fragment sennych majaczeń, ten mianowicie, gdy zwycięski kościotrup, oparty o ścianę, unosił triumfalnie ku górze zwitek brzozy kory. I natychmiast przypomniało mu się, że gdy chowali szkielety znalezione w starej chacie, jeden z nich miał również kawałek brzozy kory zaciśnięty w palcach.

Czyż tam należało szukać wskazówek tyczących kopalni złota?

Czyż o ten zwitek kory, a nie o skórzany woreczek walczyli dwaj nieznajomi?

Czas biegł, a Rod zapomniał o swej samotności, o zdenerwowaniu, o strachach, myśląc jedynie o nowej nici przewodniej, którą ujrzał we śnie. Wabi i Mukoki równie dobrze jak on sam widzieli brzozy kory w dłoni szkieletu, ale nikt nie zwrócił na ten szczegół specjalnej uwagi; sądzili wszyscy, że człowiek machinalnie chwycił ją do ręki, bądź to tarzając się po podłodze w czasie walki, bądź też bezwiednie zaciskając palce w kurczach agonii. Rod uprzytomnił sobie teraz, że nie znaleziono więcej ani skrawka brzozy kory, czyli że na ogół w chacie nie używano jej do niecenia ognia. Pracowicie odtwarzał w myśli poszukiwania czynione w izbie i nabrał pewności, że dłoń szkieletu zawierała bezwzględnie rzecz ważną.

Podsycił znów ogień i niecierpliwie oczekiwał brzasku.

O czwartej, nim jeszcze świt przetaił osłonę nocy, przyrządził śniadanie i spakował plecak, gotując się do powrotnej drogi. Wkrótce potem drżąca smuga światła zajrzała do parowu. Blask ożłocił wpierw skalną ścianę, po czym wolno spełznął w dół i Rodryg mógł już rozpoznać bliższe przedmioty i strome zbocza zamykające horyzont.

Jednakże gdy ruszył w drogę, otaczał go wciąż jeszcze gęsty mrok. Szedł równie ostrożnie jak poprzedniego dnia. Starał się nawet stąpać jeszcze ciszej i pilnie badał wzrokiem zbocza gór i brzegi potoku. Zobaczył już raz w parowie żywą istotę i podobne spotkanie mogło się zdarzyć po raz wtóry.

Blask dnia roztaczał się w krąg coraz jaśniej i Rod przyspieszył kroku. Osądził, że jeśli nie zatrzyma się już po drodze, to stanie w chacie przed południem i bez zwłoki będzie mógł przystąpić do wykopania szkieletu. Pomimo późnej zimy w parowie leżało bardzo mało śniegu i o ile zwitek brzozy kory wyjaśni tajemnicę skarbu, nic nie przeszkodzi wydobyć go, nim się zwałą większe śniegi.

W miejscu, w którym padł srebrny lis, Rod na chwilę przystanął. Rozmyślał nad tym, czy lisy

chodzą zazwyczaj parami czy samotnie, i żałował, że nigdy nie zapytał o to Mukiego lub Wabigoona. Odnalazł ślad, kędy ze szczytu góry lis zbiegł do parowu. Pchany ciekawością, ruszył tym tropem. Przebył zaledwie dwieście metrów, gdy nagle stanął zdumiony. Na miękkim śniegu widniał wyraźny odcisk rakiet śnieżnych. Kimkolwiek był tajemniczy wędrowiec, przeszedł on tędy po zastrzeleniu lisa, miejscami bowiem trop zwierzątka był całkowicie zatarty.

Ale kto znajdował się w parowie?

Czyżby to był Wabi?

Czyżby on albo Mukoki przyszli tu? Albo...

Wpatrzył się znowu w ślad rakiet. Trop miał szczególny charakter i w niczym nie przypominał jego własnych stąpień. Wgłębienia były większe i o całą stopę dłuższe. Rakiety Mukiego i Wabigoona zostawiały również zupełnie inny szlak.

Zagadkowy trop właśnie w tym miejscu zawracał i ginął między głazami zwalonymi u podnóża góry. Rod pomyślał, że niezajomy prawdopodobnie nie wykrył jego obecności w parowie. Ale ta nadzieja wkrótce pierzchła. Chłopak sunął naprzód bardzo wolno, trzymając fuzję w pogotowiu i podejrzliwie badając każdy załom gruntu mogący ukrywać zasadzkę. O sto metrów dalej niezajomy zatrzymał się i z jego odcisków na śniegu Rod wyczytał, że stał długą chwilę patrząc i nasłuchując. Teraz szlak zawracał i opadał znowu w dół, aż spoza odłamu skały obcy wędrowiec mógł dokładnie obejrzeć ścieżkę wydeptaną stopami białego chłopca.

Najwidoczniej tajemniczy szpieg nie chciał zdradzić swej obecności, bowiem spoza skały cofał się bardzo ostrożnie, klucząc pośród głazów, aż dotarł znów do zbocza góry.

Rod sam nie wiedział, co robić. Czuł, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, a nie miał pojęcia, jak należy postąpić, by go uniknąć. Był niemal pewien, że zagadkowy trop należy do jednego z wojowników Woongi i że Indianin nie tylko wie o jego obecności tutaj, ale ukrywa się gdzieś pośród skał i być może wybiera odpowiedni moment dla posłania śmiercionośnej kuli. Więc czy iść dalej, jak gdyby nigdy nic, czy też cofnąć się i gdzie indziej szukać przejścia na szczyt góry?

Zdecydował się już na to ostatnie, gdy raptem dojrzał wąską, prawie poziomą szczyrbę, przecinającą na lewo od niego skalisty mur. Siady rakiet śnieżnych wiodły właśnie w tym kierunku. Chłopak poszedł za nimi, trzymając fuzję gotową do strzału, i przekonał się pełen zdumienia, że jest to szczelina, której dnem biegnie lekko pochyła ścieżka, pnąca się aż na szczyt wzgórze. Tajemniczy szpieg zdjął tu rakiety śnieżne i niosąc je wdrapał się na łagodne zbocze.

Młody myśliwiec odetchnął pełen ulgi i śpiesznie powrócił na dno parowu. Szedł teraz tuż u podnóża skalnej ściany, tak że ktokolwiek by spoglądał z jej szczytu, nie mógł go dojrzeć. Zresztą nie bał się już. Ucieczka niezajomego i jego wyraźna chęć zatarcia za sobą śladów upewniły Roda, że obcy nie ma wobec niego wrogich zamiarów. Zdawało się, że chodzi mu głównie o to, by zataić własną obecność. W stosunku do Woongów Rod wyrobił sobie na ogół własne poglądy. Wbrew zapatrywaniom Mukiego i Wabigoona był pewien, że Woongowie doskonale wiedzą o ich pobycie tutaj. Prawda, postępowanie czerwonoskórych opryszków było wielce zagadkowe, ale ani razu ich trop nie przeciął którejkolwiek linii siatek. Czyż fakt ten sam przez się nie jest wiele znaczący?! Rod miał umysł nastrojony niezwykle badawczo, a był chłopcem sprytnym i spostrzegawczym, lubiącym wysnuć wniosek z każdego zdarzenia. Popełnił jednak zasadniczy błąd, ten mianowicie, że nie podzielił się swymi myślami z Mukokim i Wabim; sądził bowiem, że ludzie tak obeznani z życiem północnych krain są nieomylni, gdy chodzi o, jakkolwiek tyczący go objaw.

XII. TAJEMNICA SZKIELETU

Nieco przed południem Rod dotarł do szczytu wzgórza, skąd mógł objąć wzrokiem starą chatę. Był pełen radości i uśmiechał się wesoło, schodząc w dół zbocza. Znalazł przecie skarb w głębi tajemniczego parowu. Ciężar srebrnego lisa na ramionach przypominał mu o tym i wyobrażał już sobie chwilę, w której przyjazne drwiny Mukiego i Wabigoona zamienią się nagle w radosne zdumienie.

W pobliżu chaty Rod usiłował przybrać wygląd człowieka znużonego i zniechęconego, co mu się też w zupełności udało, pomimo że miał szczerą ochotę parsknąć śmiechem. Wabi Spotkał go we drzwiach, uśmiechając się kpiąco, a Mukoki witał przybysza właściwym sobie chichotem.

— Oto Rod z kabzą pełną złota! — wołał młody Indianin. — Czy pokażesz nam swój skarb?!

Żartował, ale oczy lśniły mu radością z powrotu przyjaciela. Biały chłopak rzucił plecak na podłogę i padł na krzesło, niby wyczerpany do ostatka.

— Będziesz musiał rozpakować moje rzeczy — powiedział. — Nie mam już sił i taki jestem głodny!

Zachowanie Wabiego uległo błyskawicznej zmianie.

— Musisz być istotnie wyczerpany i umierać z głodu! W tej chwili dostaniesz obiad. Halo, Muki, usmaż mu, proszę, befsztyk!

Dał się słyszeć brzęk i szcęk patelni i garnków, a młody indianin, śpiesząc nakryć do stołu, w przelocie radośnie zdzielił Roda dłonią po plecach. Był najwidoczniej uszczęśliwiony i krając chleb zanucił jakąś piosenkę.

— Strasznie się cieszę, że wróciłeś — przyznał. — Trochę się już o ciebie bałem. Wczoraj doskonale się nam wiodło. W sidłach znaleźliśmy jeszcze jednego mieszańca i trzy skunksy. A ty, czy widziałeś cokolwiek?

— Może byś zajrzał do mego plecaka.

Wabi odwrócił się i spojrzał na przyjaciela z niewyraźnym uśmiechem.

— Czy tam co jest? — spytał podejrzliwie.

— Słuchajcie, chłopcy! — wykrzyknął naraz Rod, nie mogąc się już pohamować. — Mówiłem, że w tym parowie jest skarb, i miałem rację. Znalazłem go! Jeśli macie ochotę, możecie zajrzeć do mego plecaka!

Wabi przestał krajać chleb, rzucił nóż i zbliżył się do pakunku. Trącił go końcem nogi, potem uniósł z ziemi i znów spojrzał na Roda.

— To nie żart? — spytał.

— Nie!

Rod odwrócił się w drugą stronę i począł zdejmować futrzaną kurtkę tak spokojnie, jak gdyby fakt zdobycia srebrnego lisa był dlań najzwyczajszą w świecie rzeczą. Dopiero gdy Wabi wydał głuchy okrzyk, Rod obejrzał się i zobaczył go, jak stoi wyprostowany, ukazując wspaniałą zdobycz zdumionym oczom Mukiego.

— Czy ładny? — spytał.

— Cudowny! — zawołał Wabi.

Mukoki wziął zwierzę do ręki i przyglądał mu się z powagą prawdziwego znawcy.

— Bardzo piękny! — rzekł. — W faktorii wart jest pięćset dolarów, a w Montrealu o trzysta dolarów więcej.

Wabi skoczył poprzez izbę, wyciągając dłoń.

— Dawaj łapę, Rod!

Gdy ściskali sobie wzajem ręce, Wabi zwrócił się do Mukiego:

— Biorę cię za świadka, Muki, że ten oto jegomość nie jest już żółtodziobem! Zabił srebrnego lisa. W ciągu jednego dnia zarobił tyle co inny w ciągu całej zimy. Moje najniższe ukłony, panie Drew!

Rod poczerwieniał z uciechy.

— Ale to jeszcze nie wszystko, Wabi — rzekł. Oczy jego stały się naraz bardzo poważne i Wabigoon, zdziwiony, znieruchomiał z dłonią na ramieniu przyjaciela.

— Czy chcesz powiedzieć, że znalazłeś...

— Nie, nie znalazłem złota — przerwał Rod. — Ale złoto jest w parowie. Wiem to na pewno! I zdaje mi się, że znalazłem nic przewodnią. Pamiętasz, że kiedy oglądaliśmy oparty o ścianę szkielet, zauważyliśmy, że trzyma on w ręku zwitek brzozonej kory. Tak! Otóż sądzę, że ta kora zawiera tajemnicę złotego skarbu!

Mukoki zbliżył się do obu przyjaciół i z zaciekawieniem słuchał wywodów Rodryga. W oczach Wabiego lśniły na przemian zwątpienie i ciekawość.

— Możliwe — rzekł z wolna. — Zresztą, co nam szkodzi sprawdzić.

Podszedł do piecyka i zdjął patelnię z na pół upieczonym mięsem. Rod naciągnął z powrotem futrzaną kurtkę i wdział czapkę, a Mukoki wziął z kąta łopatę i siekiere. Nikt nie wymówił słowa, ale za obopólną, milczącą ugodą postanowiono, że praca nastąpi jeszcze przed obiadem. Wabi był poważny i zadumany i Rod widział, że jego słowa wywarły na młodym Indianinie silne wrażenie. Oczy Mukiego lśniły tak jak wtedy, gdy zdzierał w chacie podłogę w poszukiwaniu złota.

Szkielety były pochowane na skraju cedrowego lasu, a przykryte zaledwie półmetrową warstwą zmarzłej ziemi, toteż Mukoki szybko wydobył je na powierzchnię. Zaraz też ukazała się im dłoń kościotrupa i trzymany przez nią zwitek brzozonej kory. Rod na klęczkach zabrał się bez zwłoki do ponurej pracy.

Cały drżący od chłodnego dotyku zmarzłych kości rozgiął palce szkieletu. Jeden palec pękł z ostrym trzaskiem. Gdy Rod uniósł się wreszcie z ziemi, trzymając w ręku zwitek kory, twarz jego nie miała w sobie kropli krwi. Kościotrupy zasypano nową warstwą ziemi i trzech myśliwi wrócili do chaty.

Wciąż jeszcze milcząc zgromadzili się wokół stołu. Kora brzozy twardnieje z czasem i skręca się nadzwyczaj silnie; zwitek, który Rod trzymał w ręku, był sztywny jak stal. Poczęto więc go rozprostowywać cal za cal, a on trzeszczał raz po raz, przestrzegając o swej kruchości. Myśliwi przekonali się, że kora stanowi jednolite pasmo, długie na dziesięć cali, a szerokie na sześć. Rozwinięto już jeden cal, drugi, trzeci, a powierzchnia kory pozostawała zupełnie gładka. Jeszcze pół cala i zwitek nie dał się dalej rozchylić.

— Ostrożnie! — szepnął Wabi.

Końcem noża delikatnie podważył zlepione pasmo.

— Tu nie ma nic! — zaczął Rod. Raptem urwał. Na powierzchni kory ukazał się jakiś znak, na pozór nic nie wyrażający, z wykreśloną od niego w głąb zwitka cienką linią.

Jeszcze pół cala i obok pierwszej kreski powstała druga. I nagle zwitek kory rozkręcił się raptownie, jak sprężyna, wyjawiając oczom trzech myśliwców tajemnicę kościotrupów.

Mieli przed sobą mapę, czyli raczej to, co niegdyś miało stanowić mapę. Na brzozonej korze biegły w różnych kierunkach proste lub krzywe linie, a tu i ówdzie widniało półzatarte słowo wyjaśniające ich znaczenie. Niektóre wyrazy były całkiem nieczytelne. Ale uwagę Roda i jego

przyjaciół przykuł przede wszystkim napis widniejący pod rysunkiem, napis zupełnie wyraźny, a złożony z trzech męskich imion i nazwisk. Rodryg przeczytał głośno:

John Ball. Henryk Langlois.

Piotr Plante.

Imię Johna Balla przekreślono grubą kreską; u jej końca było wypisane po francusku jakieś słowo. Wabi przetłumaczył je.

— Umarł — wyszeptał. — Dwaj Francuzi zabili go! Rod milczał. Z wolna, drżącymi palcami dotknął mapy w Pierwszy wyraz, który chciał odczytać, okazał się zupełnie zatarty. W następnym odcyfrował tylko jedną literę, która nie mogła mu nic wyjaśnić. Widocznie mapę wyrysowano inną, mniej trwałą substancją niż imiona jej trzech właścicieli. Rod przebiegł oczyma ku dołowi, śledząc prostopadłą kreskę, i tam, gdzie przecinała ją inna, grubsza linia, zobaczył dwa zupełnie wyraźne słowa:

— Drugi wodospad!

O pół cala niżej rozróżnił trzy litery: t, d, l, dość znacznie oddalone jedna od drugiej.

— Trzeci wodospad! — wykrzyknął radośnie.

W tym miejscu urywały się wszelkie kreski, a tuż poniżej, pomiędzy planem a trzema nazwiskami, widniało kilka linijek pisma tak zatartych, że niepodobna było rozróżnić jednej litery. Ten ustęp rozwiązywał bez wątpienia zagadkę złota; Rod podniósł głowę znad skrawka kory, a na jego twarzy Widać było wyraźne rozczarowanie. Wiedział, że ma przed sobą jedyny klucz wyjaśniający tajemnicę zaginionego skarbu. Więcej niż kiedykolwiek miał zamiar poszukiwać go. Kędyś w śnieżnej pustyni znajdowały się trzy wodospady, a koło trzeciego z nich Anglik i dwaj Francuzi znaleźli niegdyś złoto. Nie wiedział nic ponadto. W parowie nie słyszał żadnego wodospadu; w czasie myśliwskich wycieczek nie widzieli nic w tym rodzaju.

Wabi milcząc patrzył mu w twarz. Naraz wyciągnął rękę, ujął pasmo kory i zaczął je z bliska oglądać. Wtem policzki mu poczerwieniały i krzyknął głośno:

— Daję słowo, że możemy to jednak odczytać! — wołał. — Spójrz, Muki! — i podsuwał mu pasmo do oczu. Ręce starego Indianina drżały lekko.

— Brzozowa kora składa się z wielu warstw, a każda z nich jest cienka jak bibułka — tłumaczył Wabi Rodrygowi, podczas gdy Mukoki oglądał mapę. — Jeśli się nam uda zdjąć pierwszą warstwę, to trzymając ją pod światło, będziemy mo gli odczytać każde słowo, choćby było napisane przed stu laty!

Tymczasem Mukoki zbliżył się do drzwi, a teraz, obrócony uśmiechał się do obu przyjaciół.

— Można będzie to zrobić!

Pokazał miejsce, w którym odłączył już od głównego pasma warstwę delikatnej błonki. Potem usiadł w pełnym świetle, zgarbił się i milcząc wykonywał dalej swą robotę, gdy tymczasem Rod i Wabi wyczekująco stali za nim. W pół godziny później Mukoki wyprostował grzbiet, wstał i podał Rodrygowi cenną błonkę.

Rod ujął ją tak ostrożnie, jakby od tego delikatnego pasma zależał jego los, i rozpostarł pod światło. Zdławiony okrzyk wyrwał mu się z gardła. Wabi krzyknął również. Potem zapadła cisza, przerywana jedynie ich podnieconym oddechem i głośnym biciem serc.

Tajemnicze słowa planu widniały tak wyraźnie, jak gdyby były napisane wczoraj. Tam, gdzie Rod rozróżnił poprzednio tylko trzy litery, można było przeczytać swobodnie: „trzeci wodospad”, a tuż obok: „chata”. Poniżej przeświecało kilka linijek drobnego pisma. Rod przeczytał głośno drżącym głosem:

My, niżej podpisani, John Ball, Henryk Langlois i Piotr Plante, znalazłszy złoto u tego wodospadu, postanawiamy dzielić się nim zgodnie, obiecujemy zapomnieć o dawnych nieporozumieniach i pracować uczciwie dla wspólnej korzyści. Tak nam dopomóż Bóg!

John Ball. Henryk Langlois. Piotr Plante.

Rodrygowi wydało się, że u góry mapy widzi jeszcze jakieś słowa. Były mniej wyraźne niż reszta pisma, ale przy pewnej cierpliwości dały się również odczytać. Serce Roda zabiło mocniej. Oddech Wabiego owiewał mu policzek, gdy ten głośno wymówił owe pięć wyrazów:

— Chata i wejście do parowu.

Rod zawrócił w głąb izby i usiadł przy stole, nie wypuszczając z ręki cennego pasma kory. Mukoki milczał, jak gdyby oszołomiony tym, co zaszło. Ale wnet przypomniał sobie obiad i ustawił na piecu patelnię z nie dopieczonym mięsem. Wabi stał z rękoma w kieszeniach, a po chwili wybuchnął śmiechem trochę drżącym.

— Cóż, Rod, znalazłeś złoto! Jesteś bogaczem!!

— Chciałeś powiedzieć, że znaleźliśmy nasze złoto! — poprawił biały chłopak. — Jest nas trzech i całkiem słusznie zajmiemy miejsca Johna Balla, Henryka Langlois i Piotra Plante. Wszyscy ci ludzie już nie żyją. Złoto należy do nas!

Wabi ujął mapę.

— Wydaje mi się wykluczone, byśmy go nie znaleźli — rzekł. — Kierunek jest wyznaczony zupełnie wyraźnie. Pójdziemy parowem i gdzieś natrafimy na pierwszy wodospad. Nieco dalej potok zmienia się w rzeczulkę lub rzekę; będziemy się posuwać z jej biegiem, aż staniemy u trzeciego wodospadu. Chata, o której mowa, jest tutaj i złoto nie może się daleko znajdować.

Zbliżył się znów do drzwi, a Rod za nim.

— Nie ma tu nic, co by pozwalało choć w przybliżeniu określić odległość — mówił dalej. — Jak długo szedłeś dnem parowu?

— Przynajmniej dziesięć mil — odparł Rod. — I nie widziałeś, i nie słyszałeś wodospadu?

— Nie!

Drzazgą podniesioną z podłogi Wabi wymierzył oddalenie różnych punktów planu.

— Tę mapę rysował bez wątpienia John Ball — rzekł wreszcie po chwili milczącego skupienia. — Wszystko świadczy o tym. Zauważ, że pismo, z wyjątkiem podpisów Henryka Langlois i Piotra Plante, ma wszędzie ten sam charakter. Ich bazgraninę trudno by nawet było odcyfrować, gdyby nie to, że znamy już ich imiona i nazwiska. Ball miał wyrobioną rękę, a z układu zdań łatwo wywnioskować, że był człowiekiem wykształconym. Czy nie tak? Otóż rysując mapę, musiał mieć jakieś pojęcie, o odległościach. Drugi wodospad jest położony od pierwszego o połowę bliżej niż trzeci od drugiego i ta okoliczność zdaje się potwierdzać moje przypuszczenia. Gdyby Ball nie myślał o określonych przestrzeniach, nie rozmieszczałby wodospadów w ten sposób..

— Zatem jeśli znajdziemy pierwszy wodospad, możemy sobie mniej więcej wyobrazić, jak daleko leży ostatni — rzekł Rod.

— Tak. Sądzę; że odległość pomiędzy tą chatą a pierwszym wodospadem da nam rozwiązanie zagadki.

Rod wyjął z kieszeni ołówki i na gładkiej deseczce rozpoczął obliczenia.

— Nawet w najlepszym razie, Wabi, złoto leży daleko od nas. Zwiedziłem parów na przestrzeni przynajmniej dziesięciu mil. Przypuśćmy, że pierwszy wodospad znajdziemy o piętnaście mil od chaty. W takim razie drugi wodospad leży o dwadzieścia mil dalej, a trzeci jest oddalony od

drugiego o czterdzieści mil. Jeśli pierwszy wodospad znajduje się piętnaście mil stąd, to do ostatniego mamy co najmniej siedemdziesiąt pięć mil drogi.

Wabi skinął głową.

— Ale możliwe, że na tej odległości nie znajdziemy pierwszego wodospadu — rzekł. — I na Boga! — urwał, niepewnie spoglądając w twarz Roda — ...jeśli złoto leży o siedemdziesiąt lub sto mil stąd, jakim sposobem ci ludzie się tu znaleźli? Dlaczego mieli przy sobie tylko garść kruszcu? Możliwe, że złota było w ogóle tylko tyle, ile go zawierał ten woreczek.

— Gdyby naprawdę tak było, to po co by walczyli tak zaciekle o tę mapę? — protestował Rod.

Mukoki smażył mięso. Dotychczas milczał, ale raptem przemówił: — Może szli do faktorii po żywność?

— Ależ oczywiście! — wykrzyknął czerwonoskóry chłopak. — Muki, rozwiązałeś zagadkę! Szli po zapasy. Wabinosh House istnieje już przeszło sto lat i przed pięćdziesięciu laty Jedyne tam mogli nabyć większą ilość żywności. Tak czy owak, na wyprawę poszli dwaj Francuzi. Zapewne wszyscy trzej zgromadzili poprzednio cały skarbiec, a przed odejściem zamordowali Johna Balla. Ze sobą mieli tylko tyle złota, by opłacić zapasy, zależało im bowiem na tym, by nie wzbudzać podejrzeń. Posiadanie tak drobnej ilości kruszcu mogli łatwo wytłumaczyć. W tej chacie jeden z dwu, Langlois lub Plante, napadł towarzysza chcąc go zamordować i stać się przez to jedynym właścicielem skarbu. W ten sposób rozpoczęła się walka, zakończona dla obu tak fatalnie. Może się mylę, ale moim zdaniem tak właśnie było!

ęks A swój skarb zakopali gdzieś opodal trzeciego wodospadu!

— Tak. Albo też przynieśli złoto ze sobą i schowali je w pobliżu tej chaty.

Mukoki przerwał rozmowę.

— Obiad gotów! — zawołał.

XIII. POD ŚNIEGIEM

Rod zapomniał na razie podzielić się z towarzyszami wiadomością o napotkaniu w parowie ludzkiego tropu. Był tak podniecony, że wszystko inne poszło w niepamięć, ale teraz, siedząc przy obiedzie, opowiedział dwom Indianom o tajemniczym nieznajomym. Przemilczał jednak swój strach i nie wyciągał z tego faktu żadnych wniosków, pozwalając towarzyszom snuć, jakie chcą podejrzenia. Dwaj Indianie ucieszyli się, że Woongowie zapewne nie mają złych zamiarów, skoro starają się uniknąć spotkania. Wszystko zdawało się to potwierdzać. I tak na przykład Woonga, którego ślady pozostały w parowie, mógł łatwo ustrzelić Roda z zasadzki. Równie łatwy byłby napad na bezbronny obóz, a wzdłuż linii sideł znajdowały się liczne miejsca nadające się do niespodziewanego ataku.

Tak więc spotkanie Roda z tajemniczym tropem przeszło bez większego wrażenia; zamiast myśleć o zbadaniu kierunku, w którym się udał nieznajomy, postanowiono jak najprędzej odszukać pierwszy wodospad. Mukoki był najlepszym i najbardziej nieustrudzonym piechurem i on miał rozpocząć poszukiwania. Postanowił wyruszyć następnego ranka, biorąc ze sobą sporą ilość żywności, gdy tymczasem Rod i Wabi mieli dopilnować linii sideł.

— Powinniśmy znać położenie pierwszego wodospadu, zanim jeszcze powrócimy do faktorii — zdecydował Wabi. — Jeśli znajduje się on bliżej niż o sto mil, możemy tam ruszyć jeszcze tej zimy, w przeciwnym razie jest to wykluczone. Musimy wtenczas wracać do Wabinosh House i urządzać nową wyprawę, zabierając znaczną ilość żywności i odpowiednie narzędzia.

— Myślałem już o tym — wtrącił Rod, a oczy jego przybrały rozmarzony wyraz. — Wiesz, że moja mama jest teraz zupełnie sama, i...

— Rozumiem — przerwał młody Indianin, pieszczotliwie opierając dłoń na ramieniu przyjaciela.

— Ma bardzo ograniczone środki — kończył Rod — i jeśli chorowała albo co, to...

— Oczywiście. I dlatego należy najpierw spieniężyć futra — dopomógł Wabi głosem lekko drżącym. — I jeśli pozwolisz, Rod, to udam się z tobą do Detroit. Myślisz, że ją to ucieszy?

— Czy ucieszy?! — wykrzyknął Rod, ściskając aż do bólu ramię przyjaciela. — Czy ucieszy? Przecie kocha ciebie tak samo jak mnie. Popłacze się z radości!

Ciemna, twarz Wabigoona pokryła się rumieńcem.

— Nie obiecuję jeszcze na pewno — rzekł. — Ale bardzo chciałbym ją zobaczyć. Jeśli tylko będę mógł, ruszę z tobą.

Rod promieniał.

— I wrócimy razem na początku lata, a potem pójdziemy po złoto! — krzyknął. Skoczył na równe nogi i radośnie gruchnął w kark Mukiego. Pojedziesz z nami, Muki? Pokażę ci miasto i zabawisz się jak nigdy w życiu.

Stary Indianin chichotał i kiwał głową, nie mówiąc jednak ni tak, ni nie. Wabi śmiejąc się, odpowiedział zamiast niego:

— Wiesz, Rod, on marzy tylko o tym, by znowu stać się niewolnikiem mojej siostry. Nie, Muki z nami nie pojedzie, jestem tego pewien. Będzie tkwił w faktorii i pilnował, żeby Minnetaki nie zginęła, nie zachorowała albo żeby jej Woongowie nie ukradli. Prawda, Muki?

Mukoki, chichocząc radośnie, kiwnął głową. Zbliżył się do drzwi, rozwarł je i wyjrzał na zewnątrz.

— Diabelski śnieg! — zawołał. — Wali jak dwadzieścia tysięcy diabłów!

Było to najbardziej dosadne wyrażenie w słowniku starego Indianina i oznaczało rzecz

niezwykłą. Wabi i Rod podeszli do drzwi. Miejski chłopak w całym swym życiu nie widział nic podobnego. Rozpętała się właśnie wielka śnieżycą, raz; do roku nawiedzająca północne kraje. Dwaj Indianie oczekiwali jej już od dawna, zdziwieni, że się tak spóźnia. Śnieg walił miękko, cicho, a najmniejszy powiew nie mącił jego płatków; tworzył głąką, białą ścianę, nieprzeniknioną dla ludzkich oczu, a tak zwartą, że zdawała się tamować dostęp powietrza. Rod wyciągnął dłoń i momentalnie okrył ją lśniący pokrowiec. Postąpił naprzód kilkanaście kroków i wnet zniknął w ruchomej gęstwie, mając tylko w dali niby widmo. Gdy w chwilę potem wrócił do chaty, niósł na głowie i ramionach całe zasy śniegu.

Śnieg walił całe popołudnie i całą noc. Zbudziwszy się rankiem, Rod usłyszał wokół chaty i w pobliskich drzewach zawodzący płacz wichru. Wstał i podczas gdy towarzysze jeszcze spali, rozniecił ogień. Spróbował otworzyć drzwi, ale tak były zawałone śniegiem, że nie mógł ich nawet uchylić. Uniósł zaporę okna i gruda śniegu runęła mu pod nogi. Żaden promień światła nie rozjaśniał wnętrza chaty, a gdy Rod obejrzał się, zobaczył, jak Wabi, - siedząc na łóżku owinięty w koce, zaśmiewa się z jego zdetonowanej miny.

— Co się stało? — wytrzeszczył oczy Rod.

— Jesteśmy zasypani śniegiem — parsknął Wabi. — Czy dym wychodzi przez komin?

— Żartujesz chyba... — Rod gapił się na ogień buszujący w piecyku. — Nie sądzisz przecie, że...

— Zatem nie jesteśmy całkiem pogrzebani — przerwał tamten. — W każdym razie szczyt komina wygląda ponad zaspę.

Mukoki siadł i przeciągnął się.

— Mocno wieje — rzekł, gdy gwałtowny szum wichru przeleciał ponad chatą. — Ale będzie gorzej!

Gdy dwaj Indianie ubierali się, Rod umocowywał ponownie okienną zaporę i zgarniał śnieg w kąt izby.

— Czeka nas cały tydzień pracy przy odkopywaniu siodła — stwierdził Wabi. — A tylko Wielki Duch Mukiego, który zsyła wszelkie dobro na ten padół płaczu, raczy wiedzieć, kiedy śnieżycą ustanie. Może trwać jeszcze kilka dni. Z tym wszystkim niepodobna teraz ruszać na poszukiwanie wodospadu.

— Możemy grać w domino — wesoło zaproponował Rod. — Pamiętasz, nie skończyliśmy partii zaczętej w Wabinosh House. Ale nie będziesz chyba twierdził, że w ciągu doby napadało tyle śniegu, by pokryć całą naszą chatę?

— Ściślej mówiąc, nie „napadało” go tyle — tłumaczył Wabi. — Niemniej jednak jesteśmy zasypani. Chata stoi na skraju równiny, u stóp wzgórza, i wiatr zwiewa ku nam śnieg tworząc zasy. Jeśli huragan potrwa do nocy, wyrośnie nad nami prawdziwy kurhan.

— A nie podusimy się wtedy? — pytał Rod.

Wabi parsknął śmiechem, a od stołu, przy którym Mukoki przyrządzał śniadanie, dał się słyszeć wesoły chichot. — Pod śniegiem żyje się doskonale — orzekł stary Indianin.

— Możesz leżeć pod całą górą śniegu i nie umrzesz, chyba że cię przygniecie jej ciężar — wyjaśniał Wabi. — Śnieg przepuszcza moc powietrza. Mukoki był raz zasypany lawiną i przeleżał pod dziesięciometrową warstwą całe cztery godziny. Urządził tam sobie małe gniazdko i gdyśmy go wreszcie odgrzebali, czuł się doskonale. Nie potrzebujemy teraz wiele palić, a i tak będzie tu ciepło.

Po śniadaniu chłopcy odsunęli znów zaporę okna i Wabi łopata zaczął zgarniać śnieg do wnętrza izby. Za trzecim czy czwartym pchnięciem runęła naraz przez okno cała lawina, tworząc zaspę sięgającą chłopcom niemal po pachy. Gdy spojrzeli teraz w górę, zobaczyliienne światło i srebrną kurzawę zawieruchy.

— Zawaliło nas po dach! — krzyczał Rod. — To dopiero zamieć!

— A teraz do zabawy! — zawołał Wabi. — Chodź, Rod, jeżeli chcesz wziąć w niej udział.

Wygramolił się przez okno do wygrzebanego poprzednio wgłębienia, a Rod poszedł jego śladem. Wabi czekał uśmiechając się chytrze, a zaledwie biały chłopak stanął obok, Indianin głęboko wbił łopatę w podnóże zasy. Starczyło pół tuzina mocnych pchnięć i na ich głowy posypał się raptem biały puch, grzebiąc ich całkowicie. Rod, zaskoczony, upadł na kolana, wymachując rękami i próżno starając się krzyknąć. Wywrócił się wreszcie zupełnie i Wabi, który stojąc wyprostowany, od dawna wysunął nad zaspę ramiona i głowę, aż się pokładał ze śmiechu, widząc wyglądające spod śniegu buty przyjaciela.

— Nie tędy, Rod! Zmyliłeś drogę! — wołał. Chwycił Roda za nogi i wyciągnął go na powierzchnię, a potem zataczał się cały i drżał, a łzy ciekły mu po twarzy — i śmiał się póty, aż wyczerpany zupełnie, padł w zaspę. Rod wyglądał jak nieboskie stworzenie. Oczy miał wytrzeszczone, a uszy i usta pełne śniegu. Śnieg wlaźł mu za mankiety i za kołnierz. Z wolna oprzytomniał, zobaczył Mukiego i Wabigoona pokładających się ze śmiechu i po chwili sam się roześmiał.

Chłopcy już teraz bez trudu wydostali się nad zaspę i wkrótce stanęli o dwadzieścia metrów od chaty, powyżej pasa pogrążeni w śniegu.

— Na równinie śnieg leży zaledwie na półtora metra — rzekł Wabi. — Ale spójrz tam.

Spojrzeli na chatę, czyli raczej na szczyt jej dachu triumfalnie wynurzający się z puszystych fal. Rod, nasyciwszy oczy tym widokiem, zwracał się teraz kolejno w różnych kierunkach, oglądając panoramę dzikiej krainy. Zawieja chwilowo ustała i wzrok jego sięgał na drugą stronę jeziora i aż po szczyty wzgórz. Najmniejsza czarna plamka nie mąciła krajobrazu; skały i góry były szczelnie okryte śniegiem; drzewa pod ciężkim całunem stały milczące i bez życia, a porywy wichru osnuły nawet ich pnie białym nalotem. Rod mimo woli po myślał o czworonogich mieszkańcach tej na pozór martwej pustki. Jak mogły istnieć w zamarłej pustyni? Czym zaspokajały głód? Gdzie gasiły pragnienie? Po powrocie do chaty zarzucił przyjaciela gradem pytań.

— Gdybyś teraz przebiegł wzdłuż i wszerz całą przestrzeń objętą zamiecią, nie napotkałbyś ani jednej żywej istoty — tłumaczył Wabi. Każdy łoś w tej połaci kraju, każdy jeleń i ren, każdy wilk i lis są zakopane w śniegu. Im więcej tego śniegu sypie ponad nimi, tym jest im cieplej i wygodniej. Gdy zamieć ustanie, cała dzicz zbudzi się do życia. Łoś, jeleń i ren zerwą się ze śnieżnych legowisk i zaczną ogryzać młode pędy drzew. Na śniegu utworzy się mocna skorupa i wszystkie mięsożerne, jak rysie, wilki i lisy, ruszą na łowy. Nim odmarzną rzeki, zamiast wody, śnieg i lód służą zwierzętom jako napój. Ciepłe grotty wygrzebane w zaspach są równie dobrym legowiskiem jak mchy moczarów i zarośla. Łosie, jelenie i karibu sporządzą sobie wkrótce wielkie areny, ubijając kopytami śnieg na dużej przestrzeni, i tam będą się zbierać w gromady i stada, wspólnie poszukując potem żeru, walcząc z wilkami i wyglądając wiosny. Och, życie zwierząt w czasie głębokiej zimy nie jest znowu tak złe!

Aż do południa myśliwi pracownicy odrzucali śnieg sprzed drzwi chaty. Wicher zerwał się na nowo i zamieć szalała z taką siłą, że pod wieczór nie można już było wystać na dworze. Z małymi przerwami zawieja trwała trzy dni, ale czwartego dnia rankiem niebo ukazało się już wolne od chmur i słońce jaśniało oślepiającym blaskiem. Rod zachorował teraz; doznając zwykłej w tych stronach niemocy, której ulegają wszyscy nowicjusze — tak zwanej ślepoty śnieżnej. Jedyne przez krótką chwilę mógł spoglądać na ośnieżone pustkowia, kędy widniała bezkresna biel, lśniąca, migotliwa, usiana tysiącem jaskrawych błysków — gdyż zaraz odczuwał bolesne klucie oczu. Nazajutrz po ustaniu zawieruchy, gdy Wabi wciąż jeszcze uczył Roda, jak należy stopniowo przyzwyczajać wzrok

do zmian zaszłych w krajobrazie, Mukoki opuścił chatę, mając zamiar zwiedzić parów w poszukiwaniu wodospadu.

Tegoż dnia Wabi zajął się odkopywaniem sideł i ustawianiem ich na nowo, ale upłynęła jeszcze cała doba, nim Rod mógł mu pomagać w tym zajęciu. Była to praca nie lada; znikły skały i głązy stanowiące punkty wytyczne i przeciętnie dało się odszukać tylko trzy czwarte sideł. Dopiero w dwa dni po odejściu Mukiego ukończono robotę związaną z pierwszą linią łapek i gdy młodzi myśliwi z nastaniem zmierzchu zawrócili w stronę chaty, byli pełni nadziei, że już w niej zastaną Mukiego. Ale Muki się nie zjawił. Czwartego dnia o świcie jeszcze go nie było. Miejsce radosnego oczekiwania zajął lęk. Stary Indianin mógł zrobić w ciągu trzech dni około stu mil. Czyżby go spotkało jakie nieszczęście? Rod przypominał sobie niejednokrotnie tajemniczego Woongę ukrywającego się w parowie. Może on lub któryś z jego towarzyszy urządził na Mukiego zasadzkę i zabił go.

Tego dnia żaden z chłopców nie miał ochoty opuszczać obozu. Łowy szły im wyjątkowo dobrze ze względu na to, że wszystkie zwierzęta po kilkudniowym poście były mocno zgłodniałe; od ustania zamieci złowili wilka, dwa rysie, czerwonego lisa i osiem skunksów. Ale gdy nieobecność Mukiego przedłużała się, zarówno Rod, jak i Wabi stracili chęć do polowania.

Pod wieczór zobaczyli ludzką postać pnącą się z trudem na szczyt wzgórza. Był to Mukoki.

Z okrzykiem radości obaj młodzi skoczyli poprzez śnieg na spotkanie, nie tracąc nawet czasu na obucie rakiet. W chwilę potem stary Indianin stał już między nimi. Uśmiechał się i na pytanie zawarte w ich oczach odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy.

— Znalazłem wodospad. Pięćdziesiąt mil!

Wszedłszy do chaty, padł zaraz na krzesło, wyczerpany do ostatka, a chłopcy na wyścigi jęli mu ścierać buty i odpinać plecak. Najwidoczniej Mukoki bardzo się śpieszył, bowiem Wabi zaledwie raz czy dwa razy przedtem widział go tak zupełnie wyczerpanym z sił. Młody Indianin zaraz włożył na patelnię olbrzymi befsztyk, a Rod wsypał do garnka dodatkową garść kawy.

— Pięćdziesiąt mil! — powtarzał Wabi po raz dwudziesty. — To była ciężka wędrówka, prawda, Muki?

— Dzikie góry. Strasznie dzikie góry! — odparł Mukoki. — Nie takie jak tam — machnął dłonią w kierunku parowu.

Rod stał milcząc, pełen zdumienia, szeroko otwierając oczy. Czyż możliwe, aby stary myśliwiec odkrył miejsca jeszcze mniej dostępne?

— Wodospad niewielki — ciągnął dalej Mukoki, ożywiając się, w miarę jak zapach kawy i mięsa nasycał powietrze. — Nie wyżej jak do sufitu — ręką wskazał poszycie chaty.

Rod obliczał przy stole. Wkrótce podniósł głowę.

— Zgodnie z tym, co mówią Mukoki i mapa, jesteśmy oddaleni od trzeciego wodospadu o przeszło dwieście pięćdziesiąt mil! — rzekł.

Mukoki wzruszył ramionami i uśmiechnął się znacząco.

— Zatoka Hudsona — mruknął.

Wabi, zdumiony, odwrócił się od piecyka.

— Więc parów nie idzie na wschód? — krzyknął prawie.

— Nie. Skręca wprost na północ.

Rod nie mógł zrozumieć powodu zmiany zaszłej raptem w twarzy Wabigoona.

— No chłopcy! — przemówił wreszcie młody Indianin. — Jeśli tak jest w istocie, mogę wam zaraz powiedzieć, gdzie się znajduje to złoto. Jeżeli potok w parowie zawraca na północ, to należy on do dopływów rzeki Albany; która wpada do Zatoki Jamesa. Trzeci wodospad, gdzie czeka na nas złoty skarb, leży w najdzikszej części północno-amerykańskiej głąsy. Skarb ten dotąd istnieje. Nikt

go nie odnalazł. Ale by go dostać, należy przedsięwziąć jedną z najdłuższych i najbardziej awanturnych wypraw, o jakich marzyliśmy kiedykolwiek.

— Hura! — wrzasnął Rod. — Hura!

Skoczył na równe nogi, pełen radości, że odnajdą złoto i że w tym celu zwiedzą najdalsze krańce północnej ziemi.

— Ruszemy wiosną, Wabi! — Wyciągnął rękę i obaj chłopcy silnie uścisnęli sobie prawice.

— Pojedziemy czółnem — dodał Mukoki. — Potok rozszerza się. Za pierwszym wodospadem sklecimy czółno z brzozy kory.

— Coraz lepiej! — cieszył się Wabi. — Będzie to wspaniała wyprawa!! A od trzeciego wodospadu urządzimy sobie małą wycieczkę nad Zatokę Jamesa.

— Właściwie Zatoka Jamesa i Zatoka Hudsona to to samo, prawda? — pytał Rod.

— Tak. Zupełnie nie rozumiem, po co istnieją aż dwie nazwy. Zatoka Jamesa jest w gruncie rzeczy przedłużeniem Zatoki Hudsona.

Tego dnia nikt już nie myślał o zwiedzaniu sideł, ale nazajutrz Mukoki uparł się, by iść razem z Rodem, pomimo że tylko co odbył tak długą i męczącą podróż. Twierdził, że jeśli pozostanie w chacie, to mu zeszywnieją stawy — i Wabi przyznał mu rację.

Najbliższe dwa tygodnie stanowiły nieprzerwane pasmo powodzenia w łowach. Przeszło dwa miesiące upłynęły od chwili opuszczenia Wabinosh House i Rod zaczynał już liczyć dni dzielące ich od chwili powrotu. Wabi ustalił, że wartość futer i wilczych skalpów wynosi już tysiąc sześćset dolarów, do czego należało dodać dwieście dolarów w złocie — i biały chłopak cieszył się myśląc, że wróci do swej matki z kapitałem sześciuset dolarów, którą to sumę mógł zarobić w mieście zaledwie w ciągu roku. Nie próbował też ukryć przed Wabim chęci ujrzenia Minnetaki, a młody Indianin, zachwycony sympatią, jaką przyjaciel okazywał jego siostrze, z przyjemnością prowadził na jej temat długie gawędy. Rod po kryjomu żywił nadzieję, że księżniczka-matka pozwoli córce udać się wraz z nim i Wabim do Detroit, gdzie bez wątpienia pani Drew pokocha w jednej chwili tę śliczną mieszkankę północy.

W trzy tygodnie po ustaniu zamieci Rod i Mukoki ruszyli zwiedzać linię sideł idącą wzdłuż linii gór, a Wabi sam pozostał w chacie. Postanowili już, że w przyszłym tygodniu rozpoczną powrotną podróż, zatem staną w Wabinosh House około pierwszego lutego. Perspektywa powrotu wprawiła Roda w świetny humor.

Zwiedzili sidła i zaraz po południu wracali do chaty. Zaledwie minęli mokradła, Rod postanowił wdrapać się na wzgórze, gdyż miał nadzieję, że idąc tamtędy uda mu się ustrzelić jaką zwierzynę. Mukoki zgodził się na to, ale sam nie chciał mu towarzyszyć, wybierając drogę krótszą i wygodniejszą.

Na grzbiecie góry Rod przystanął i powiódł wzrokiem wkoło. Widział Mukiego, który czerniał już tylko na skraju równiny niby ruchomy punkt; ku północy słała się bezkresna, pełna uroku głusza; na wschodzie dojrzał ruchomą plamę i odgadł zaraz, że jest to karibu lub łoś. Spojrzał na zachód...

Bezwiednie ustalił wzrokiem położenie obozu. Raptem twarz mu pobladła. Wydał mimowolny okrzyk grozy, a w sekundę potem począł rozgłośnie przyzywać Mukiego, ale stary Indianin nie mógł go już usłyszeć.

Tam, gdzie tak niedawno stała ich chata, bił w górę ogromny słup dymu. Z dali dochodził, zda się, przytłumiony huk karabinowej palby.

— Mukoki! Mukoki! — wołał Rod.

Stary Indianin był poza zasięgiem głosu. Błyskawicznie Rod wspomniał, że kiedyś poprzednio ustalili sygnały na wypadek wzywania ratunku: dwa strzały jeden po drugim, przerwa i znowu trzy

strzały następujące tuż po sobie.

Wziął broń do ramienia, palnął raz i drugi, wyczekał chwilę i strzelał ponownie tak szybko, jak tylko mógł nacisnąć cyngiel.

Śledząc wzrokiem Mukiego, nabijał broń. Zobaczył, jak Indianin zwalnia kroku, potem staje i obraca się wstecz.

Sygnał wzywający ratunku zagrzmiął nad równiną po raz drugi. Mukoki usłyszał go i tym razem ruszył z powrotem, pędząc ile tchu w płucach.

Rod skoczył na spotkanie, biegnąc wzdłuż garbu, od czasu do czasu dając w górę pojedyncze strzały dla wskazania kierunku. W kwadrans potem Mukoki, zdyszany, stanął u szczytu wzgórza.

— Woongowie! — wołał Rod. — Napadli nasz obóz!

Patrz! — Wskazywał ręką słup dymu. — Słyszałem strzały! Słyszałem strzały!

Stary myśliwiec spoglądał chwilę w kierunku płonącej chaty, po czym bez słowa puścił się szalonym pędem w dół zbocza.

Półgodzinny bieg, który potem nastąpił, był jednym z najcięższych przeżyć Roda. Sam nie umiał później wyjaśnić, w jaki sposób dotrzymał kroku Mukiemu. Ale faktem jest, że deptał mu wciąż po piętach. Gdy dotarli do wzgórza, które osłaniało kotlinę, twarz chłopca krwawiła, pokaleczona o zwisające gałęzie; zdawało się, że serce lada chwila wyskoczy mu z piersi; oddychał chrapliwie, świszcząc i nie mógł mówić. Ale i na wzgórze wdarł się tuż za Mukim, trzymając karabin gotowy do strzału. U szczytu zatrzymali się. W miejscu gdzie kiedyś stała chata, widniało świeże pogorzelisko. Nigdzie śladu życia.

Tylko...

Z okropnym krzykiem Rod chwycił Mukiego za rękaw, wskazując ciemny przedmiot leżący w śniegu o kilkanaście metrów od dymiących ruin. Stary Indianin zobaczył go również. Spojrzał w twarz chłopca i Rod po raz pierwszy ujrzał w ludzkich oczach podobny wyraz. Jeśli to istotnie Wabi tam leży, jeśli Wabi zginął — jakże okropna będzie zemsta Mukiego. To nie był już ten Mukoki, którego Rod znał dawniej; to był dziki. W jego wzroku nie tkwił żaden ludzki instynkt, żadna iskra litości...

Rzucili się w dół zbocza, przez zasy, ku jezioru — i oto Mukoki klęczał już przy leżącej w śniegu postaci. Obrócił trupa *twarzą* ku niebu i wstał milcząc, płonącymi oczyma spoglądając w stronę pogorzeliska.

Rod spojrzał i drgnął. To nie był Wabi.

Ta istota wyglądała zarazem dziwacznie i okropnie. Był to olbrzymi Indianin, skręcony w konwulsjach agonii, któremu kula zniosła połowę czaszki.

Gdy Rod podniósł oczy, Mukoki kluczył już wśród tłących ruin, rozrzucając zgliszcza nogami i grzebiąc tu i ówdzie końcem lufy.

XIV. ODSIECZ

Rod upadł w śnieg tuż obok trupa. Siły go odeszły i słaby był jak dziecko. Śledził wzrokiem każdy ruch Mukiego; widział każde drgnienie jego twarzy, każdy żywszy błysk oczu i zamierał z trwogi, ilekroć stary myśliwiec pochylał się ku ziemi.

Czyżby Wabi zginął i został spalony wraz z chatą?

Mukoki prowadził poszukiwania cał za całem. Przez obuwie czuł już gorący powiew; swąd spalonej skóry napełniał mu nozdrza. Ale stary Indianin nie zważał na to. W duszy jego istniały dotychczas dwa uczucia: miłość do Minnetaki i miłość do Wabigoona. Jedna tylko namiętność mogła zająć ich miejsce — nieubłagana, wieczna, dzika nienawiść do ludzi, co skrzywdzili któreś z tych dwojga, Woongowie wzięli Wabiego podstępem. Był tego pewien. Napadli go zniemacka, jak tchórze — i może nie żył już. I może znajdował się tu, wśród zgliszczy...

Szukał, aż nogi jego pokryły się bąblami. Wreszcie wyszedł z pogorzeli, czarny od dymu, ale wyraz twarzy miał już bardziej normalny.

— Nie ma go tu — rzekł, odzywając się po raz pierwszy.

Kucnął znów obok trupa i spojrzał na Roda, uśmiechając się triumfująco a złośliwie.

— Dobrze zabity — chichotał.

Uśmiech znikł wnet z jego twarzy i podczas gdy Rod nie ruszał się z miejsca, Mukoki znowu rozpoczął badania. Wokół obozowiska śnieg był zorany wielką ilością ludzkich śladów. Mukoki odnalazł szlak, gdzie Woongowie, wychynawszy z leśnego gąszczu, wykonali atak, oraz kierunek, w którym umknęli po dokonaniu napadu. Pięciu ludzi biegło w stronę chaty; odeszło od niej tylko czterech.

Ale gdzie był Wabi?

Jeśli Indianie go pojмали i uprowadzili ze sobą, powinno być pięć tropów. Rod pojmował to równie dobrze jak Mukoki i rozumiał również; dlaczego stary myśliwiec zawrócił znowu w stronę zgliszczy. Ale i tym razem poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu i stary Indianin przekonał się niezbitcie, że ciało Wabigoona nie zostało spalone. Nasuwało się jedyne rozwiązanie. Chłopak walczył zaciekle, zabił któregoś z napastników i sani ranny został uniesiony przez pozostałych. Woongowie i ich jeniec nie mogli się jednak znajdować dalej jak o dwie, trzy mile. Prędką pogoń powinna była doścignąć ich w ciągu godziny.

Mukoki zbliżył się do Roda.

— Idę zabijać! — rzekł. — Z tymi prędko dam sobie radę. Ty zostaniesz tutaj.

Rod skoczył na równe nogi.

— Chciałeś powiedzieć, Muki, że idziemy zabijać — przerwał. — Mogę już także iść. Ruszaj przodem!

Mukoki odsunął bezpiecznik fuzji, a Rod poszedł za jego przykładem.

— Tylko jak najciszej — szepnął Indianin, gdy okrążali zaspę. — Zbliżyć się bez hałasu, potem strzelać.

Trop Woongów skręcał od zasy przez równinę w głąb lasu. Mukoki, przygięty ku ziemi, niosąc karabin w pogotowiu, posuwał się w nim szybko. Nie uszli jeszcze stu metrów, gdy już stary myśliwiec przystanął, a na jego twarzy odmalowało się głębokie zainteresowanie. Wskazał jeden ze śladów, odbity o wiele wyraźniej niż inne.

— Ten niesie Wabiego — odezwał się cicho. — Ale... — oczy zalśniły mu podnieceniem — idą

wolno. Nie śpieszą się. Idą bardzo wolno.

Rod teraz dopiero zauważył, że Woongowie stawiali kroki o wiele mniejsze niż on i Muki, z czego łatwo wywnioskował, że istotnie musieli się posuwać naprzód dość wolno. Była to zagadka niełatwa do rozwiązania. Czyżby napastnicy nie obawiali się pogoni? Czyż doprawdy mogli sądzić, że nikt ich nie będzie ścigał? Może zresztą ufali swej przewadze liczebnej albo też planowali zasadzkę?

Chód Mukiego stał się teraz wolniejszy i bardziej ostrożny. Podejrzliwymi oczyma obejmował każdy krzak i każde drzewo. Przyśpieszał kroku jedynie wtedy, gdy na dłuższej przestrzeni widział przed sobą wyraźny trop. Ani razu nie spojrzał wstecz, w kierunku Roda. Raptem zauważył coś szczególnego, bo wydał pomruk zdziwienia. Obok czterech poprzednich śladów pojawił się nowy trop. Rod nie potrzebował zadawać pytań, by odgadnąć, co zaszło. Woonga niosący Wabiego spuścił go na ziemię i czerwonoskóry chłopak szedł teraz o własnych siłach. Na nogach miał rakiety śnieżne i stawiał kroki równie długie jak reszta Indian. Widocznie nie odniósł poważniejszych ran.

O pół mili dalej wznosiło się wysokie wzgórze, pokryte gęstwą cedrów, pomiędzy którymi wichur utworzył głębokie zasy. Było to idealne miejsce na zasadzkę, jednak stary myśliwy nie zawahał się ani chwili. Woongowie szli teraz ścieżką wydeptaną przez karibu i łatwo było dążyć ich śladem. Ale Rod czuł mimowolny dreszcz, patrząc na chaotyczną gmatwaninę drzew i zasp śnieżnych, którą należało przebyć. Był pewien, że lada moment odezwie się ostry trzask karabinowego strzału i Mukoki padnie twarzą w śnieg. Albo też zagrzmie kanonada i on sam również uczuje piekący ból śmiertelnej rany. Z tak bliskiej odległości Woongowie nie mogli chybić. Czyż Mukoki tego nie pojmował? Czyżby stary Indianin, opanowany myślą, że jego ukochany Wabi wpadł w ręce wrogów, postradał wszelki rozsądek?

Ale spojrzawszy w twarz Mukiego, Rod dostrzegł chłodny, pełen rozwagi błysk jego oczu i uspokoił się. Zrozumiał, że Muki jest absolutnie pewien, iż przed nimi nie ma żadnej zasadzki.

Ścieżką wydeptaną przez karibu dwaj myśliwi posuwali się o wiele szybciej, toteż stanęli wkrótce u podstawy wzgórza. Woongowie wdarli się na jego szczyt, o czym jasno mówił ich trop, wyraźnie znaczący się w górę zbocza. Teraz Mukoki przystanął, ostrzegając gestem Roda, i wskazał jeden ze śladów. Grudki śniegu drżały i osypywały się wciąż jeszcze wokół krawędzi wgłębienia.

— Bardzo blisko! — szepnął stary Indianin.

W oczach jego było niesłychane napięcie. Jął się pięć w górę zbocza, a Rod posuwał się za nim tak blisko, że każdej chwili mógł go dotknąć. Na szczycie wzgórza Mukoki, zgięty w pół, szybko przebył poziomą płaszczyznę, trzymając karabin prawie przyłożony do ramienia. Na równinie poniżej ujrzeli obraz, który mimo ostrzegawczych znaków Mukiego wyrwał z gardła Roda słaby okrzyk.

U skraju doliny sunęli Woongowie wraz z jeńcem. Szli jeden za drugim, przy czym Wabi znajdował się tuż za przodownikiem, mając ręce związane na plecach.

Ale nie na ten widok Rod krzyknął.

O pół mili od grupy Indian spoza niewielkiego jeziora biły w górę dwa słupy dymu i wokół ognisk uwijał się przynajmniej tuzin zbrojnych postaci.

Rod natychmiast pojął okropność sytuacji. Wszelka próba odbicia jeńca spowodowałaby na nich przeważające siły nieprzyjaciół. Z drugiej strony niepodobna było zostawić Wabiego w rękach Woongów. Rod wiedział, jak silna nienawiść ku mieszkańcom Wabinosh House płonie w sercach dzikich, i zadrżał na myśl o losie, jaki czeka jego przyjaciela. Podczas gdy gorączkowo szukał wyjścia, wierny Mukoki już ustalił plan ataku. Umrze wraz z Wabim, umrze szczęśliwy, walcząc, do końca wypełniając swój obowiązek. Raz jeszcze obejrzał fuzję i pędem ruszył w dół zbocza.

U stóp wzgórza porzucili trop Woongów i Rod pojął, że sta ry myśliwy chce napaść Indian nie z

tyłu, lecz z przodu lub z boku. Musiał znowu wyteżać wszystkie siły, by za nim nadążyć. W niecałe dziesięć minut później Mukoki stanął, wyrzwał ostrożnie spoza krzaka leszczyny, po czym z uśmiechem zadowolenia zwrócił się do Roda.

— Idą! — dyszał tak cicho, że ledwo można było pochwycić jego głos. — Idą!

Rod rzucił okiem ponad jego plecami i serce zabiło mu gwałtownie. W odległości dwustu metrów, nieświadomi tego, co im grozi, nadchodzili Woongowie. Mukoki spojrzął w twarz białego chłopca i położył mu dłoń na ramieniu, a w oczach jego był niemal błagalny wyraz.

— Ty weź przodownika, tego, co przed Wabim — szepnął. — Ja biorę trzech pozostałych. Widzisz tę brzozę odartą z kory? Gdy się z nią zrówna, strzelaj! Nie drzysz? Nie jesteś babą?

— Nie — odparł Rod. Ujął w swoje palce brązową dłoń. — Zabiję go, Muki! Zabiję jednym strzałem!

Teraz dobiegły już do nich głosy opryszków i ujrzeli wkrótce, że twarz Wabiego jest pokryta krwią.

Woongowie zbliżali się wolno, niedbale, krok za krokiem. Już tylko pięćdziesiąt metrów dzieliło ich od brzozy, potem czterdzieści, trzydzieści, wreszcie dziesięć. Rod wziął broń do ramienia. Lufa kreśliła śmiertelny znak na piersi czołowego Indianina.

Jeszcze pięć metrów.

Czerwonoskóry skrył się za drzewem, minął je i gdy ukazał się z drugiej strony, Rodryg przycisnął spust. Indianin stanął. Nim jeszcze padł bez życia, już z fuzji Mukiego posypał się grad śmiertelnych strzałów — i gdy Rod ponownie uniósł broń do oka chcąc wziąć udział w walce, zobaczył, że z czterech Woongów stoi na nogach tylko jeden, a i ten zatacza się bezsilnie, cisnąc dłonie do piersi. Ale któryś z tych, co poprzednio padli, zdołał jeszcze krzyknąć i podczas gdy Rod i Mukoki mknęli naprzód, by uwolnić Wabiego, ze strony obozowiska Woongów doleciał okropny wrzask.

Nim dobiegli do jeńca, już w dłoni Mukiego lśnił nóż i wystarczyło parę szybkich cięć, by więzy Wabigoona opadły.

— Jesteś ciężko ranny? — pytał Mukoki.

— Nie! Nie! — odparł Wabi. — I wiedziałem, kochani, że przyjdziecie.

Mówiąc schylił się nad pierwszym Indianinem. Rod spostrzegł, że zabiera jego rewolwer oraz karabin, te same, które biały chłopak stracił ongiś w walce z Woongami. Tymczasem Mukoki dojrzał cenną wiązkę futer na karku jednego z trupów i czym prędzej zarzucił ją sobie na plecy.

— Widzieliście ich obóz? — gorączkowo badał Wabi.

— Tak.

— Będą tu za chwilę! Którędy idziemy, Muki?

— Do parowu! — prawie krzyknął Rod. — Gdybyśmy mogli dotrzeć do parowu!

— Do parowu! — podchwycił Wabi.

Mukoki zatoczył półkole i machał na obu chłopców, by szli przodem. Sam chciał zasłaniać odwrót.

Nie było czasu na rozmowy i Wabi ruszył naprzód jak najszybciej. Z tyłu doszedł go lekki trzask; to Mukoki biegnąc nabijał fuzję. Rod nabił już swoją, gdy jego przyjaciele byli zajęci na polu walki. Wabi, biegnąc, oglądał swoją broń.

— Rod, ile masz ładunków? — zawołał przez ramię.

— Czterdzieści dziewięć!

— W ładownicy mam tylko pięć, a w magazynie cztery! — krzyknął młody Indianin. — Daj mi kilka.

Nie zatrzymując się, Rod dobył z pasa tuzin naboi i podał je koledze.

Tymczasem dotarli do wzgórza. U szczytu stanęli, by zaczerpnąć tchu i rzucić wzrokiem na obozowisko Indian.

Wokół ogni panowała pustka. O ćwierć mili na równinie dojrzelili pół tuzina wojowników, pędem zbliżających się do wzgórza. Reszta Woongów kryła się zapewne w dalszych lub bliższych zaroślach.

— Musimy pierwsi stanąć w parowie — rzekł Wabi. Mówiąc to zawrócił i znów pognął przodem.

Rod uczył ogarniającą go trwozę. „Musimy pierwsi stanąć w parowie”. Słowa przyjaciela uprzytomniły mu, że jego własne siły są na wyczerpaniu. Bieg do płonącej chaty pozbawił go wszelkich zasobów energii, a teraz z każdym krokiem czuł się słabszy. Parów był położony o milę od kotliny, a zejście doń znajdowało się o dwie mile dalej. Trzy mile zatem! Czy wytrzyma?

Słyszał tuż poza sobą chrzęst rakiet Mukiego, zaś odległość pomiędzy nim a Wabim stawała się coraz większa. Uczynił rozpaczliwy wysiłek dla nabrania tchu, ale rezultat był żaden. Wtem tuż nad jego uchem zabrzmiał syk Mukiego i Wabi stanął.

— On biegł trzy mile do chaty — odezwał się stary myśliwiec. — Nie wytrzyma dłużej.

Rod był śmiertelnie blady i tak zdyszany, że nie mógł dobyć głosu. Wabi natychmiast ocenił sytuację.

— Pozostaje nam tylko jedno, Muki. Musimy zatrzymać Woongów w kotlinie. Przyjmiemy ich salwą ze szczytu wzgórza za jeziorem. Położymy trzech lub czterech i nie ośmielą się już ścigać nas wprost. Pomyślą, że mamy zamiar tam się bronić, i zechcą nas osaczyć. Tymczasem zrobimy kawał drogi w kierunku parowu.

Ruszył znów przodem, tym razem wolniej. W trzy minuty później weszli w obręb kotliny, minęli ją szczęśliwie i docierali właśnie do stóp wzgórza, gdy z przeciwległych stoków za nimi zabrzmiał triumfalny, mrozący krew w żyłach wrzask.

— Spieszmy! — krzyknął Wabi. — Widzą nas! Nim skończył mówić, huknął strzał.

Po raz pierwszy w życiu Rod usłyszał tuż nad głową przeszywający świergot kuli. Zobaczył, jak śnieg sypnął w górę o parę metrów od Wabigoona.

Na krótką chwilę zapadła cisza; potem gruchnął drugi strzał i wreszcie jeszcze trzy, jeden za drugim. Wabi potknął się.

— Nie jestem ranny! — krzyknął. — Pośliznąłem się na skale.

Docierał do szczytu, mając Roda tuż za sobą, gdy z drugiej strony jeziora sypnęło pół tuzina strzałów. Instynktownie Rod padł na twarz. Gdy tak leżał w śniegu, usłyszał gwizd kuli i ostry, bolesny krzyk Mukiego. Jednakże stary myśliwiec zrównał się z nimi natychmiast i razem już przedostali się na drugą stronę garbu.

— Czy co złego, Mukoki? Czy co złego? — Wabi płakał prawie, gdy obrócony twarzą do starego Indianina, obejmował go ramieniem. — Czyś ciężko ranny?

Mukoki zatoczył się, ale opanował się natychmiast.

— O, tu! — rzekł, dotykając dłonią lewego ramienia. — Nic złego. — Uśmiechał się, a z oczu patrzyły mu męstwo i ból. Zrzucił z pleców wiązkę futer. — Teraz im pokażemy!

Przygięci ku ziemi, spojrzeli na równinę. Pół tuzina Woongów opuściło cedrową gęstwę i właśnie w tej chwili biegli pędem przez płaszczyznę. Spośród drzew wysypywali się inni wojownicy i Wabi zauważył, że wielu z nich nie ma rakiet śnieżnych. Radośnie zwrócił na to uwagę. Mukiego, ale ten nie podniósł nawet oczu. Po chwili dopiero powtórzył:

— Teraz im pokażemy!

Ośmiu Indian w rakietach śnieżnych znajdowało się w połowie kotliny. Sześciu dotarło właśnie

do jeziora. Rod nie miał zamiaru strzelać. Wiedział, że o wiele ważniejsze jest, by odzyskał siły, niż by brał udział w walce. Toteż oddychał głęboko, podczas gdy jego dwaj koledzy brali broń do ramienia.

Wabi i Mukoki porozumiewali się szeptem. Mukoki pierwszy pocisnął spust. Gruchnął jeden strzał, potem drugi i czerwonoskóry opryszek na jeziorze zarył twarzą w śnieg. Teraz strzelił Wabi. Do uszu myśliwych- dobiegło bolesne wycie i drugi Woonga padł ze zdruzgotaną nogą. Wrzaski i strzały bitewne pobudziły energię Roda i z wyzywającym okrzykiem podnosząc broń do ramienia, przyłączył się do kanonady.

Wreszcie spośród ośmiu Woongów pozostało tylko trzech, a i ci zawrócili umykając pod osłonę cedrów.

— Hura! — wrzasnął Rod.

W podnieceniu skoczył naprzód i posłał piąty i ostatni strzał za umykającą bandą.

— Hura! Hura! Gońmy ich!

— Kładź się! — rozkazał Wabi. — Nabijaj broń!

Ozwał się dźwięk wsuwanych do fuzji ładunków. W pięć sekund później Wabi i Mukoki rozpoczęli nową kanonadę, kierując strzały na skraj gęstwy, i nim Rod nabił swój karabin, nie mógł już dojrzeć nic, do czego warto by było dać ognia.

— To ich zatrzyma jakiś czas — rzekł Wabi. — Wielu gnało na złamanie karku, przy tym bez rakiet. Muki, dojdziemy pierwsi do parowu! — Otoczył ramieniem starego Indianina, który wciąż jeszcze leżał na śniegu twarzą w dół. — Pozwól mi zobaczyć ranę, Muki! Pozwól.

— Najpierw do parowu — odparł stary Indianin. — To nic złego. Kość cała. Mało krwi.

Z tyłu Rod widział, jak na kurtce Mukiego rośnie coraz większa czerwona plama.

— Jesteś pewny, że dojdiesz do parowu?

— Tak.

Chcąc dowieść prawdy swoich słów, ranny Indianin wstał i zbliżył się do wiązki futer. Ale Wabi go uprzedził i zarzucił sobie futra na ramię.

— Ty i Rod idźcie przodem — rzekł. — Wy wiecie, gdzie znaleźć zejście do parowu. Ja tam nigdy nie byłem.

Mukoki ruszył w dół zbocza, a Rod idąc tuż za nim, słyszał jego ciężki oddech. Nie obawiał się już teraz o siebie, ale o tego ponurego myśliwca idącego przodem, który gotów był umrzeć na szlaku bez szemrania, zachowując do ostatniej chwili na wargach triumfujący i nieustępliwy uśmiech.

XV. RODRYG WALCZY

Szli teraz znacznie wolniej i Rod poczuł, że siły mu wracają. Gdy dotarli do nowej pochyłości, ujął nawet Mukiego pod ramię, a ten nie protestował. To lepiej świadczyło o jego niemocy niż jakiegokolwiek słowa. Za nimi wciąż jeszcze nie było śladu Woongów. Ze szczytu drugiego wzgórza obejmowali wzrokiem ćwierćmilowy obszar doliny leżącej poniżej. Rod zaproponował, że chwilę pozostanie tu na straży, a Wabi

i Mukoki pójdą dalej. Obaj chłopcy widzieli, że stary myśliwiec słabnie z każdym krokiem, a Mukoki pomimo wysiłków nie mógł ukryć dojmującego cierpienia.

— Zdaje mi się, że z nim źle — szepnął Wabi do Roda, a twarz mu pobladła. — Zdaje mi się, że jest gorzej, niż sądziliśmy. Mocno krwawi. Miałeś dobrą myśl. Zostań tutaj i jeśli zobaczysz Woongów w dolinie, strzelaj do nich. Zostawię ci swój karabin; pomyślą, że chcemy wydać nową bitwę. To ich na chwilę zatrzyma. A ja nieco dalej przewiążę Mukiemu ranę. Inaczej skona od upływu krwi.

— Ale potem idźcie znowu — uzupea odnił Rod. — Jeśli usłyszycie strzały, nie czekajcie na mnie, tylko śpieszcie do parowu. Znam drogę i dopędzę was. Czuję się doskonale i dogonię was z łatwością, szczególnie teraz, gdy Muki idzie tak wolno.

W czasie tej krótkiej rozmowy Mukoki wciąż posuwał się naprzód i Wabi ruszył pędem, by się z nim zrównać. Tymcza sem Rod kucnął za występem skały, skąd, będąc ukryty, obejmował wzrokiem całą dolinę leżącą poniżej.

Spojrzał na zegarek. Sądził, że Wabi opatrzy ranę Mukiego w ciągu dziesięciu minut. Każda chwila uzyskana ponad to miała decydującą wartość. Przez kwadrans nie spuszczał niemal z oczu doliny. Pomyślał, że Woongowie obuli już na pewno rakiety śnieżne. Chociaż może zrezygnowali z pogoni? Może krwawa naučka dana im w kotlinie zniechęciła ich do dalszej walki? Rod sam zaprzeczył tym przypuszczeniom. Był pewien, że Woongowie wiedzą, iż Wabi jest synem agenta z Wabinosh House, toteż postarają się go pojmać, choćby mieli odbyć najdalszą pogoń i stracić jeszcze tuzin wojowników.

Wtem Rod dostrzegł jakiś ruch na śniegu w dolinie. Wyprostował się; oddychał pośpiesznie. Na równinie ukazały się dwie postacie. Tuż za nimi nadchodziła trzecia, a po chwili z lasu wysypały się inne, aż chłopak naliczył ich szesnaście. Wszyscy ludzie mieli na nogach rakiety śnieżne i szybko dążyli śladem zbiegów.

Młody myśliwiec ponownie spojrzał na zegarek. Upłynęło dwadzieścia pięć minut. Mukoki i Wabigoon wysforowali się daleko naprzód. Gdyby mu się udało zatrzymać Woongów jeszcze kwadrans, przyjaciele znaleźliby się w parowie.

Wiedząc, że od jego zimnej krwi zależy życie dwóch towarzyszy i własne, Rod był zupełnie spokojny. Ręka mu nie drżała, a strach nie mącił poczucia przestrzeni i kierunku. Postanowił rozpocząć ogień dopiero z odległości czterystu metrów. Był pewien, że nim Woongowie przebiegną następne sto, zdoła położyć przynajmniej jednego lub dwóch.

Jako punkt wytyczny ustalił pień złamanej sosny i gdy dwaj Woongowie dotarli do drzewa i minęli je, nacisnął spust. Zobaczył, że śnieg skłębił się w górę o dwa metry od pierwszego z Indian. Wycelował starannie i strzelił jeszcze dwukrotnie. Jeden z czerwonoskórych padł. Drugi zawrócił i pognął w kierunku lasu, a Rod posłał za nim kulę. Piąty strzał skierował w tłum napastników, po czym chwycił fuzję Wa biego i wszystkie pięć ładunków wypalił w tym samym kierunku.

Rezultat był piorunujący. Indianie cofnęli się w popłochu, pozostawiając na śniegu jeszcze

jednego trupa. Rod począł nabijać fuzję, a nim skończył, Woongowie rozproszyli się już i jęli mu zabiegać z prawa i z lewa, zataczając wielkie półkole. Po raz ostatni spojrzął na zegarek. Od chwili odejścia Wabigoona i Mukiego upłynęło trzydzieści pięć minut.

Chłopak cofnął się spoza skały, wyprostował i ruszył śladem towarzyszy. W myśli obliczył, że Woongowie dopiero za dziesięć minut spostrzegą jego odwrót, a tymczasem on wyprzedzi ich o milę. Nie zatrzymując się obejrzał miejsce, w którym Wabi opatrywał ranę Mukiego. Na śniegu widniały ślady krwi i leżała krwawa szmata. O pół mili dalej dwaj wędrowcy przystanęli ponownie i Rod wiedział, że tu Mukoki nabierał sił do dalszej drogi. Od tej pory zatrzymywali się co pół mili i wkrótce Rod dojrzał ich brnących z wolna poprzez śniegi.

Ruszył pędem, zdyszany i pełen trwogi.

— No jak? — zaczął.

— Jak daleko oni są, Rod? — spytał Wabi.

— Nie dalej jak o pół mili.

Wabi dał mu znak, żeby podparł Mukiego z drugiej strony.

— Stracił dużo krwi — szepnął. Głos miał zachrypnięty, a Rod drgnął i prawie przestał oddychać, gdy Wabi zrobił ku niemu porozumiewawczy znak ponad przygarbionymi plecami starego myśliwca.

Ruszyli teraz szybciej, niemal niosąc pomiędzy sobą rannego. Nagle Wabi stanął, uniósł karabin do ramienia i strzelił. O parę metrów duży, biały królik padł trafiony śmiertelnie.

— Jeżeli dotrzemy do parowu, Muki musi się posilić — rzekł młody Indianin.

— Oczywiście, że dojdziemy! — zawołał Rod. — Oczywiście! Oto las. Tędy schodzi się w dół.

Biegli prawie, a nogi Mukiego, obute w rakiety, ślizgały się między nimi po śniegu. W pięć minut później znieśli półprzytomnego Indianina w dół stromego zbocza. Znalazłszy się w parowie Wabi stanął, a oczy błyszczały mu nienawiścią.

— Teraz zobaczycie, diabli! — wycharczał wściekle. — Teraz pokażemy wam.

Mukoki ocknął się na chwilę, a Rod pomógł mu się dowlec pod osłonę skał. Pośród wielkich głazów znalazł cichy zakątek, niemal całkowicie wolny od śniegu, i zostawił tam rannego, sam wracając do towarzysza.

— Stój na straży, Rod — rzekł Wabi. — Musimy upiec tego królika i przywrócić Mukiemu trochę sił. Zdaje mi się, że krwotok ustał, ale na wszelki wypadek chcę to sprawdzić. Rana nie jest groźna, tylko osłabiła go. Jeśli damy mu coś gorącego, chyba będzie mógł znowu iść. Czy zostało ci trochę zapasów z tych, co wzięłeś z sobą rano?

Rod rzucił plecak i wyjął paczkę z jedzeniem.

— Mam dwie garście kawy, garść herbaty, sól i niewielki chlebek — rzekł.

— Dobrze. To co prawda trochę mało dla nas trzech, ale uratujemy tym Mukiego.

Wabi odszedł, a Rod ukryty za skałą śledził wąskie zejście wiodące z góry w głąb parowu. Pragnął niemal, by Woongowie przypuścili tędy atak, był bowiem pewien, że on i Wabi staną się wtedy panami sytuacji i zadadzą wrogom ostateczny cios. Ale Indianie nie pojawiali się. Z góry nie dochodził żaden dźwięk. Jednakże Rod wiedział, że Woongowie są tuż i czekają tylko przyjaznej osłony mroku.

Usłyszał trzask ognia, który rozniecił Wabi, i dobiegła go woń kawy. Młody Indianin, przekonany, że nieprzyjaciel i tak zna już ich kryjówkę, zaczął Wesoło gwizdać. W chwilę później odnalazł Roda w jego ukryciu.

— Gdy tylko się ściemni, rozpoczną atak — rzekł chłodno. — Oczywiście, jeżeli nas odnajdą. Gdy już nie będą mogli dojrzeć dna parowu, poszukamy innego ukrycia. Do tego czasu Mukoki będzie

mógł iść.

Rod przypomniał sobie rozpadlinę w skalnej ścianie i prędko opowiedział o niej przyjacielowi. Mogła stanowić nocą doskonałą kryjówkę, a rankiem, gdyby Muki miał dość sił, można by tamtędy wydostać się z parowu i przebyć sporą przestrzeń, nim Woongowie spostrzegą ucieczkę. Jedna tylko rzecz mogła zniweczyć ten plan. Jeśli ów Woonga, którego ślad doprowadził w swoim czasie Koda do rozpadliny, nie znajdował się wśród trupów lub ciężko rannych — ujście jej mogło być spostrzeżone lub nawet czerwoni wojownicy mogli tamtędy wykonać atak.

— Tak czy inaczej, zaryzykujemy — rzekł Wabi. — Możliwe, że twój Woonga odnalazł ową szczelinę przypadkowo, a jego koledzy nie podejrzewają nawet jej istnienia. Ręczę, że nie ośmielią się nas ścigać w parowie nocą. Pod osłoną ciemności splezną w dół i będą czekali świtu. Tymczasem my powędrujemy na południe, a gdy nas dogonią, możemy im wydać nową bitwę, jeśli tego zechcą.

— Kiedy ruszymy?

— Za godzinę.

Chwilę milczeli obaj, śląc na zwiady wzrok i słuch. Raptem Rod spytał:

— A gdzie jest Wolf? Wabi roześmiał się wesoło.

— Wrócił do swego plemienia. Dziś nocą zapoluje wraz ze stadem. Kochany, stary Wolf!

Uśmiech znikł z jego warg i w głosie zadrgał mu odcień żalu.

— Woongowie nadeszli zza chaty i rzucili się na mnie niespodziewanie, toteż było mi gorąco. Walcząc cofnąłem się w stronę, gdzie był uwiązany Wolf. Miałem pewność, że ulegnę przemocy, więc przeciąłem nożem jego rzemień.

— A on nie brał udziału w walce?

— Na razie tak. Potem jeden z Woongów strzelił do niego i Wolf umknął do lasu.

— Ale dlaczego nie czekali na Mukiego i na mnie? — dziwił się Rod. — Dlaczego i na nas nie urządzili zasadzki?

— O was im nie szło. Byli też pewni, że dotrą do swego obozu, zanim odnajdziecie trop. Ja byłem główną zdobyczą.

Mając mnie w rękę, chcieli się porozumieć z tobą i z Mukim i wysłać was do faktorii jako pośredników. Wycyganiliby od ojca ostatni grosz, a potem zamordowaliby mnie. Och, mówili ze mną zupełnie szczerze, gdy byli pewni, że im nie umknę. Ponad nimi ozwał się jakiś chrzęst i młodzi myślicy chwycili za broń. Szmer zbliżał się, rósł, aż niewielki kamień, przelatując z głazu na gład, uderzył o dno parowu.

— Są tam na górze! — uśmiechnął się Wabi opuszczając w dół lufę fuzji. — To był przypadek, ale miej się na baczności. Jestem pewien, że cała ta banda wścieka się na niezgrabiasza, który trącił ten kamień.

Ostrożnie cofnął się w stronę Mukiego, a Rod przypadł do ziemi, zwracając twarz ku wąskiej ścieżce wiodącej ze szczytu góry. Śród drzew snuły się już gęste cienie, zmniejszając pole widzenia, toteż chłopak postanowił, że za pierwszym podejrzanym szmerem rozpocznie ogień. Wabi wrócił w kwadrans później, chciwie zajadając kawał pieczonego królika.

— Już piłem kawę — oznajmił. — Teraz ty idź tam, zjedz, wypij i nałóż dużo drzewa na ogień. Nie zważaj na mnie, gdybym strzelał. Dam umyślnie parę strzałów, żeby Woongowie wiedzieli, że mamy się na baczności. Potem ruszymy ku szczelinie.

Rod znalazł Mukiego z filiżanką kawy w jednej ręce, a kawałkiem królika w drugiej. Ranny uśmiechnął się do niego prawie tak jak dawniej i Rod uczył, jak mu ciężar spada z serca.

— Lepiej ci? — spytał.

— Doskonale! — odparł Mukoki. — Prawie nic nie boli. Chciałem się znowu bić, ale Wabi kazał mi tu zostać.

Wykonał śmieszny grymas, mający oznaczać, że rozkaz Wabiego wcale mu nie przypadł do gustu. Rod zabrał się do kawy i mięsa. Był głodny, ale gdy zaspokoił apetyt, został jeszcze kawałek chleba i trochę mięsa; zapasy te starannie ułożył w plecaku. Wkrótce potem wśród skał rozległy się dwa wystrzały i nim echo ich zamarło, nadszedł Wabi.

Myśliwi mogli się ukryć bez trudu pośród rumowiska głazów zaścielających dno wąwozu i nawet gdyby z góry szpiegowały ich czyjeś oczy, niepodobna było nic dojrzeć wśród coraz większego mroku. Pomykali chyłkiem, ostrożni, nie powodując najmniejszego szelestu. Po upływie pół godziny Mukoki, który szedł przodem, by nadawać ucieczce tempo odpowiednie do stanu swych sił, przyspieszył kroku. Rod dążył tuż za nim, wodząc oczyma wzdłuż skalnej ściany, by w porę zauważyć upragnioną szczyrbę. Wtem Wabi stanął i wydał cichy syk, który wszystkich osadził na miejscu.

— Śnieg pada — szepnął.

Mukoki uniósł twarz ku górze. Wielkie płaty śniegu musnęły ją w przelocie.

— Wkrótce rozpada się na dobre — wyszeptał. — Może zasypie nasz trop.

— W takim razie będziemy ocaleni! — W głosie Wabigoona drżała tłumiona radość.

Mukoki wciąż jeszcze patrzył w niebo.

— Słyszę poszum wiatru nad parowem — rzekł. — Wieje z południa. Będzie wielki śnieg. A teraz pędzej!

Ruszyli szybciej, gnani nową nadzieją. Rod czuł, jak wokół nich gęstnieje biały tuman. Szli tuż obok skalnej ściany, w poszukiwaniu rozpadliny. Noc zacierała kontury głazów. Otoczenie wydawało się zupełnie inne niż dniem. Serce Roda biło radością, to znów zniechęceniem lub trwogą. Może nie znajdzie rozpadliny? Może minęli ją już, pogrążoną w nocnym cieniu? Nie poznawał kamiennych bloków ni skalnych wiszarów, ani żadnych szczegółów, które zapamiętał. Stanął i odezwał się, a w głosie jego drgało wyraźne zwątpienie.

— Jak myślicie, czy daleko już zaszliśmy?

Mukoki zrobił jeszcze parę kroków i nim Wabi zdołał odpowiedzieć, syknął ostrzegawczo. Chłopcy skoczyli za nim i stanęli u wejścia do rozpadliny.

— Tutaj!

Wabi podał Rodrygowi swój karabin.

— Idę naprzód! — rzekł. — Wy czekajcie. Jeśli droga wolna, gwizdnę.

Mukoki i Rod słyszeli czas jakiś chrzęst jego kroków. Potem zapadła cisza. Minał kwadrans, nim dobiegł ich gwizd. Jeszcze dziesięć minut i stanęli wszyscy trzej u szczytu wzgórza, przy czym Rod i Mukoki oddychali ciężko ze zmęczenia.

Siedli teraz na chwilę w śniegu, odpoczywając, wyczekując i nasłuchując uważnie. Rod modlił się żarliwie, gdyż śnieg padał, padał zwartą masą i chłopcu zdało się, że Bóg po to tylko zesłał śnieżycę, by zatarła ich ślady i pozwoliła im na szczęśliwy powrót.

Wstali wreszcie milcząc i uścisnęli sobie wzajem dłonie.

Wciąż bez słowa, zwrócili oczy w kierunku białej, głuchej pustyni, kędy spędzili tak długi czas wśród przygód i radosnych marzeń. A gdy spojrzeli w stronę skał, dobiegło ku nim samotne, złośliwe wycie wilka.

— Myślę... — rzekł Wabi miękko — myślę, czy to czasem nie Wolf!

Po czym jeden za drugim ruszyli ku południowi.

XVI. POWRÓT

Od chwili gdy nasi myśliwi zwrócili się plecami do krainy Woongów, Mukoki objął komendę. Wobec przychylniej dla nich śnieżycy wszystko zależało jedynie od sprytnego starego Indianina. Nie było ani księżycy, ani wiatru, który by mógł im służyć za wskazówkę, i nawet Wabi czuł, że nie potrafi utrzymać prostej linii w obcej okolicy i w nocnym mroku. Ale Mukoki — wciąż jeszcze dziki człowiek — gdy chodziło o znalezienie dróg w nieznannej głuszy, zdawał się być obdarzony w najwyższym stopniu tym tajemniczym czwartym zmysłem, znanym jako zmysł orientacyjny — co kieruje lot gołębia do jego gniazda oddalonego nieraz o setki mil. Niejednokrotnie w ciągu tej nocy Wabi i Rod zapytywali starego Indianina o położenie Wabinosh House, a on bez wahania wskazywał odpowiedni kierunek. I za każdym razem Rod gotów był przysiąc, że faktoria znajduje się w zupełnie innej stronie, co przekonało go o tym, jak łatwo byłby zbłądził bez ratunku, gdyby poległ jedynie na własnym zdaniu.

Dopiero o północy zarządzono pierwszy postój. Pochód odbywał się dość wolno, ale bez przerwy, i Wabi stwierdził, że zrobiono piętnaście mil. O pięć mil w tyle poza nimi trop ich był już zasypany śniegiem. Rankiem Woongowie nie powinni byli odnaleźć żadnych wskazówek dotyczących kierunku ucieczki.

— Pomyślą, że idziemy wprost na zachód najkrótszą drogą ku Wabinosh House rzekł Wabi. — W ciągu doby rozdzieli nas pięćdziesięciomilowa przestrzeń.

Pod wykrotem sosny rozniecili mały ogieniek. Pokrzepiwszy się filiżanką mocnej kawy i resztkami królika oraz chleba, ruszyli w dalszą drogę.

Rodryg byłby przysiągł, że wspięli się na niezliczoną ilość wzgórz i zbiegli w niezliczoną ilość dolin, toteż ucieszył się zapewne więcej nawet niż Mukoki, gdy wreszcie dotarli do bardziej płaskich okolic. Prawdę mówiąc, kiedy na godzinę przed brzaskiem stanęli na wypoczynek, zdawało się, że Mukoki całkiem zapomniał o swojej ranie, natomiast Rod upadał ze znużenia. Stary myśliwiec był przekonany, że wszelkie niebezpieczeństwo już minęło, toteż pod osłoną jodłowej gęstwy rozpalono wielkie ognisko.

— Rano zapolujemy na kuropatwy — rzekł Mukoki. — Będziemy mieć dobre śniadanie.

— Może ich tu wcale nie ma — powątpiewał Rod, którego głód wzrastał z każdą chwilą.

— Gęste, iglaste zarośla i płytki śnieg — tłumaczył stary Indianin. — Ptaki tu zimują.

Wabi rozpakował futra; wybrał spośród nich sześć rysich skór i trzy wilcze, wyjątkowo duże i miękkie.

— Będziemy mieli świetne posłanie — rzekł. — Szczególnie jeśli się położymy dość blisko ognia. Weź trochę jedliny, Rod, i nakryj wilczurą, a dwie skóry rysie dadzą ci najcieplejszą kołdrę, jaką miałeś kiedykolwiek.

Rod natychmiast skorzystał z dobrej rady i po upływie pół godziny spał już jak suseł. Mukoki i Wabi, bardziej wytrzymali na trudy, drzemali czujnie i raz po raz budził się to jeden, to drugi. Czasem nawet obaj na raz przerywali spoczynek, by dorzucić paliwa do ognia. Gdy tylko stało się dość jasno, obaj Indianie po cichu opuścili obóz i w chwilę potem huk ich wystrzałów zbudził Roda. Wrócili niemal zaraz, niosąc trzy upolowane kuropatwy.

— Gnieźdzą się w gęstwinie tuzinami — rzekł Wabi. — Ale będziemy strzelać tylko w razie koniecznej potrzeby. Czyś oglądał nasz wczorajszy ślad?

Rod przeciągnął się i przetarł oczy, dając tym samym do zrozumienia, że jak dotąd nie opuszczał

jeszcze swego posłania.

— Otóż jeżeli zrobisz sto metrów po równinie, to już go nie odnajdziesz — kończył Wabi. — Śnieg zasypał go całkowicie.

Jakkolwiek brakło im wszystkiego prócz mięsa, śniadanie to było jednym z najweselszych z całej podróży i gdy ukończono posiłek, z trzech kuropatw pozostały jedynie dobrze ogryzione kości. Pościgu można się było nie obawiać, gdyż śnieg wciąż jeszcze padał, a Woongowie znajdowali się obecnie o dwadzieścia pięć mil w kierunku północnym. Pomimo to myśliwi wcześniej rozpoczęli dalszą wędrówkę i dążyli na południe, aż wreszcie przed wieczorem rozbili obóz i poczynili przygotowania do noclegu.

— Musimy się znajdować gdzieś w pobliżu drogi wiodącej do Kenogami — zauważył Wabi. — A może minęliśmy ją już?

— Jeszcze nie — odparł Mukoki. — Droga leży tam — wskazał na południe.

— Droga, o której mówimy, jest to właściwie sanny szlak, wiodący z miasteczka Nipigon do Kenogami House, faktorii należącej do Kompanii Zatoki Hudsona, a położonej na najdalszym krańcu Długiego Jeziora — wyjaśniał Wabi. — Tamtejszy agent jest naszym serdecznym przyjacielem i niejednokrotnie odwiedzaliśmy się wzajemnie. Ale tym szlakiem jechałem tylko raz, Muki zaś przebywał go często.

Przed obiadem ustrzelono kilka królików. Całe popołudnie poświęcono wypoczynkowi. Gdy Rod zbudził się, zauważył, że wkoło panuje już mrok, a śnieżycy ustała.

Rana Mukiego zaczęła mu znów dolegać, toteż postanowiono następnego dnia nie ruszać w dalszą podróż. Rod i Wabi mieli zamiar zabić jakiegokolwiek zwierzę, którego tłuszcz mógłby służyć do opatrzenia rany. Z wyjątkiem królika i skunka każda zdobycz nadawała się do tego celu. O świcie obaj chłopcy ruszyli na łowy; Mukoki był zmuszony pozostać w obozie. Tuż prawie za obozem myśliwi rozdzielili się: Rod poszedł na wschód, a Wabi udał się na południe.

W ciągu najbliższych sześćdziesięciu minut Rod nie dojrzał żadnej zwierzyny, choć raz po raz napotykał tropy jeleni i karibu. Postanowił wreszcie wdrzeć się na widniejące o milę wzgórze, by z ich szczytu objąć wzrokiem większą część kraju niż z nizinnej, porosłej lasem doliny. Nie uszedł jeszcze połowy odległości, gdy pełen zdumienia ujrzał dobrze ubity szlak, wiodący ku północy pod kątem do jego własnych śladów. Po ustaniu wczorajszej śnieżycy przebiegło tędy dwoje sań, a z obu stron płóz widniały odbicia rakiet śnieżnych. Rod obliczył, że przeszło tu najmniej trzech ludzi, a oba zaprzęgi składały się mniej więcej z tuzina psów. Od razu przyszło mu na myśl, że znajduje się właśnie na drodze wiodącej ku Kenogami, i pchany ciekawością ruszył śladem podróżnych.

O pół mili dalej znalazł miejsce postoju nieznanego wędrowców. Opodal częściowo zwęglonego pnia zwalonej sosny widniały szczątki ogniska, wokół którego walały się kości i kruszyny chleba. Ale uwagę Roda przykuły przede wszystkim inne ślady ludzkich nóg, splątane obecnie ze śladami pierwszych trzech mężczyzn. Był pewien, że tędy przeszła kobieta, bowiem stopy jej pozostawiły w śniegu dziwnie małe wgłębienia. Tuż koło pnia znalazł nowy ślad i tym razem serce żywiej zabiło mu w piersi. Odcisk rakiety śnieżnej wygładził tu i ubił powierzchnię śniegu, a na tej płaszczyźnie odznaczały się wyraźnie kobiece nóżki. Obute były w mokasyny. A mokasyny miały niewielkie obcas. Rod przypomniał sobie teraz ową straszną chwilę w lesie opodal Wabinosh House, gdy przystanął i patrzył na ślad Minnetaki odbity na miękkiej ścieżce, kędy uprowadzili ją czerwonoskórzy; pamiętał, że w faktorii nikt prócz niej nie nosił mokasynów z obcasami. Był to dziwny zbieg okoliczności. Czyżby Minnetaki przeszła tędy? Czyżby to jej ślady odbiły się w śniegu? Logicznie biorąc, było to wykluczane. Jednakże krew Roda pulsowała silniej, gdy pochylony obnażonymi palcami musnął wąskie wgłębienie. Tak czy owak, to mu przypominało Minnetaki; jej

nóżki pozostawiłyby tu identyczny ślad i Rod zastanawiał się przez chwilę, czy dziewczyna, która tędy przeszła, była równie piękna jak siostra Wabigoona.

Podążył tropem nieco szybciej i w dziesięć minut później stanął na miejscu, gdzie tuzin nowych śladów rakiet śnieżnych przybyłych z północy połączył się z poprzednimi. Po przywitaniu zapewne obie grupy wędrowców połączyły się i już razem ruszono w dalszą drogę.

Przyjaciele z Kenogami House przybyli na spotkanie — myślał Rod ruszając w powrotną drogę. W obozie znalazł już Wabigoona. Indianin zabił młodą łanię i w południe urządzono wspaniałą ucztę. Rod, zamiast zwierzyny, przyniósł ciekawą opowieść o spotkanych ludzkich śladach. Komentowano to zdarzenie aż do zmroku, gdyż po długich tygodniach samotności bliskość ludzi: mężczyzn i kobiety, była dla myśliwych ważnym zdarzeniem. Ale Rod pominął milczeniem niektóre szczegóły. Nie podkreślił podobieństwa pomiędzy nóżką Minnetaki a nóżką nieznaną dziewczyny, wiedział bowiem, że w przeciwnym razie Wabi miałby na cały tydzień temat do żartów. Zauważył jednakże mimochodem, że odcisk stopy w śniegu miał tę samą wielkość co odbicie mokasy na Minnetaki.

Przez resztę dnia i całą następną noc myśliwi nie ruszyli z miejsca, śpiąc, jedząc i pielęgnując ranę Mukiego. Dopiero o świcie udali się w dalszą drogę. Szli prosto na zachód, uszczęśliwieni, że znajdują się poza granicą krainy Woongów.

W czasie długich gawęd Wabi wspomniął z żalem łeb łosia schowany w „indiańskiej skrytce” i nawet miał przez chwilę zamiar skrócić ku północy, nie zważając na niebezpieczeństwo grożące ze strony czerwonoskórych, byle odzyskać wspaniałe rogi. Ale Mukoki wykonał przeczący ruch głową.

— Woongowie biją się dzielnie. Po co leż z powrotem w wilcze sidła?

Więc chociaż niechętnie, zrezygnowano ze wspaniałej zdobyczy.

Następnego dnia, nieco przed południem, ujrzeni ze szczytu wzgórza jezioro Nipigon. Kolumb, wstępując po raz pierwszy na nowoodkryty ląd, nie był na pewno bardziej uszczęśliwiony niż Rodryg Drew, gdy wbiegłszy na pokrytą śniegiem lodową tafelę, wykonał, nie zdejmując rakiet, dziwaczne *salto mortale*.

Za tym jeziorem — myślał Rod — o sto mil mniej więcej, znajduje się faktoria, a w niej Minnetaki.

Gdy szli dalej wzdłuż lodowej płaszczyzny, wesołe marzenia kłębiły się w jego mózgu. Jeszcze trzy tygodnie i zobaczy swoją matkę. A Wabi pojedzie z nim razem. Nie czuł zmęczenia; był pełen niewyczerpanej energii; śmiał się, gwizdał, nawet próbował śpiewać. Ciekaw był czy Minnetaki bardzo się ucieszy na jego widok. Wiedział, że się ucieszy, ale czy bardzo?

Jeszcze dwa dni upłynęły na okrążaniu jeziora. Potem droga ich skrzyła na północ i następnego wieczoru, gdy chłodne, purpurowe słońce kończyło swój dzienny bieg, wdarli się na porośnięte lasem wzgórze i z jego szczytu ujrzeni Wabinosh House.

Patrzyli tak, gdy słońce tonęło za ścianą borów, śląc północnej ziemi ostatnie pożegnanie, i raptem dobiegł ku nim czysty i dźwięczny głos trąbki.

Wabi usłyszał go i zdziwił się. Gdy ostatnia nuta przebrzmiała w powietrzu, zamiast wybuchnąć radosnym krzykiem, jak to miał poprzednio zamiar uczynić, spytał zdumiony:

— A to co?

— Trąbka — rzekł Rod. — Jeśli się nie mylę, grają wieczorny hejnał. Nie wiedziałem, że w faktorii są żołnierze.

— Nie było ich przedtem — odparł młody Indianin. — Co to może znaczyć?

Zbiegł w dół zbocza, a dwaj towarzysze dążyli za nim. W kwadrans później stanęli na wykarczowanej równinie opodal faktorii. Od czasu gdy Rod i jego koledzy widzieli po raz ostatni Wabinosh House, zaszły tu ogromne zmiany. Na równinie wyrosły prymitywne baraki, sklecone z

wielkich bali, a wokół nich kręciło się sporo żołnierzy w mundurach wojsk angielskich. Krzyki radości zamarły na wargach myśliwych. Ruszyli pędem w stronę budynków factorii, a podczas gdy Wabi biegł witać matkę i ojca, Rod popędził w stronę składów. Minnetaki przebywała tam bardzo często. Ale tym razem nie znalazł jej, więc zawrócił ku domowi. Gdy stanął u stóp schodów, w drzwiach ukazała się księżniczka-matka w towarzystwie Wabigoona, idąca powitać gościa.

Twarz młodego Indianina była silnie zarumieniona. Oczy mu błyszczały.

— Co na to powiesz, Rod? — zawołał, gdy matka jego udała się w głąb mieszkania, by czuwać nad przyrządzeniem kolacji. — Rząd wypowiedział Woongom wojnę i wysłał oddział żołnierzy celem rozbicia ich. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy mordowali i kradli jak nigdy przedtem. Żołnierze ruszają jutro.

Oddychał szybko, niestłuchanie podniecony.

— Czy nie mógłbyś zostać, by wziąć udział w wyprawie? — prosił.

— Nie mogę! — odpowiedział Rod. — Nie, Wabi, nie mogę. Muszę wracać do domu. Wiesz przecie o tym? Jedź ze mną. Żołnierze mogą się bez ciebie obejść. Jedź ze mną do Detroit i uproś mamę, by pozwoliła także Minnetaki jechać z nami.

— Teraz nie — rzekł młody Indianin ujmując dłoń przyjaciela. — Nie mogę jechać i Minnetaki także nie. Tu było tak niespokojnie, że ojciec ją stąd odesłał. Mama miała także jechać razem, ale za nic nie chciała ojca zostawić samego.

— Minnetaki wyjechała! — zawołał Rod.

— Tak, przed trzema dniami ruszyła do Kenogami House w towarzystwie pewnej Indianki i trzech przewodników. Ten trop, który znalazłeś, to był bez wątpienia jej trop.

— A odbicie mokasyna?

— Należało do niej — roześmiał się Wabi, serdecznie oplatając ramieniem szyję kolegi. — Zostań, Rod!

— Nie mogę.

Poszedł do swego dawnego pokoju i aż do kolacji samotnie rozmyślał. Doznał dwu wielkich rozczarowań. Wabi nie mógł mu towarzyszyć i nie zobaczył Minnetaki. Młoda dziewczyna zostawiła na ręce matki list do niego i Rod odczytywał go raz po raz. Pisała myśląc, że zdąży jeszcze wrócić do Wabinosh House przed powrotem myśliwych, ale w postscriptum dodała, że jeśli się rozminą, to Rod musi znów przyjechać jak najprędzej i przywieźć z sobą matkę.

Przy kolacji księżniczka-matka parokrotnie potwierdziła zaproszenie córki. Przeczytała też Rodrygowi urywki listów otrzymanych w ciągu zimy od pani Drew i Rod uradował się niezmiernie, widząc, że jego matka nie tylko cieszy się dobrym zdrowiem, ale obiecała następnego lata odwiedzić Wabinosh House. Na tę wiadomość Wabi, zapominając o wszelkiej etykiecie, wydał dziki okrzyk radości i Rod poczuł, że jego chwilowa apatia znika bez śladu.

Tegoż wieczoru agent oszacował futra i zakupił je dla swej kompanii, przy czym Rod, wliczając w to i trzecią część złota, otrzymał niemal siedemset dolarów. Następnego ranka wyruszała z factorii dwutygodniowa poczta i Rod, napisawszy do Minnetaki długi list, który Mukoki miał jej dostarczyć, przygotowywał się do drogi. Tej nocy obaj przyjaciele spędzili kilka długich godzin na rozmowie i snuciu planów. Przypuszczali, że wyprawa przeciwko Woongom potrwa krótko i da decydujący wynik. Wiosną skończą się wszelkie zamieszki.

— I wrócisz tak prędko, jak tylko będziesz mógł — prosił Wabi po raz setny. — Wrócisz, jak tylko spłynie kra.

— Jeśli będę żył — śmiał się biały chłopak.

— I przywieziesz swoją matkę?

— Obiecała przecie.

— A potem po złoto!

— Po złoto!

Wabi wyciągnął rękę i obaj mocno uścisnęli sobie dłonie.

— Ręczę, że wówczas Minnetaki będzie tu również — rzekł Wabi śmiejąc się.

Rod poczerwieniał.

A tej samej nocy wymknął się z domu sam jeden i przy świetle gwiazd patrzył pełen tęsknoty na południo-wschód, kędy znalazł ślady na śniegu. Potem obrócił się na północ, na wschód, na zachód i wreszcie na południe, a wzrok jego zdawał się mknąć w przestrzeni aż tam, gdzie w sercu wielkiego miasta leżał jego dom i spała jego matka. A gdy wrócił do faktorii, gdzie zagasły już wszystkie światła, wyszeptał cicho:

— Jutro do domu! I potem dodał:

— Ale gdy kra spłynie, wrócę!

Przygotowano na podstawie bookini.pl